ŚWIĄTECZNY „DUNAJEC" W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI

Goście „Białej Izby": **Mieczysław Kowalski** z Bobowej, **Dominik Malinowski** ze Szczawnicy, dr **Jerzy Masior** ● **Andrzej B. Krupiński** o kulturze regionu ● Tajemnice ziemi sądeckiej ● 10 lat województwa nowosądeckiego w statystyce ● **Maria Seroczyńska** z Gorlic, **Wojciech Mruk** z Siekierczyny i **Jan Zasowski** ze Stróżówki ● **Roman Kostanecki** o rysach i cieniach na obrazie regionu ● **„Nowosądecki Murator"** czyli poradnik dla budujących dom ● Korespondencja **Jerzego Leśniaka** z Uljanowska ● Humoreska **Andrzeja Szymkiewicza** ● Krzyżówka-gigant ● Świąteczny program telewizji.

DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 51–52 (320–321) Rok VII | Nowy Sącz, 21–28 grudnia 1986 r. | Cena 30 zł

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Jerzy Masior

ZAKOLĘDUJMY

Zakolędujmy w naszym górskim kraju
tym, co posnęli i tym, co czuwają.

Zakolędujmy w buczynach i jodłach,
gdy nas ku gwieździe ścieżka będzie wiodła

Zakolędujmy na Dunajca brzegu,
by pośród lodów nie powstrzymał biegu.

Zakolędujmy po drogach, bezdrożach,
wszędzie, gdzie ciszę na progu położą.

Zakolędujmy królom i turoniom,
zdejmmy korony, które ciążą skroniom.

Zakolędujmy u szopy, co płonie,
by ogrzać serca i wargi i dłonie.

Zakolędujmy wiolinem i basem,
grajmy najciszej nawet wśród hałasu.

Zakolędujmy na całym Podhalu,
niech się u szopy kolędy użalą.

Zakolędujmy hen, aż po Betlejem,
gdy Noc się staje, a po nocy dnieje.

POD CHOINKĘ

Zanim rozpocznie się kilkudniowe leniuchowanie mężczyzn i dzieci — trwa od połowy grudnia kobieca krzątanina: zakupy, sprzątanie, pitraszenie potraw. Z pokolenia na pokolenie przechodzi ta gorączka przygotowań, bez których nie byłoby świąt. Tradycja bowiem to nie tylko choinka, kolędy i opłatek, lecz także przedświąteczne dociążenie kobiecego grzbietu i rąk. Naszym prababkom łatwiej wszakże przychodziło dźwigać garb zniewolenia, bo nie podpisywały codziennie listy obecności w gospodarce uspołecznionej i bodaj nie wiedziały, co to kolejka sklepowa i zatłoczony autobus. Postęp — jak widać — jest wyraźnie męskiego rodzaju. Praca, robota, harówka — wprost przeciwnie.

No, ale pora kończyć waśnie, bo za chwilę rozbłyśnie wigilijna gwiazdka; powolnieje rytm życia publicznego, opustoszały zakłady pracy i szkoły, ostatni pijak toczy się ku domowi. Czas świętować.

Co to dzisiaj znaczy świętować? Myślę, że przede wszystkim znaczy to: **odprężyć się od codziennych trosk, smakować chwilę wolną od pośpiechu, robić to, co się lubi.**

Już po raz siódmy siadamy przed pytaniem, z czym „Dunajec" powinien się wybrać w świąteczny czas do swych Czytelników? Jak skomponować podwójny numer, kończący stary rok? Tym razem w kobiece ręce oddamy sier. Przejrzałam redakcyjne zapasy i rekomenduję Państwu w pierwszej kolejności lekturę kilku opowieści o ludziach, którzy żyją wśród nas, spore w życiu zrobili i doświadczyli, choć nie goszczą na pierwszych stronach gazet.

A więc muzyk, który dowodził oddziałem partyzanckim, a teraz pisze kronikę Bobowej, szpera w archiwach, kupuje starocie, gromadzi wspomnienia różnych ludzi. Jeden z tych, którzy ani chwili spokojnie nie usiedzą.

Inny świąteczny gość: szczawniczanin z dziada pradziada, całe życie na amatorskiej scenie, wierny swojszczyźnie, otwarty na nowości, ale korzeniami osadzony w glebie, z której wyrósł. — Honorzę się tym, żem z góralskiego rodu — powiada.

Następni: nauczycielka muzyki z Gorlic, pół wieku w harcerskim mundurze — matka, żona, wychowawczyni. Mistrz kominarski z Siekierczyny wzięty przez gestapo z Pasterki w roku 1941 — więzień czterech obozów. Dalej — dwaj bracia z Muszyny, sercem związani z morzem, dziś w obcych krajach — też kawał prawdy o zagmatwanych drogach polskiego losu.

Kowal ze Stróżówki, biegły w swoim zawodzie, próbujący lić z posłępem rzemieślnik, szanowany, ale i niepokojony czasem ludzką zawiścią.

Wreszcie dobrze znany Czytelnikom z naszych łamów, związany od początku z „Dunajcem" — doktor medycyny, malarz, poeta i żeglarz — uwiedziony urodą gór i wody.

Są, oczywiście, w tym numerze, także niektóre nasze stałe rubryki: jest kolejna — ostra — humoreska Andrzeja Szymkiewicza, jest poradnik dla tych, którzy — nie czekając na niewydolne firmy — zamierzają sami zbudować własny dom. Ale najbardziej świąteczne, najlepiej wpasowane w naszą rodzinnej refleksji, wydały mi się owe osobiste zwierzenia ludzi, którzy stanowią o urodzie naszego regionu. Zwykli, skromni, a przecież bardzo barwni, nie pazerni. Krzepią swą twórczą obecnością. Sądzę, że zostaną dobrze przyjęci w godni czas.

Zapraszam do lektury, życzę udanego wypoczynku świątecznego i wielu dobrych zdarzeń w Nowym Roku.

BEATA DEMBOWSKA

Obraz regionu

W ubiegłym roku minęło 10 lat od utworzenia województwa nowosądeckiego. Nie było jubileuszowych fanfar i oficjalnych podsumowań. Ale warto skorzystać z okazji, jaką daje nowy rocznik statystyczny, by przyjrzeć się regionowi, w którym żyjemy. Dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego, mgr **Franciszek Górka**, wybrał dla naszych Czytelników garść wskaźników charakteryzujących Nowosądeckie pod koniec ubiegłego roku i porównał niektóre z nich z danymi sprzed dziesięciu lat. Oto obraz regionu widziany przez pryzmat statystyki.

✲

W latach 1975—1985 liczba ludności zwiększyła się o 69 tysięcy osób; **jesteśmy jednym z najmłodszych województw pod względem struktury wieku,** gdyż 53,9 proc. mieszkańców nie przekroczyło 30 roku życia (przyrost naturalny w Polsce w roku 1985 — 8,0, u nas — 12,5). Równocześnie jesteśmy jednym z tych województw, w których nadal przeważa ludność wiejska (64,3 proc.). W 1985 roku rozwiodło się 340 małżeństw, w 1975 r. — 286; urodziło się 14745 dzieci (przed 10 laty — 13274), zmarły 6262 osoby (przed 10 laty — 5190). Przyczyny zgonów: miażdżyca (23,2 proc.), nowotwory złośliwe (15,8 proc.), zewnętrzne urazy i zatrucia, niedokrwienna choroba serca oraz choroby naczyń mózgowych — po około 7 procent.

◆ W gospodarce uspołecznionej pracuje około 165 tysięcy osób (ponad 79 tysięcy kobiet); na urlopach wychowawczych przebywa prawie 15 tys. osób. **Znaczne zmiany zaszły w zakresie wykształcenia:** obecnie mamy 7,8 proc. pracowników po studiach wyższych (w 1975 — tylko 4,7 proc.); wykształceniem średnim i zasadniczym zawodowym legitymuje się 60,5 proc. (w 1975 — 47,3 proc.).

◆ Mamy 32,6 tys. telefonów (prywatnych — 22,2 tys.); w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców najwięcej abonentów jest w Zakopanem (147), Nowym Targu (130) i Rabce (128), najmniej w gminach Kamionka Wielka (6) i Biały Dunajec (8).

Odbiorniki radiowe posiada 133 tys. osób (wzrost o 23 tys.), telewizory — 121 tys. (wzrost o 55 tys.). W przeliczeniu na tysiąc mieszkańców mamy najmniej w Polsce odbiorników telewizyjnych (w kraju — 254, u nas — 181), ale nie we wszystkich rejonach województwa jest tak źle, bo np. w Zakopanem i Jordanowie wskaźnik ten przekroczył 300. Samochodów osobowych zarejestrowano 42,6 tys. (w tym prywatnych — 42 tys.) — prawie pięciokrotny wzrost w dziesięcioleciu! Taksówek — 1708; w Nowym Sączu — 406, w Zakopanem — 382 (w 1975 r. było ich tylko 513).

◆ W r. 1985 oddano do użytku 2542 mieszkania, z czego tylko 964 w budownictwie uspołecznionym.

Gaz sieciowy posiada 28,8 tys. mieszkań (w 1975 r. — 13,7 tys.), z gazu butlowego korzysta 26,3 tys. mieszkań.

◆ Do przedszkoli uczęszcza 15,7 tys. dzieci, do 461 szkół podstawowych — 103,6 tys. uczniów, w szkołach średnich uczy się 17,6 tys. (z tego 5,6 tys. — w 17 liceach ogólnokształcących). Emeryturę pobiera 19,4 tys. osób, rentę inwalidzką — 42,3 tys. osób (dane te nie obejmują emerytur i rent rolniczych).

◆ Nowosądeckie gościło w roku 1985 na koloniach, obozach i zimowiskach 126 tys. dzieci; od nas wyjechało na wypoczynek 20 tys. dzieci.

◆ Mamy 381 bibliotek (2233 tys. książek), wypożyczono 2601 tys. książek. W 28 kinach zanotowano 1473 tys. widzów (w r. 1975 — 2103 tys.). Przeciętna sprzedaż gazet codziennych: „Gazety Krakowskiej" — 40,6 tys. egzemplarzy, „Dziennika Polskiego" — 8 tys. Wśród tygodników największą poczytnością cieszył się „Dunajec" — 25,3 tys. egzemplarzy, „Przyjaciółka" — 23,3 tys., „Przekrój" — 14 tys. (dane te nie obejmują prenumeraty).

◆ Działa około 100 regionalnych zespołów pieśni i tańca; 11 spośród nich występowało w 1985 r. za granicą.

Paszporty wydano dla 40,8 tys. osób (w tym do krajów socjalistycznych — 26,2 tys.). Nasze przejścia graniczne przekroczyło w 1985 r. prawie półtora miliona osób.

W 635 obiektach turystycznych i wczasowo-wypoczynkowych mamy 68 tys. miejsc, z noclegów skorzystało 1018 tys. osób. Flisacy przewieźli przez przełom Dunajca 177 tys. gości. Wyprodukowaliśmy 91 tys. hektolitrów „Kryniczanki", 104 tys. hl „Piwniczanki" i 84 tys. hl „Wysowianki".

Mamy 3944 łóżka szpitalne, 107 aptek, 1107 lekarzy, 282 dentystów, 3315 pielęgniarek.

◆ Ze względu na warunki klimatyczne i gleby **osiągamy najniższe w kraju plony zbóż i ziemniaków. Przodujemy natomiast w obsadzie bydła i owiec** (na 100 ha użytków rolnych przypada 85 sztuk bydła i 87,8 sztuk owiec).

◆ W naszych lasach żyje około 9 tys. saren, 3 tys. jeleni, 9,7 tys. zajęcy, 1,4 tys. lisów, 500 sztuk dzików, 120 rysi, 160 wilków.

◆ Spośród 3630 punktów sprzedaży detalicznej 3174 należą do sektora uspołecznionego; na jeden punkt sprzedaży przypada średnio 184 osoby, najgorzej jest w gminie Kamionka Wielka — 473 osoby, najlepiej — w Limanowej (92) i Krynicy (94). Wśród 617 zakładów gastronomicznych do sektora uspołecznionego należy 484 (w tym 118 restauracji, 101 kawiarni i cukierni oraz zaledwie 8 barów mlecznych).

✲

Najświeższe dane (po trzech kwartałach br.) mówią, że jest nas 671 tysięcy; w Nowym Sączu — nieco ponad 71 tys. mieszkańców, w Nowym Targu — 31 tys., Zakopanem — 30 tys., Gorlicach — 28 tys.

Od chwili utworzenia województwa opuściło nasz region o 27 tys. osób więcej niż przybyło (największe tempo migracji zanotowano w r. 1975, obecnie saldo jest ujemne, ale nie tak duże: 1,5 tys. rocznie).

106 kobiet przypada na 100 mężczyzn (w 1975 r. — 108), ale wśród osób do 35 roku życia sytuacja jest odwrotna (97 kobiet na 100 mężczyzn), natomiast wyraźna przewaga kobiet (140 na 100) występuje powyżej 55 roku życia.

Mieszkamy głównie w domach prywatnych (78 proc.) — tylko w czterech województwach prywatne zasoby mieszkaniowe stanowią jeszcze większy odsetek. 77 proc. mieszkań posiada wodociąg, 37 proc. — centralne ogrzewanie, 18 proc. — gaz sieciowy. Do końca września br. oddano do użytku 1,4 tys. mieszkań (w gospodarce uspołecznionej — 490, z czego: 384 spółdzielcze, 76 zakładowych i 30 komunalnych). Do wykonania planu rocznego brakowało 435 mieszkań.

W latach 1981—85 zbudowano o 2012 mieszkań mniej niż w poprzedniej pięciolatce. Pod względem ilości izb oddanych do użytku na tysiąc mieszkańców Nowosądeckie uplasowało się w roku ubiegłym na 37 miejscu w kraju. Warto wszakże odnotować, że od 1970 roku liczba mieszkań wzrosła prawie o 25 procent (liczba ludności — o 15 procent).

Rysy i cienie

Okres świąteczno-noworoczny sprzyja rozmaitym podsumowaniom. Warto wszakże pamiętać nie tylko o osiągnięciach; są przecież zjawiska, które hamują społeczno-gospodarczy rozwój regionu, ciągną nas wstecz. Wprawdzie udało się ograniczyć np. spekulację, mniej jest rozbojów i włamań, przejawy patologii społecznej nie są w Nowosądeckiem tak dokuczliwe jak w wielu innych regionach, ale nawet u nas, nie brakuje powodów do niepokoju.

W ciągu dziesięciu miesięcy br. wydarzyło się 579 wypadków drogowych, w których śmierć poniosły 53 osoby, a 819 zostało rannych. Ujawniono w tym samym czasie 1296 nietrzeźwych kierowców, a służby ruchu drogowego musiały ukarać ponad 43 tysiące kierowców.

Nadal szerokim strumieniem płynie alkohol. W ciągu trzech kwartałów br. zakupiono w sklepach alkohol o wartości prawie 6,5 miliarda złotych, a w gastronomii za 2,2 miliarda. Ponadto w sklepach „Pewexu" zakupiono ponad 1,3 miliona litrów alkoholu. Łącznie wypito ok. 3 miliony litrów wódki i 2,4 mln litrów wina. Zlikwidowano jednocześnie 78 bimbrowni i 82 miejsca nielegalnej dystrybucji alkoholu. Za łamanie przepisów ustawy o wychowaniu w trzeźwości przed sądem stanęło 181 obywateli, a przed kolegiami 340. Za wykroczenia popełnione po użyciu alkoholu skierowano około 3,5 tysiąca wniosków o ukaranie do kolegiów orzekających. Sądy skazały na karę pozbawienia wolności 63 producentów bimbru (do sądów naszego województwa wpływa rocznie około 17 tysięcy spraw, w tym 3,5 tysiąca karnych, a do kolegiów d/s wykroczeń ponad 11 tysięcy wniosków, kilkadziesiąt tysięcy osób corocznie karanych jest mandatami).

◆ W ramach działania komisji do walki ze spekulacją skontrolowano około 25 tysięcy obiektów handlowych, usługowych i rzemieślniczych, ujawniając w co trzecim różne nieprawidłowości. W około 950 przypadkach wszczęto postępowanie przygotowawcze, przedstawiono zarzuty 679 podejrzanym (10 aresztowano); mandaty nałożono na 1431 osób, a na około 500 nieuczciwych pracowników skierowano wnioski do kolegiów. Ujawniono towary ukryte przed nabywcami za 5,5 miliona złotych, zajęto i zabezpieczono na poczet grożących kar mienie o wartości przekraczającej 48 milionów złotych. Tym, którzy chcieli oszukać Skarb Państwa, przypisano dodatkowe podatki w kwocie ponad 29 milionów zł oraz wymierzono grzywny na łączną kwotę prawie 14 milionów.

Wiele osób, zwłaszcza na Podhalu uprawiało przestępczy handel skórami baranimi. Polegał on na sprowadzaniu z USA i RFN skór na podstawione osoby (pod pretekstem... darów), a następnie odsprzedawaniu ich z ogromnym zyskiem. Kupowano skórę za 2—3 dolary, a sprzedawano ją w Polsce za 7—10 tysięcy złotych. Obywatel W.S. z Witowa sprowadził z RFN 1400 skór w roku ubiegłym i podobną ilość w br. Wymierzono mu za to podatek w łącznej kwocie ok. 13 milionów złotych oraz grzywnę w wysokości 2,5 mln zł. Podobnym procederem i z podobnym finałem trudnili się J.W. z Czarnego Dunajca, A.K. z Białego Dunajca oraz R.A. i J.K. z Nowego Targu.

◆ Za przestępstwa i wykroczenia podatkowe władze fiskalne wymierzyły grzywny i kary na kwotę 10,5 mln złotych. Wydział Finansowy UW kontrolując jednostki i zakłady budżetowe ujawnił w nich niegospodarność sięgającą kwoty 70 milionów złotych.

◆ Kontrole dokonywane przez Inspekcję Robotniczo-Chłopską oraz Wojewódzką Inspekcję Terenową ujawniają wiele niefrasobliwości i niedbałości o mienie publiczne, przypadki niegospodarności i marnotrawstwa, nieuczciwości i złej obsługi obywateli (przykładami z tych kontroli raczyłem Czytelników przez cały rok).

Liczne są przypadki samowoli budowlanej, a więc wznoszenie obiektów bez zezwolenia lub niezgodnie z posiadanym pozwoleniem. Corocznie ujawnianych jest kilkaset takich samowoli budowlanych. Narasta nielegalne budownictwo letniskowe.

Inspekcja Gospodarki Samochodowej ujawniła w jednostkach transportowych straty w wysokości 1,6 mln złotych, głównie z powodu ponadnormatywnego zużycia paliwa. Z tego ponad milion złotych przypisano do zwrotu pracownikom kontrolowanych jednostek.

◆ W br. do ewidencji osób niepracujących wpisano 442 osoby, a do rejestru uporczywie uchylających się od pracy — 35. Walka z pasożytnictwem społecznym nadal nie przynosi oczekiwanych rezultatów.

Stopniowo narasta problem lekozależności i narkomanii. Zarejestrowano już około stu osób uzależnionych, w tym 24 stuprocentowych narkomanów. Po środki narkotyczne coraz częściej sięga młodzież, nawet ze szkół podstawowych. Wprowadzono obowiązek uzyskiwania zezwoleń na uprawę maku i konopi, w przeciwnym razie są one likwidowane, co na własnej skórze odczuli już niektórzy rolnicy.

◆ Nasz piękny, turystyczno-wypoczynkowy i uzdrowiskowy region znalazł się w niechlubnej grupie 11 województw, którym Główny Inspektor Sanitarny kraju wystawił niedostateczną ocenę za stan sanitarno-higieniczny. W co czwartym obiekcie użyteczności publicznej stan sanitarny jest zły, na 23 wysypiska śmieci aż 18 oceniono niedostatecznie, na 45 ubikacji publicznych aż 14 znajduje się w stanie urągającym higienie. „Sanepid" stwierdził zły stan sanitarny 111 studni publicznych i lokalnych oraz wielu wodociągów wiejskich. Zaniedbania sanitarne zanotowano w 64 placówkach służby zdrowia, co jest już zupełnym skandalem, w wielu obiektach handlowych i gastronomicznych, a ponadto na dworcach, przystankach, w parkach i na ulicach.

◆ Co roku pożary trawią wiele obiektów. W 1985 r. wybuchło w województwie 379 pożarów, straty oszacowano na 120 milionów złotych. W trzech kwartałach br. było już 312 pożarów, a straty przekroczyły 128 mln zł. Wśród przyczyn pożarów na pierwszym miejscu znajduje się nieostrożność osób dorosłych.

I na zakończenie jeszcze jedna smutna liczba: w ciągu 10 miesięcy br. do Izby Wytrzeźwień w Nowym Sączu trafiło aż 3126 osób.

ROMAN KOSTANECKI

JAN URYGA

Świąteczny przekładaniec

Gody

Okres Bożego Narodzenia (obchodzony dawniej uroczyście od wigilii do święta Trzech Króli) swano różnie w zależności od regionu kraju: Gody, Święta Godne, Świątki, Święte Wieczory, Godownik itp.

Nie wolno było w te dni prząść, tłuc kaszy w stępie, mleć w żarnach czy rąbać drzewa. Uroz maicano je zabawami, chodzeniem po kolędzie, śpiewaniem kolęd, czytaniem książek, opowiadaniem podań ludowych i legend.

Nazwa *Gody* pochodzi prawdopodobnie od uroczystości pogańskich obchodzonych w czasie najkrótszego dnia i najdłuższej nocy, podczas których wraz z modłami do bóstwa nakazane były uczynki miłości bliźniego, darowanie sobie uraz wzajemnych i waśni, a wszystko to zwano godnieniem. Zwyczaj ten tak bardzo zakorzenił się w tradycji Słowian, że gdy zaczęto obchodzić święta Bożego Narodzenia, nazwano je Godami i tak zostało do dziś.

Boże Narodzenie jest czasem zimowego przesilenia dnia z nocą. Kościół wybrał ten dzień, mimo że 25 grudnia nie jest historyczną datą narodzin Chrystusa. Chodziło przede wszystkim o to, by wyprzeć i przepoić duchem religijnym pogańskie święto narodzin boga słońca.

Wieczerza wigilijna

W wigilijny ranek panny pędziły do rzek, stawów i potoków, by obmyć się w zimnej wodzie, wierzono że żadna

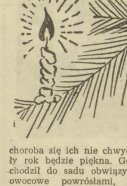

choroba się ich nie chwyci, a cera cały rok będzie piękna. Gospodarz wychodził do sadu obwiązywać drzewka owocowe powrósłami, musiało mu przy tym asystować małe dziecko co miało przynieść owocowanie w przyszłym roku.

Wigilia była dniem surowego postu, nie jedzono nic cały dzień, pracowano tylko do południa, później szykowano dom na wieczór, gotowano wieczerzę, a dzieci z niecierpliwością wyczekiwały pierwszej gwiazdy na niebie, która była zwiastunką rozpoczęcia wieczerzy.

Stół zaścielano sianem, na nim kładziono obrus, a na obrusie opłatki. Podłogę izby zaścielano słomą, a w kącie stawiano snop niemłóconego żyta.

Wieczerzę rozpoczynano od opłatka, prostymi słowami przebaczano sobie urazy, konflikty i nieporozumienia. Na stole wigilijnym zjawiało się siedem potraw (choć były regiony, gdzie stawiano ich dziewięć, a nawet dwanaście). Przestrzegano, by w zestawie znalazły się płody rolne całego roku. Najczęściej był to barszcz, kapusta, suszone grzyby, kluski z makiem, ryby świeże i wędzone, suszone owoce, placek z białej mąki.

W Krakowskiem wieczerzę zaczynano od polewki migdałowej, lina z kapustą, później stawiano na stole kluski z miodem i makiem, groch z kapustą, śliwy z kaszą, suszoną rzepę, strucle i kołacze pszenne. Na Mazowszu do wszystkich prawie potraw dodawano suszone gruszki, a w Rzeszowskiem barszcz, by podczas wieczerzy tylko jeden bochenek chleba był pokrojony i by każdemu tylko jedna kromka wystarczyła. W Wielkopolsce jadano polewkę z maku, kapustę kraszoną olejem, groch maszczony olejem, śledzie, kluski z jaglanej.

Warto wspomnieć o kutii — tradycyjnym daniu wigilijnym (zwłaszcza we wschodniej części kraju). Kutia znana była Słowianom i stanowiła przysmak pogańskich uczt ku czci zmarłych. Jest to obtłukiwana w żarnach pszenica, moczona w mleku, przyprawiona miodem i makiem. Często mieszano ją z migdałami, orzechami, rodzynkami czy śliwami. Była to potrawa symbolizująca sytość, spokojną przyszłość, słodycz życia i spokojne sny.

W czasie wieczerzy zostawiano jedno miejsce wolne przy stole dla duchów przodków, a drugie dla kogoś, kto mógłby przyjść w tej uroczystej chwili; stary słowiański obyczaj nakazywał szczególnie uczcić takiego gościa.

Choinka

Zwyczaj stawiania choinki jest niedawny i początkowo przez Kościół potępiany, jako pozostałość czasów pogańskich. Jednak tradycja przystrajania zieleni domów oparła się wszelkim zakazom. Już starożytni Rzymianie używali gałązek wawrzynu i mirtu do świątecznego przystrajania domów. Zwyczaj stawiania zielonego drzewka w domu, zapoczątkowany został w Alzacji około roku 1494. Ubierano je najpierw samymi jabłkami, by z biegiem czasu przystrajać różnymi łakociami i światłem świec. Na starym sztychu Ludwika Cranacha Starszego z 1509 r. widać już choinkę przyozdobioną gwiazdami i świecami.

W XVIII wieku spotkać można choinkę w wielu krajach europejskich, głównie protestanckich. Polska czasów królewskich (a więc do upadku państwa) nie znała zwyczaju ustawiania choinek. Typowy dla dawnej kultury

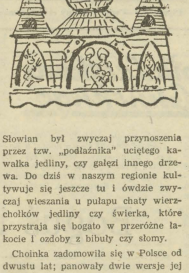

Słowian był zwyczaj przynoszenia przez tzw. „podłaźnika" uciętego kawałka jedliny, czy gałęzi innego drzewa. Do dziś w naszym regionie kultywuje się jeszcze tu i ówdzie zwyczaj wieszania u pułapu chaty wierzchołków jedliny czy świerka, które przystraja się bogato w przeróżne łakocie i ozdoby z bibuły czy słomy.

Choinka zadomowiła się w Polsce od dwustu lat; panowały dwie wersje jej ubierania: wg jednej na choince powinno być wszystko do zjedzenia, druga lansowała modę na różne ozdoby trwałe (między innymi tradycyjne bombki, które zaczęli masowo wyrabiać producenci czesey w XIX w.).

Szopka

Dzisiejsi kolędnicy wędrujący z Herodem, Śmiercią, Diabłem i innymi przebierańcami — swój rodowód wywodzą z jasełek, o których tak pisał XVIII-wieczny kronikarz Jędrzej Kitowicz:

Gdy te jasełka rokroczne w jednakowej postaci wystawiane, jako marnotwe posągi nie wzniecały w ludziach stygnącej ciekawości, przeto Reformaci, Bernardyni i Franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów, jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mieszając chwilami ruchome, które przez szpary w rusztowaniu na ten koniec zrobione, wtykając na widok — braciszkowie zakonni lub inni posługacze klasztorni, rozmaite figle wyrabiali.

Zbyt swobodne zachowanie publiczności, hałasy i śmiechy były przyczyną, iż w XVIII wieku widowiska te wycofano ze świątyń i tym sposobem szopka wyszła na ulicę, a jej pokazywanie przejęli kolędnicy wędrujący po domach.

Fot. JERZY ŻAK

Emil Kowalczyk

Godowe słónecko

Godnikowe słónko nisko
idzie nad Orawom.
Pod workiym darów sie ugino,
co ik zawiysyme pod powałom.
Swiynty Mikołoj nopryndzy
schodzi z Babiej Góry
pańskiym chodnikiym
i daje dzieciom
downe pieśnicki
ze skrzypeckami.
Potym świynto Łucyjo
na wrózb spełniynie
nadziejo ozwijo.
A kie zaświyci wigilijno
gwiozda,
to radość bije z domowego
gniozda.
Syćkie jedlicki spómniyniami
umojone.
Po stare glorija na północ
pódyme.
Pote nadyjdzie
świarny parobecek —
Nowy Rocek,
co o starym nie zabacuje,
ale po swojymu se gazduje.
A nieskorzy zaś Trzek Króli
Dzieciątko Boze skarbami utuli
i rodziny syćkie
obdaruje piyknie.

JERZY LEŚNIAK

Kartki z podróży

Pociągiem „Polonez" przyjechaliśmy do Moskwy. Na Dworcu Białoruskim oczekuje nas WALERIJ SZARYGIN, szef działu ekonomicznego „Uljanowskiej Prawdy". Krótki spacer po Placu Czerwonym, chwila zadumy przy dźwięku kremlowskich kurantów, rzut oka w kierunku zębatych murów i pięciu wież ozdobionych złotymi gwiazdami. Po obiedzie pędzimy na Dworzec Kazański, skąd odjeżdżają pociągi do Uljanowska. Przed nami kolejny etap podróży na trasie 900 km.

Z głośnika w wagonie miły, kobiecy głos: — *Do Uljanowska przyjedziemy jutro o godzinie 8.50. Proszę przestawić czas o jedną godzinę. Przewidywana temperatura — 5 stopni Celsjusza, nocą zejdzie poniżej 20 stopni. Zapraszam do wagonu restauracyjnego. Herbatę podajemy do przedziałów za 4 kopiejki. Życzę przyjemnej podróży, papierosy proszę palić tylko w wyznaczonych miejscach.* I kończy już całkiem familiarnie: — *Na imię mam Irina.*

Na korytarzu para nastolatków, starszy kołchoźnik wsadza nos w gazetę, dalej grupa ludzi z Armenii, jeden z nich okaże się podczas serdecznej rozmowy czołgistą, który uczestniczył w wyzwalaniu Krakowa i Sandomierza.

*

Oto Uljanowsk. Zaczynamy od spacerów. Leninowski Memoriał, muzea związane z życiem rodziny Uljanowych, placówki kulturalne, Park Przyjaźni Narodów nad Wołgą. Podczas wszystkich spotkań niezwykła gościnność. Wzbogacamy nasze kulinarne doświadczenia: częstowano nas nie tylko kawiorem (czarnym i czerwonym), ale także smakowitymi rybami syberyjskimi — siewrugami. Palce lizać, kolega KAZIMIERZ BRYNDZA z „Gazety Krakowskiej" prosił o podwójną porcję sprawiając gospodarzom autentyczną radość.

W redakcj

Spotkanie w redakcji „Uljanowskiej Prawdy". Przybyli również szef uljanowskiego komitetu radia i telewizji, JURIJ GRAŻDANCEW i dyrektor wydawnictwa prasowego, DŻAFAR SZAŁDAT, rodem z Baku. Redaktor naczelny, MICHAIŁ GORJAINOW oprowadza po drukarni, w której trwa właśnie druk kolorowych kartek noworocznych oraz etykiet do zabawek. „Uljanowska Prawda" zatrudnia 57 dziennikarzy, posiada 240 społecznych korespondentów.

— *W listopadzie otrzymaliśmy blisko 300 listów* — mówi TAMARA DANIŁOWA, kierowniczka działu informacji, absolwentka wydziału dziennikarstwa Uniwersytetu Łomonosowa w Moskwie. — *Czytelnicy bez żenady krytykują negatywne przejawy życia społecznego i gospodarczego np. szwankującą komunikację, źle pracujące służby komunalne, biurokrację w urzędach, niewłaściwe stosunki międzyludzkie. Proszą także o pomoc w przyspieszeniu przydziału mieszkania.*

Notuję słowa KONSTANTINA AZOWA, kierownika działu partyjnego: — *Czytelnicy wymagają od nas przede wszystkim, byśmy informowali ich nie tylko o wydarzeniach (chociaż tego od nas także oczekują), lecz byśmy wyjaśniali, co kryje się za tymi wydarzeniami, jakie są przyczyny, jakie następstwa, innymi słowy, byśmy przeprowadzili poważną analizę tego, co dzieje się w naszym kraju; po drugie — ludzie chcą byśmy pisali o tym, co dobre, i o tym, co problematyczne, a jeśli są jakieś braki — to chcą, żebyśmy o nich pisali otwarcie, właśnie po to, by braki te można było usunąć z naszego życia.*

Czas przemian

Rozmawiamy z I sekretarzem KPZR w uljanowskim obwodzie, tow. GIENADIJEM WASILEWICZEM KOŁBINEM. Pytamy, co nowego i ciekawego w życiu obywateli radzieckich? Jak dokonująca się przebudowa gospodarki wpływa na codzienny kształt pracy i życia? Pytamy o problemy dla nas nieobojętne, zwłaszcza wobec zbieżności wielu bolączek, z którymi boryka się również nasze społeczeństwo.

Towarzysz Kołbin jest realistą. Urodził się na Uralu, wiele lat przepracował w przemyśle, do Uljanowska przyszedł z Gruzji: — *Trwa walka nowego ze starym. Niekiedy przybiera ona ostre formy. Prowadzimy ją pod kierownictwem partii. Sama partia również się przebudowuje. Stawiamy komunistom nowe, wyższe wymagania. Niektórzy byli zadowoleni ze swojej dotychczasowej sytuacji. Teraz przypominamy im o obowiązkach wobec ludzi pracy. Powiem otwarcie: nie wszyscy zrozumieli istotę przebudowy. Inni zrozumieli, ale jej nie chcą. Jesteśmy jednak na właściwej drodze i zyskaliśmy poparcie społeczne.*

Tow. Kołbin mówi o budujących się osiedlach mieszkaniowych, szpitalach, przedszkolach, terenach rekreacyjnych. Zagospodarowywana jest Wołga, która w najszerszym miejscu ma 3; km!

— *Nie chcemy się przechwalać, jeszcze jesteśmy niezadowoleni* — twierdzi tow. Kołbin — *Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że możemy zrobić więcej, nie wolno popadać nam w samouspokojenie. Na XXVII Zjeździe KPZR wyraziliśmy niezadowolenie z funkcjonowania naszej gospodarki, naszych instytucji politycznych, demokracji socjalistycznej, niezadowolenie z atmosfery w zespołach pracowniczych. Dla mnie osobiście ostatni Zjazd nie mieści się w granicach polityki, był wydarzeniem historycznym i niezbitym dowodem, że socjalizm ma niespożyte rezerwy twórcze. Porównałbym go z XX Zjazdem KPZR, na którym powracano do leninowskich norm życia partyjnego, odrzucając wypaczenia i wynaturzenia.*

Alkohol w odwrocie

Sprzedaż napojów alkoholowych w obwodzie uljanowskim zmniejszyła się w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego o 50 proc. — *Alkoholizm i pijaństwo przynosiły naszemu społeczeństwu wielkie straty ekonomiczne, socjalne i moralne* — zauważa GIEORGIJ OBUSZYŃSKI z Komitetu Obwodowego. — *Walkę z tym złem prowadzono, ale — niestety — mało efektywnie, często kampanijnie. Propagowanie „kulturalnego picia" nie chroniło młodego pokolenia od popadania w alkoholizm. Od wiosny 1985 roku sięgnęliśmy po zaostrzone sankcje.*

W Uljanowsku alkohol sprzedaje się przez 3 dni w tygodniu. Zmalała ilość

Uljanowsk — widok ogólny centrum miasta. Fot. JERZY ŻAK

KĄCIK pptk. Czesława Glińskiego

Boguś i szajka

Niedzielnym rankiem dziewiętnastoletni Boguś poleniuchował dłużej w pościeli, po czym, wyelegantowawszy się odświętnie, powędrował do miejscowej restauracji GS-owskiej, gdzie bufetowa serwowała non stop kuflowe, a kelnerka z trudem mogła podołać zamówieniom. Bogusia nie stać było tego dnia na nic mocniejszego, ograniczył się więc do wychylenia kilku kufelków jasnego, choć i tak przy każdym geście w stronę kelnerki z niepokojem spoglądał w portmonetkę. Rozgrzawszy się nieco piwkiem, Bogdan pospacerował trochę po centralnej promenadzie wiejskiej. Nic godnego uwagi nie znalazł. Panienki, z którymi o przyjemnościach życiowych można by pokonwersować, pochowały się w opłotki i Bogdan, rad nierad, powrócił do domu.

Po świątecznym obiedzie odwiedził go najmłodszy z paczki. Ponieważ znali się jak łyse konie, przeto tematów do dłuższej rozmowy zabrakło i z konieczności poczęli oglądać program telewizyjny, lecz specjalnie ich nie zainteresował. Na szczęście przyszedł kolega, „Górnikiem" zwany, który wyjął zza paska spodni półlitrówkę „żytniej". Przy butelce znalazło się trochę tematów i posiedzenie trwało dość długo. Wreszcie „Górnik" oddalił się do domu, a Boguś z najmłodszym wybrali się do Rabki. Powłóczyli się trochę bez celu i perspektyw, gdyż w kieszeniach mieli pustki. Naraz — na Podhalańskiej — najmłodszy dostrzegł w oknie wystawowym GS-owskiego sklepu spożywczego drewnianego Janosika, który tak go zafascynował, iż postanowił wejść w jego posiadanie bez względu na wszystko. Później Boguś w przypływie dobrego humoru dworował sobie, że kolegę ciągnęło do patrona (gdyż najmłodszego zwano też „Janosikiem"). Dostępu do figurki strzegła furtka z żelaznym łańcuchem i kłódka. Co to jednak dla Bogusia i młodego „Janosika"! W pobliżu stacji PKP mieli ukryty solidny drąg metalowy, który już nieraz im się przysłużył, więc i teraz bardzo łatwo poradzili sobie z przeszkodami broniącymi dostępu do sklepu. „Janosik" przede wszystkim przywłaszczył sobie drewnianego patrona. Potem rozpruł kasetę i zagarnął niewielką ilość gotówki. Wziął także trochę wiktuałów, które po kieszeniach poupychał. Pozostało jednak tyle jeszcze łakoci, iż najmłodszy wcale nie miał ochoty opuszczać pomieszczeń sklepowych. Przywołał więc stojącego na czujce Bogusia i po krótkiej dyspucie postanowili, iż do sklepu tego powrócą. Tymczasem pospiesznie zabrali się jak pany, taksówką, do rodzinnej wsi. Przywołali na pomoc „Górnika", wzięli plecaki i turystyczne torby, i na powrót wyruszyli do Rabki. W znajomym sklepie przywiezione sakwojaże napełnili słodyczami, kawą i artykułami kolonialnymi.

Następnego dnia w rabczańskim RUSW-ie pojawił się najmłodszy, przyprowadzony przez ojca, który przypadkowo wytropił niecny postępek syna. Senior rodu odnalazł ukryte w zakamarku na strychu łakocie i z ich pochodzenia nakazał wyspowiadać się pierworodnemu. Synalek początkowo kręcił, lecz przywołany do porządku ojcowskim paskiem od spodni, opowiedział prawdę. Ojciec nie zlekceważył występku, skradzione rzeczy nakazał spakować i oddać właścicielowi. Miał przy tym nadzieję na wyrwanie syna z przestępczej działalności w grupie Bogusia. Przeprowadził bowiem domowe śledztwo, z którego wynikało na chłopski rozum, iż sprawa jest poważna.

Senior rodu nie mylił się. Sprawa okazała się istotnie bardzo poważna, bo przestępcza działalność „Bogusia", „Janosika", „Górnika" i innych trwała już trzy lata.

Ich pierwszy występ w złodziejskim fachu rozpoczął się pod nie najlepszą gwiazdą. Kwietniowego dnia pogoda była bardzo kiepska. Boguś i najmłodszy siedzieli na ławce w Nowym Targu długo, czekając, aż zaniknie ruch na osiedlowych alejkach. Kilka razy wystartowali do upatrzonej „taryfy", w której przez szybę dostrzegli trochę pieniędzy w puszce po landrynkach, lecz ciągle im ktoś przeszkadzał. Wreszcie, gdy szczękając już głośno zębami z zimna, zdobyli się na odwagę i najmłodszemu udało się sforsować zamek w drzwiczkach samochodu, zdarzył się przypadek, który ich karierę złodziejską mógł od razu zniweczyć. Pieniędzy w samochodzie nie było zbyt dużo i fakt ten ich nieco rozeźlił. Postanowili przeto, iż przynajmniej podjadą sobie tym samochodem w okolice domu, aby zaoszczędzić na biletach i zdrowiu. Bogusiowi udało się właśnie wyłączyć blokadę kierownicy, gdy usłyszał szept przyjaciela: „uciekamy". Na osiedlowym parkingu pokazał się milicyjny patrol. Boguś i spółka padli na kolana i czołganiem wycofali się z zagrożonej strefy. W czasie tej ucieczki najmłodszy zgubił z takim trudem zdobyty łup. Zamiast zysków były więc tylko straty, szwank na

placówek i skrócono czas sprzedaży. W restauracjach zaniechano podawania wódki i wina. Tym sposobem znacznie zmniejszono dostępność alkoholu. Srogie kary spotykają tych, którzy naruszają zasady trzeźwości w pracy. Pierwszy mandat wynosi 100 rubli (około dwutygodniowy zarobek), kolejne są bardziej dotkliwe. Aktywizuje się również działania profilaktyczne — szczególnie oświatę antyalkoholową. Człowiekowi trudno się wyzbyć tradycji przyjmowania gości napojami wyskokowymi, świętowania z alkoholem wszelkich imprez i „okazji". Lekarze rozwiewają więc mity, że alkohol w „skromnych" dawkach jest nieszkodliwy, a nawet potrzebny do rozładowania stresów.

Towarzysze z Uljanowska nie ukrywają, że wielu ludzi stojących w bardzo długich kolejkach po alkohol jest wrogo nastawionych do ograniczeń. Jednakże głębsza analiza daje inny obraz opinii społeczeństwa, zwłaszcza kobiet. Coraz powszechniejsze jest przekonanie, że tylko bezwzględna walka z pijaństwem może zagwarantować realizację programu „uzdrawiania". Są efekty: w październiku przeciętny obywatel uljanowskiego obwodu spożył 0,3 litra alkoholu, zmniejszyła się ilość wypadków przy pracy i rozwodów. Jednym ze środków ograniczających picie wódki stało się podwyższenie ich cen o 20—25 proc. Pół litra „Pszenicznej" kosztuje 9,5 rubla. Jednocześnie o 15—20 proc. obniżono ceny wielu artykułów rynkowych, w efekcie nie uległ zmianie globalny poziom cen. Potaniał sprzęt gospodarstwa domowego, instrumenty muzyczne. Publicyści z „Uljanowskiej Prawdy" pisząc o walce z pijaństwem nie używają słowa „sukces", chociaż wydaje się, że już dziś można o sukcesie mówić. Zwracają uwagę na niedostatki w tej walce. Wszyscy zaś zdają sobie sprawę, że aby zmienić mentalność ludzi i ich przyzwyczajenia — trzeba przejść jeszcze długą drogę...

Szukając ulepszeń

W kombinacie obuwniczym wita nas główny inżynier, ANATOLIJ TURUCHIN wraz z sekretarzem partii JURIJEM PAUTKINEM i redaktorką gazety zakładowej, WALENTYNĄ KOCZELAJEWĄ. Asortyment produkcji szeroki — od pantofli za 5 rubli po modne kozaczki dla pań za 68 rubli. Zakład powstał w 1960 roku, stale się rozbudowuje. Szefowa związków zawodowych, TATIANA SAMOSZYŁOWA, zaangażowała się w działania mające na celu zlikwidowanie strat czasu pracy: — *Zaczęliśmy od wprowadzania elementarnego porządku, poprawiliśmy organizację pracy w zespołach pracowniczych. Staramy się zmniejszyć odrywanie ludzi od roboty. Chodzi o to, aby pracownicy na zmianie pierwszej mogli załatwiać sprawy w urzędach i zakupy — po pracy, a ci na drugiej zmianie — przed jej rozpoczęciem.*

Zakład dysponuje dobrą bazą socjalną: 5 przedszkolami, hotelem robotniczym, własnym ośrodkiem wypoczynkowym (były w nim na obozie pionierskim dzieci z naszego regionu), prewentorium. Zarobki zróżnicowane: w akordzie można zarobić do 350 rubli, średnia pensja oscyluje między 130 a 220 rublami. Na mieszkanie oczekuje 680 pracowniczych rodzin. Wszystkie mają otrzymać klucze do 1990 roku. Delegatka na XXVII Zjazd KPZR, brygadzistka, 35-letnia GALINA SPIRINA: — *W naszym charakterze nie leży żyć spokojnie. Ciągle szukamy ulepszeń, dróg do wyeliminowania bubli. Nad wzorami butów*

czuwa rada artystyczna. Chodzi o to, żebyśmy nie wstydzili się chodzić w butach z naszego kombinatu.

Z przewodniczącym organizacji komsomolskiej, WIACZESŁAWEM SAWIELIEWEM rozmawiam o metodach pracy z młodzieżą. Wiaczesław wrócił właśnie z zebrania z wydziału 23 i dzieli się refleksjami: — *Nie odpowiada nam styl chwalenia wszystkiego, upiększania naszych osiągnięć. Takie wychowanie doprowadza do tego, że dziewczyna, czy chłopak zaczynają myśleć: jeżeli wszystko jest tak dobrze, to właściwie nie ma nic do roboty. Drugi sposób — mówienie tylko o zjawiskach negatywnych, o tym, że jest źle, trudno itp. Jeżeli jednak wszystko przedstawia się w ciemnych barwach — nie ma perspektyw i zanikają bodźce do przezwyciężania trudności.*

— *Jedynym skutecznym sposobem* — dopowiada sekretarz Pautkin — *jest włączenie młodego człowieka do realnego działania, poczuje się on gospodarzem fabryki, internatu, osiedla.*

Wysocki i rock

W sklepie „Melodii" długa kolejka. Ukazał się właśnie nowy 2-płytowy album z pieśniami wojennymi Władimira Wysockiego — „Synowie idą do boju". Z gramofonu rozlega się dźwięk gitary i niepowtarzalny głos Wysockiego, wybitnego poety, aktora, pieśniarza.

— *Ludzie najróżniejszych profesji uważają Wysockiego za swego* — mówi z przekonaniem Walerij Szarygin. — *Lotnicy twierdzą, że on sam latał, marynarze, że wiele pływał i wiedział, co to takiego rozłąka i morze. U tych, którzy byli na froncie powstaje wrażenie, że poeta także był na pierwszej linii i śmierć zaglądała mu w oczy. Wysocki był poetą z natury, urodził się z obnażoną duszą.*

Do Wysockiego pisano i pytano: czy przypadkiem nie służył pan w naszym oddziale? Dlatego, że śpiewa pan właśnie o nas. Cóż może być milszego od takiej oceny dla człowieka, który urodził się w 1938 roku... Twórczość Wysockiego przeżywa teraz w Związku Radzieckim renesans. Powołano komisję, która zbiera, opracowuje i popularyzuje jego spuściznę artystyczną. Pracami komisji kieruje poeta ROBERT ROŻDIESTWIENSKI, w jej skład weszła wdowa po Władimirze, znana francuska aktorka MARINA VLADY. Do druku przygotowuje się duży album, który będzie składał się z 10 płyt.

30-letni WŁADIMIR BIELAJEW w „Uljanowskiej Prawdzie" apeluje o większe zrozumienie dla nowego nurtu w muzyce. Chodzi o rock, o jego szerszą prezentację w środkach masowego przekazu czy też na wideo.

— *To prawda, że słowo „rock" jest pochodzenia angielskiego — ale przecież także słowo „balet" jest zapożyczone z francuskiego. I co, czy również należałoby je wyeliminować? Rock istnieje u nas od lat, jest to rock rosyjskojęzyczny. Pojawiły się dziesiątki grup, które zdobyły szeroki rozgłos w środowisku młodzieżowym np. „Arsenal", „Akwarium", „ZOO-PARK", grupa Stasa Namina. Znalazły one swoje audytorium, które woli ostrą muzykę i drapieżne teksty od landrynkowych piosenek o niczym. Również wśród starszego pokolenia, w ministerstwie kultury ZSRR zwycięża opinia, że zespołów rockowych nie należy się bać, ale przeciwnie — trzeba im pomóc.*

Temat dnia

Walerija Szarygina jako speca od ekonomii pytamy o ostatnią ustawę o indywidualnej działalności zawodowej. Walerij zapala się: — *To niewątpliwe novum. Praca indywidualna będzie oparta na działalności własnej i rodziny. Ludzie już zgłaszają się z propozycjami pracy rzemieślniczej, rękodzielniczej, usługowej. Lekarze niektórych specjalności będą mogli prowadzić praktyki prywatne, powstaną firmy budowlane, remontowe, samochodowe, kawiarnie rodzinne. Praca indywidualna będzie uzupełniać luki w tych dziedzinach, w których tworzenie dużych zakładów nie zawsze jest opłacalne. Czy to zmiana kursu? Sądzę, że nie. To nowy etap w trosce o byt ludzi pracy, o efektywność gospodarowania.*

Zakupy

Kupujemy cytryny i mandarynki, mechaniczne zabawki i efektowne sztućce. Sklepy są pełne kupujących, właśnie ogłoszono sezonową obniżkę cen. Nie brakuje oryginalnych dżinsów z zachodnich firm (po 70 rubli sztuka). Odnoszę wrażenie, że dla radzieckiego klienta ważniejsza od ceny jest jakość wykonania wyrobu i modny styl. Szuka się po prostu rzeczy ładnych i często przepłaca. Sprawa nadążania za światową modą budzi ożywione dyskusje na łamach prasy. Atakowany bez pardonu resort przemysłu i handlu zakupił kilka licencji na odzież u renomowanych producentów Włoch, Francji, Anglii. Coraz więcej kobiet w Uljanowsku ubiera się w udane fasony, modne kolory i starannie wykończoną odzież.

*

Pora na dworzec. Gospodarze wręczają upominki — babki matrioszki i miniatury samochodów UAZ-468 produkowanych właśnie w Uljanowsku. W mieście, po obu stronach Wołgi, zapalają się kolorowe neony. Ostatnie spojrzenie na morze uljanowskich świateł, wśród których potrafię rozróżnić już znajome mi punkty.

---

zdrowiu, niepotrzebne nerwy i emocje. Była też przestroga, iż w każdej chwili może zdarzyć się wpadka. Ale tym najmniej się przejęli.

Trzeba przyznać, iż Bogusiowi i spółce szczęście sprzyjało nieraz. W grudniu 1984 r. wybrali się na wyprawę do Rabki, gdzie w pobliżu stacji kolejowej wypatrzyli stojący na uboczu kiosk warzywno-spożywczy, należący do Jana S. Za szybą kiosku było trochę artykułów pochodzenia zagranicznego, które nęciły kolorowymi opakowaniami. Ponieważ zbliżał się dzień świętego Mikołaja, młodzieńcy postanowili wystawę opróżnić, aby mieć z głowy problem upominków dla swoich sympatii. Odczekali czas jakiś, po czym ze schowka ulokowanego przy stacji wyciągnęli narzędzia złodziejskie i przystąpili do pracy. Właściciel kiosku powiesił jednak przy drzwiach wejściowych solidne kłódki, których nie imał się majzel. Narobili trochę huku, co zaalarmowało Stanisława R., mieszkającego nieopodal kiosku. Na jego widok sprawcy zbiegli, lecz pojawili się niebawem ponownie, by kłódki sforsować przy pomocy piłek do żelaza. Piłki jednak okazały się bublami: szybko popękały. Młodzi ludzie musieli więc od włamania odstąpić. Gdy już byli w bezpiecznej odległości od kiosku, dostrzegli milicyjną „Nysę", która zjawiła się na sygnał Stanisława R. Po tym niefarcie Boguś i koledzy szybko Rabkę opuścili.

Byli też bliscy wpadki w Zakopanem na Krupówkach, gdzie po dłuższych spacerach naszedł ich głód. Szajka Bogusia postanowiła rozebrać tylną ścianę kiosku spożywczego i przy tej czynności zastali ich milicjanci. Stojący na czatach Jędrek, wykorzystywany do roboty niezbyt często z uwagi na nerwowe odruchy, nie gwizdnął w porę, mimo to udało im się z zagrożonej strefy wydostać. Najbardziej w ucieczce tej ucierpiał szef Boguś, który ścigany był najdłużej i który dla ratowania swojej wolności osobistej musiał przemierzać lodowate strumyki. Wypadek ten nadszarpnął jego reputację i stanowił długo przedmiot kpin.

Boguś i spółka upodobali sobie nade wszystko prywatne kioski i butiki. Można było nawet odnieść wrażenie, iż postanowili „prywaciuchę" w Rabce i okolicy wytępić. W działaniach swych byli bardzo konsekwentni i systematyczni, doprowadzając między innymi właściciela prywatnej frytkarni przy ulicy Orkana, Mirosława S., do decyzji o rezygnacji z prowadzenia interesu. Owa smażalnia frytek znajdowała się w pobliżu „Zdrojowej", której częstymi bywalcami i konsumentami byli członkowie szajki Bogusia, i z tego pechowego położenia wynikało nieszczęście właściciela frytkarni. Zaczęło się to latem 1984 r., kiedy szajka wysłała późnym wieczorem nieletniego, aby szybę wystawową pokroił. Małolat zadaniu nie sprostał, więc zdzielił ją scyzorykiem. Efekt był ten sam, może tylko trochę mniej elegancki. Po przetarciu drogi przez małolata, pozostali wkroczyli do lokalu i zabrali radio „Amator" z kolumnami oraz pieniądze. Od tej chwili odwiedziny powtarzały się często, choć Mirosław S. starał się im zapobiegać. Włamywacze znajdowali jednak zawsze sposób, aby zastawione przez niego pułapki omijać. Łupem sprawców padały często drobne kwoty w bilonie. Po kolejnych — chyba dziesiątych — odwiedzinach włamywaczy właściciel chciał już zrezygnować z interesu, niebawem jednak zapoznał się ze swymi prześladowcami osobiście podczas prowadzonej przez funkcjonariuszy wizji lokalnej.

Boguś i spółka mieli również kilka innych ulubionych lokali. Należał do nich warzywniak Michała K., prowadzącego również kupno i sprzedaż artykułów pochodzenia kolonialnego. Delicje te nęciły Bogusia i spółkę, którzy i ten lokal odwiedzali równie często jak frytkarnię Mirosława S. Zdarzało się jednak nieraz, iż właściciel w terminie nie zadbał o atrakcyjną dostawę, a wówczas włamywacze karali go dodatkową karą porządkową: dokonywali „wymieszania grochu z kapustą", pcsypując podłogę makiem i polewając miksturą powstałą po rozbiciu świeżych jaj w zalewie kompotowej. Tak spreparowany kogiel-mogiel zostawiali na środku lokalu, aby właściciel o odwiedzinach Bogusia, „Janosika" i spółki pamiętał długo.

Powodzeniem u naszych włamywaczy cieszył się też kiosk gastronomiczny Heleny C. i Antoniego T. Zaglądali do niego, oczywiście, poza godzinami urzędowania właścicieli. W celach degustacyjno-konsumpcyjnych przede wszystkim, choć nie pomijali również okazji zabrania wszystkiego, co w miarę znośną wartość materialną przedstawiało. Jako się rzekło, częstym powodem włamań był apetyt na łakocie. Pewnej nocy włamywacze urządzili sobie nawet bal, w którym jako danie główne występowały ciastka popijane pepsi-colą. Niektórzy z nich mieli nazajutrz kłopoty zdrowotne. Wyłączyło to na pewien czas ów kiosk z orbity ich zainteresowań.

Grupa Bogusia nie gardziła włamaniami bardziej poważnymi — do sklepów handlu detalicznego, nie omijała także sposobności włamań do pozostawionych na parkingach samochodów. W tych przypadkach rolę główną odgrywał małolat, który miał złotą rączkę: jakieś dziwne manipulacje z zamkiem wyczyniał i z reguły jego działania były skuteczne. Pozostali chcieli pobrać od małolata nauki w tym przedmiocie, lecz on zasłaniał się tajemnicą zawodową i w roli nauczającego nie chciał wystąpić.

Małolat, Boguś i inni, dochodzący i zmieniający się w zależności od sytuacji, członkowie szajki grasowali sobie po Rabce, Nowym Targu, Zakopanem i okolicach, aż doczekali się obszernego aktu oskarżenia. Prokurator zarzuca im dokonanie 90 czynów przestępczych popełnionych wspólnie i w porozumieniu oraz kilkanaście tzw. „solówek". Skończył się sen o Janosikowej sławie, skończyło beztroskie życie. Ze wszystkiego trzeba będzie zdać rachunek.

Kowal

Kuźnia JANA ZASOWSKIEGO w Stróżówce istnieje od 1910 roku. Dziadek Jana był kowalem w Grybowie. Ojciec, przejąwszy fach po dziadku, ożenił się w Stróżówce i tu przeniósł kuźnię. Mały Jasio pomagał ojcu. Poparzył się nieraz, przytłukł sobie palec „hamerem". Nie zraził się, odziedziczył zakład, został kowalem.

Kuźnia ojcowska była drewniana, mała i ciemna. Stały w niej tylko: kowadło z paleniskiem, wiertarka o ręcznym napędzie i rząd młotów różnej wielkości. Niewiele tych staroci przetrwało. Jan sam pustaki zrobił, budę powiększył, palenisko ulepszył.

Za czasów Stanisława Zasowskiego dwóch kowali kuło w Stróżówce. Nie konkurowali ze sobą, każdy miał swoich klientów. Do Zasowskiego przyjeżdżali z Turzy, Moszczenicy, Mszanki, nawet spod Ciężkowic. Znał czworonogich bywalców, na pamięć przyfasowywał podkowy. Często usługę na kredyt zrobił, gdy chłopa nie stać było na zapłacenie. Jeszcze na strychu jest gdzieś zeszyt z zapiskami kto, ile...

Napatrzył się Jan na kucie koni, sam naprzybijał — ho, ho, już nie zliczy. Ale pociągało go coś nowego: mechanizacja. Pamięta zafascynowanie tokarką z „unry" i tym, co dzięki niej można zrobić. Każdy wóz czy najprostszą maszynę wolał naprawiać niż przybijać podkowy. Szczęśliwie dla młodego kowala złożyło się, że rolnictwo zaczęło z koni przestawiać się na traktory. W latach sześćdziesiątych już na palcach mógł policzyć klientów z końmi. Teraz w okolicy jest takich czterech. Gdyby poprzestał na podkowach, musiałby zamknąć kuźnię. Powstrzymywało go to, że po inne usługi ludzie zaczęli się zgłaszać. Drewniane ramy maszyn i wozów zamieniało się na żelazne. W siewnikach, kosiarkach ciągle coś się psuło, nie miał kto śruby dorobić, kątownika przyspawać, lemiesza dosztukować. Więc już nie z końmi, a z maszynami rolników przyjmował.

O własnym traktorze nawet nie myślał, bo pola ma niedużo, ale mały ciągniczek był potrzebny. Akurat kończyły swój żywot przedwojenne „dekawki", „zindapy", kupowało się gruchoty za grosze. Sześciocylindrowego BMW kupił, rozebrał — trochę z konieczności, trochę dla nauki — potem zmontował co najkonieczniejsze, małą przyczepkę dodał i miał pojazd niezawodny.

Poszli inni w jego ślady, przerabiali motocykle i pierwsze „warszawy" na traktorki. Przydała się kuźnia Zasowskiego i jego zamiłowanie do nowości.

Dzisiejsza kuźnia bardziej przypomina warsztat remontowy POM-u. Wyposażył ją zgodnie z potrzebami. Za gilotynę do blachy, własnej konstrukcji, dostał nagrodę Izby Rzemieślniczej w Rzeszowie. Ma w kuźni i na podwórku części dosłownie do wszystkiego, bo wszystko może się przydać. Teraz mu obojętne, z czym gość się zgłosi: z piłą tartaczną, betoniarką, młocarnią.

Po podkowy prawie nikt się nie zgłasza, za to z Polmozbytu — zdarza się — przysyłają klientów. Oni nie mają części, a Zasowski wszystko dorobi! — *Pewnie, że dorobię, ale najpierw jestem dla rolnictwa. Nawet jak ktoś część do malucha potrzebuje ekspresowo i z butelką przyjdzie, każę czekać w kolejce. Ekspresem tylko kosiarki w czasie żniw naprawiam, bo rolnikom naprawdę wtedy się spieszy.*

Znają firmę Zasowskiego synowie tych, co tu konie kuli. Nie szukają innych warsztatów. Tym bardziej, że na inne punkty usługowe są narzekania, a u kowala ze Stróżówki jakość gwarantowana. Nawet rzeczoznawca z POM-u w Sokole to przyznaje.

— Więcej takich! — chwalą klienci firmę, a kowali nie przybywa. Cała nadzieja w Antku, szesnastoletnim synu Zasowskiego, którego też pociąga mechanizacja. Uczy się w szkole zawodowej, u ojca praktykuje. — *We wszystkim pomoże, tylko w podkuwaniu koni praktyki nie zdobędzie* — konstatuje senior. — *Przyjąłbym uczniów, mam w starym domu pomieszczenia socjalne, robota znajdzie się dla każdego i zakwaterowanie nawet. Co z tego, nie ma chętnych. Ranga zawodu upadła...*

Przedwojenny kowal był po księdzu i nauczycielu najważniejszą osobistością we wsi. Dziś Zasowski też nie ostatni. Nie stroni od tego, czym żyje jego wieś. Był w komitecie gazyfikacyjnym, słupy telefoniczne z innymi wkopywał. Kiedy dzieci ze starej szkoły chciano wozić do zbiorczej, w Kobylance, stał „frontem" z broniącymi miejscowej szkoły. Przekonali „gminę" pomogła zbudować nową. Ławki i wiele innego sprzętu dorabiał Zasowski w kuźni. Teraz, odkąd Antoś w zawodówce, też niejedno naprawiało się dla szkoły.

W siedemdziesiątych latach dorobił się wreszcie kowal nowego domu. Na dodatek „ładę" sobie sprawił. Zakłuło w oczy takich, którzy by młota do ręki nie wzięli. Posypały się donosy. Że mechanikę robi, a zarejestrowany na kowalstwo, że samochodami klienci podjeżdżają. — *A co, jak rolnicy dorobili się samochodów, to furmankami mają przyjeżdżać?*

Napisał ktoś, że traktorki „nielegalnie" produkuje. A kowal pyta: czy to nielegalne, że mi ktoś części dostarczy, a ja zmontuję? Sąsiad zrobił sam dwukołówkę, to w gazecie go pochwalili, jak sobie usprawnia pracę. Bo na wsi właśnie małej mechanizacji brakuje. — *Każdemu pomogę* — powiada kowal. — *Takie usługi to też kowalska robota. A młodzi inspektorzy z Urzędu Skarbowego przychodzą i pytają, gdzie te konie? Albo zobaczą felgę i zaraz: ile takich zrobiłem, za ile? Więc tłumaczę, że nie robię, tylko regeneruję. Nie produkuję też na sprzedaż traktorków. Ale co: nie ma koni, to powinienem zamknąć zakład?*

Doradzali mu niektórzy: zamknij! Powiedział: — Nie, najgorsze czasy dla rzemiosła przetrzymałem, to już zostanę. Może synowi przekażę...

Na szyldzie kuźni nie podano godzin pracy. Bo niby jak je unormować? Gdy prace polowe, kuźnia nie ma wolnych sobót ani niedziel. Codzienna robota od rana do wieczora. Jest poza tym zajęcie we własnym gospodarstwie. Mało czasu zostaje na telewizję, na gazety. Prenumeruje Zasowski: „Gromadę — Rolnika Polskiego", „Motor", „Krakowską", „Dunajec".

☆

Urząd Skarbowy w Gorlicach. Naczelnik JÓZEF KAMIŃSKI mówi: — *Nikt takiej instytucji jak nasza nie kocha. To wiadomo. Kontrolowanie jest naszym obowiązkiem, trudno. Dochodzą do nas głosy, przeważnie anonimowe, o „nielegalnej" produkcji Zasowskiego. Nie stwierdziliśmy nic takiego. Osobiście zgadzam się, że kowalstwo to już nie tylko kucie koni. Produkcja maszyn rolniczych jest preferowana przez państwo, nie obciążona dużymi podatkami.*

Czy jeżeli ktoś poprosi kowala o zmontowanie ciągnika z dostarczonych elementów, kowal zrobi to nielegalnie? — pytam. Naczelnik przeczy.

— A jeśli kowal zrobi dwa takie ciągniki?

— *Też nie.*

Gdzie wobec tego jest granica nielegalności?

— *O zakresie usług decyduje naczelnik gminy. Trudno ustalić ścisłą granicę usług kowalskich. Każdemu rzemieślnikowi wolno wykonać 10 do 15 procent innych usług. Ale powtarzam panu: nasze kontrole nie wykazały niczego, co dałoby podstawę do zmiany opodatkowania.*

Odpowiedzi na pytanie: co może, czego nie może zrobić kowal, szukam w gorlickim Cechu Rzemiosł Różnych.

Kierownik biura, KAZIMIERZ SOBIENIAK: — *Jan Zdsowski posiada dyplom mistrzowski w zawodzie „kowal usługowy we wszystkich specjalnościach". Wśród sześciu zarejestrowanych u nas kowali — czterech, oprócz Bodziocha i Zasowskiego, to emeryci. Zasowski jest bardzo szanowanym rzemieślnikiem, członkiem Zarządu Cechu, członkiem Miejskiego Komitetu SD. Posiada złotą odznakę „Za zasługi w rzemiośle", w tym roku Centralny Związek Rzemiosła nadał mu Honorową Odznakę Rzemiosła.*

Starszy Cechu, EDWARD ORŁOWSKI: — *Pamiętam jeszcze ojca Zasowskie; obaj ciężko pracowali, nic im łatwo nie przyszło. A ludzie zamiast wzorować się na nich, garnąć do zawodu, zazdroszczą. Co do zakresu usług, w rzemiośle obowiązują przepisy z lat sześćdziesiątych. Ostatnio w Sejmie minister odpowiadał na interpelację dotyczącą tych spraw. My w nowosądeckiej Izbie Rzemieślniczej opracowaliśmy nowe propozycje przepisów, poszły do centrali, czekamy na wprowadzenie ich w życie. Wtedy nie będzie tylu niejasności.*

Sobieniak wtrąca: — *Przy małej liczbie rzemieślników na wsi, w dodatku w zanikających zawodach, trzeba na nich popatrzeć łaskawszym okiem.*

KRZYSZTOF KAMIŃSKI

Sądeczanie na morzu

Gdy w kwietniu 1982 roku rozpoczynaliśmy na łamach „Dunajca" cykl „Sądeczanie na morzu", pierwszy odcinek poświęciliśmy kmdr. por. **Władysławowi Salamonowi.** Niestety, 18 sierpnia 1986 roku ów senior Sądeczan służących morzu odszedł na wieczną wachtę. Był w kampanii wrześniowej dowódcą ORP „Sęp", podczas II wojny światowej dowodził okrętami internowanymi w Szwecji — ORP „Sęp", ORP „Żbik", ORP „Ryś", ścigacz ORP „Batory" i statek szkolny „Dar Pomorza" — które utrzymywał w dobrym stanie technicznym i przyprowadził jesienią 1945 roku do Gdyni; był dowódcą dywizjonu okrętów podwodnych w Marynarce Wojennej PRL i komendantem Portu Wojennego na Oksywiu. Odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski spoczywa na cmentarzu Marynarki Wojennej na Oksywiu.

Ze „starej gwardii" Sądeczan odeszli też ostatnio kpt. ż. w. **Marian Wassermann-Warmiński** i kpt. ż. w. **Zbigniew Talaśka,** który zginął wraz z m.s. „Busko Zdrój" na Morzu Północnym.

✻

Dziś pragnę przedstawić kolejną rodzinę Sądeczan, którzy oddali się morzu. Są nimi **Peszkowscy z Muszyny.**

Rodzina ta przybyła do Muszyny na początku naszego wieku z Dobromila. Senior, **Kazimierz Peszkowski,** inżynier budownictwa wodnego, pracował w Państwowych Zarządach Dróg Wodnych. Wybudował w Muszynie siedzibę nazwaną „Nasz domek"; mieszkał tu wraz z żoną Zdzisławą, córkami Marią i Janiną oraz dwoma synami, którzy rychło ruszyli w świat.

Roman Peszkowski urodził się w 1910 r. Gimnazjum humanistyczne ukończył w 1928 roku w Nisku nad Sanem. Służbę wojskową odbył w latach 1928/29 w Szkole Podchorążych Rezerwy Łączności w Zegrzu. W 1930 r. rozpoczął studia na Wydziale Budowy Okrętów (sekcja Budowy Maszyn Okrętowych) na Politechnice Wolnego Miasta Gdańska. W czasie studiów odbył praktyki w Stoczni Gdańskiej, Stoczni Augustin Normand w Le Havre we Francji, Zakładach „Ursus" oraz na statkach „Warszawa" i „Robur V". Był wszechstronnie przygotowany do pracy zawodowej. Aktywnie działał w ówczesnej Polonii gdańskiej, w „Bratniej Pomocy" na Politechnice oraz w Związku Studentów Polaków Budowy Okrętów „Korab". Dyplom uzyskał w 1939 roku. i podjął pracę zawodową w Fabryce Lokomotyw w Chrzanowie — jako kierownik sekcji konstrukcji mechanizmów okrętowych. 24 sierpnia został zmobilizowany i wziął udział w kampanii wrześniowej jako dowódca plutonu łączności w 28 dywizji piechoty. 9 września dostał się do niewoli niemieckiej pod Mszczonowem. Potem były obozy jenieckie: Oflag IIA, IIEk, IIP w Neubrandenburgu i w Prenzlau, aż 3 maja 1945 r. oddziały angielskie wyzwoliły go z niewoli. Przebył rekonwalescencję w Lubece, Paryżu, Brighton i Londynie, a w lutym 1946 r. powrócił do kraju.

Przybył na Wybrzeże Gdańskie jako jeden z nielicznych okrętowców i już od marca zaczął pracować w Stoczni nr 2 jako kierownik Biura Technicznego, a następnie — po połączeniu Stoczni nr 1 i 2 w Stocznię Gdańską — był kolejno: kierownikiem Działu Technicznego, szefem produkcji, kierownikiem Wydziału Wyposażenia Okrętów. Równolegle wykładał na Politechnice Gdańskiej, prowadząc przedmiot „Śruby napędowe okrętowe" i będąc starszym asystentem prof. Adolfa Polaka przy Katedrze Części Maszyn. Po aresztowaniu prof. Hilarego Sipowicza (w 1956 r. profesor został zwolniony i zrehabilitowany) prowadził jego przedmioty: urządzenia maszynowe okrętów i pompy. W latach 1946—48 pracował również jako inspektor maszynowy w Polskim Rejestrze Statków. Lecz

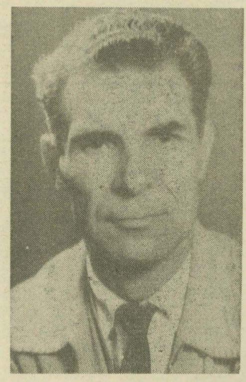

Roman Peszkowski

główną jego domeną była praca inżyniera stoczniowca i jej poświęcił całą swoją energię, uczestnicząc przy budowie w Stoczni Gdańskiej pierwszych trawlerów rybackich typu B—10 s/t „Rega s/t „Radunia" oraz przy budowie serii rudowęglowców B—30, popularnych „Sołdków". Ceniony i szanowany, cieszył się dużym zaufaniem załogi stoczni i studentów Wydziału Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej.

W 1952 r. wraz z grupą innych okrętowców i marynarzy został wysiedlony z Gdańska. Był to najtrudniejszy okres jego życia. Znalazł zajęcie we

W HARCERSKIM MUNDURZE

Dom z początku stulecia, ale zadbany, nie zniszczony. Na piętrze pokój urządzony staroświecko: przedwojenne pianino, piec z rzeźbionych kafli, haftowane poduszki, rodzinne fotografie, stare książki i dużo kwiatów. Wszystko w zieleni. Podobnej do zieleni munduru harcerskiego, towarzyszącego MARII SEROCZYŃSKIEJ od 50 lat. A także wojskowego munduru Anatoliusza, jej męża, oficera.

Któż w Gorlicach nie zna pani Marii, nauczycielki, instruktorki, założycielki chórów, zespołów muzycznych? W domu na Waryńskiego urodziła się, przemieszkała prawie całe życie. Od kilku lat jest na emeryturze, ale nie zamknęła się w swoim przytulnym mieszkaniu. Jest wśród uczniów jak dawniej. Nie zauważyła nawet, ile to lat minęło. Aż nadeszła nie byle jaka okazja: złoty jubileusz. Zasiadała do pamiętnika. Jej najcenniejsze pamiątki zginęły podczas wojny. Nie byłoby czym zilustrować kroniki, gdyby nie uczniowie. Znosili zdjęcia, na których poznawali swoją nauczycielkę, drużynową, komendantkę obozu...

☆

Jako uczennica Powszechnej Żeńskiej Szkoły, a następnie w gorlickim seminarium nauczycielskim, zdobywała kolejne szczeble harcerskiego wtajemniczenia. Dużym wyróżnieniem był udział w międzynarodowym zlocie młodzieży w Spale, w 1935 r. Taka była jej pierwsza wielka miłość: harcerstwo, życie obozowe, zdobywanie sprawności. Stała się instruktorką z zamiłowania i z pełnym przygotowaniem fachowym. Ukończyła kurs drużynowych w znanej w owych czasach szkole instruktorskiej w Buczu koło Skoczowa.

W trzydziestym dziewiątym wyjechała na roczną praktykę zawodową na Kresy, do Rozdoła. — Zostaję — zadecydowała. Założyła drużynę harcerską, układała sobie pracę. Jeszcze tylko na lato przyjechała do Gorlic. W ostatnim dniu wakacji, wraz ze wszystkimi gorlickimi harcerkami, została przydzielona do pełnienia dyżuru na dworcu PKP. Wzmożoną czujność spowodował wybuch bomby w budynku stacyjnym w Tarnowie.

Tak więc wojna zastała ją w Gorlicach. Włączyła się do harcerskiej akcji dostarczania odzieży więźniom obozu w „buciarni". Pokryjomu wynosiła z domu koszule ojca. Niebawem wraz z koleżankami musiała uciekać. Trafiły aż na Lubelszczyznę. Tam też nie próżnowały, pomagały partyzantom, ona potajemnie uczyła dzieci polskich wierszy.

Po wojnie, z mężem i pierwszym dzieckiem, zamieszkała ponownie w ocalałym domu rodzinnym. Kończy studia nauczycielskie w Raciborzu, zostaje nauczycielką muzyki. Prowadzi też drużynę harcerską i zuchową. Pełni funkcję zastępcy, z czasem komendanta hufca.

Niezależnie od pracy instruktorskiej, poświęca się nauczaniu muzyki, nie tylko na lekcjach. Wiele lat prowadzi ognisko muzyczne w „czwórce", w szkołach średnich, zakłada kolejno: chóry, zespół mandolinistów, folklorystyczny zespół góralski. Prowadzi drużyny zuchowe, pełni funkcje w hufcu.

Zbiórki, biwaki, próby, występy, wyjazdy i — dom, a na wszystko znajduje czas. Trzej synowie otrzymują staranne wychowanie i wykształcenie, wszyscy posiedli także umiejętność gry na kilku instrumentach. Jeden zostaje zawodowym muzykiem, drugi nauczycielem.

Zuchów i harcerzy też traktowała jak swoje dzieci. Chciała, by tak samo poznały co dobre, co złe; odkrywała przed nimi piękno i tajemnice otaczającego świata.

Druhna Maria Seroczyńska wśród kadry obozu w Brzanie Górnej

Niedziele nie były dla Marii Seroczyńskiej dniami odpoczynku. Także wakacje spędzała z zuchami, harcerzami. Na kolonii, obozie, albo na nieobozowej akcji w mieście (wiele lat była szefową sztabu). Ferie w domu, przy piecu? Nie wyobraża sobie!

System zuchowy w pierwszej klasie wprowadziła, zanim minister oświaty to zarządził. Czym przyciągała dzieci? Starymi, sprawdzonymi przez siebie metodami. Wymyślała jak najatrakcyjniejsze zabawy. Najczęściej pożyczało się namiot i w teren, na biwak. Do Szymbarku albo przynajmniej na górę Parkową. Na pieczenie ziemniaków nad Stróżowianką. Gry, zabawy, piosenki, wędrówki, zdobywanie sprawności, obietnica zuchowa przy ognisku... Gdy pogoda zatrzymywała ich w szkole, też nie było zmartwienia. Zuchy zajmowały cały budynek na gry „terenowe", na podchody. Same robiły teatrzyk. Bawiąc się poznawały miasto, wieś, przyrodę, prawo zuchowe.

Nieodłącznym elementem zbiórki była gawęda. Nią także drużynowa zdobywała dzieci. Nauczyła się interesująco gawędzić. Właśnie, gawędzić, a nie przemawiać. Zaciekawiała nawet starszych harcerzy. Ba, ich rodziców. — *Oficjalnych przemówień do dziś nie umiem wygłaszać* — przyznaje się.

Pamiętnik grubieje. Lecz czy zdoła odtworzyć wszystkie fakty, przygody? Samych wspomnień obozowych uzbierałoby się na książkę. Najpierw jako szeregowej uczestniczki, potem członka kadry, komendantki. Obliczyła: w sumie trzy lata życia spędziła pod namiotem! Jeszcze by chętnie pojechała, ale w osiemdziesiątym trzecim, w Czerwonej Woli była z zuchami ostatni raz na letniej kolonii. Lekarz więcej nie pozwolił.

To nic, że wiek, że siły już nie te. Druhna Maria Seroczyńska nie poddaje się. Jest w pięciu komisjach Komendy Hufca i Chorągwi. — *Czy mam te funkcje opuścić, panie doktorze?* — spytała. — *Nie!* — uspokoił ją lekarz.

Harcerstwo ukształtowało nie tylko jej tryb życia, pracę zawodową. Najprościej mówiąc — weszło jej w krew. — *Gdyby nie zaradność żony, optymizm, pracowitość, umiejętność godzenia wszystkich obowiązków — nieraz byłoby ciężko* — podsumowuje mąż. I dodaje to, co żonie trudniej powiedzieć: — *Wielu byłych uczniów, zuchów, harcerzy spotykamy w Gorlicach. Proszę mi wierzyć: wyrośli na porządnych ludzi.*

KRZYSZTOF KAMIŃSKI

Sławomir Peszkowski

Wrocławiu w Placówce Rzecznej Polskiego Rejestru Statków jako starszy inspektor; pracował tam do 1954 r. Już w 1952 r. minister żeglugi polecił mu podjęcie pracy w Biurze Konstrukcyjnym Taboru Rzecznego we Wrocławiu, gdzie Peszkowski początkowo był kierownikiem pracowni, a następnie głównym inżynierem, przekazując swoje doświadczenie zawodowe okrętowcom śródlądzia. W 1957 r. powrócił do Stoczni Gdańskiej, na prośbę pracowników, gdyż jego wysiedlenie było jedną z bolesnych pomyłek tamtych lat. Pracował w Stoczni do 1965 r. jako szef Technicznego Przygotowania Produkcji (do 1959) a następnie jako zastępca dyrektora ds. produkcji wysokoprężnych silników okrętowych, którą to produkcję zorganizował i rozwinął w ramach Zakładu Silników Stoczni Gdańskiej. W 1963 r. objął stanowisko głównego inżyniera budowy ds. maszynowych. Był również w tym okresie członkiem Rady Programowej czasopisma „Budownictwo Okrętowe", organu Sekcji Okrętowców SIMP.

W 1965 roku przeszedł do Zjednoczenia Morskich Stoczni Remontowych na stanowisko szefa Rozwoju Branży i Inwestycji. Równolegle w latach 1967—69 wykładał w Zasadniczej Szkole Zawodowej dla pracujących w Gdańskiej Stoczni Remontowej podstawy budownictwa okrętowego.

Uhonorowano go m. in. Złotym Krzyżem Zasługi, Brązowym Medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju" oraz Odznaczeniem „Za Zasługi dla Miasta Gdańska".

W 1969 r. wyjechał do Belgii, a następnie do Kanady, gdzie żyje w Burlington w Ontario, dzisiaj już na emeryturze.

Sławomir Peszkowski — konstruktor, urodził się w 1918 r. Śladem swojego starszego brata też poszedł na morze. W 1937 r. rozpoczął studia na Politechnice Wolnego Miasta Gdańska — na Wydziale Budowy Okrętów, sekcji Budowy Maszyn Okrętowych. Już we wczesnej młodości działał w Żeglarskiej Drużynie Harcerskiej, toteż jako student w Gdańsku stał się bardzo czynny w Akademickim Związku Morskim, a w 1938 r. uzyskał stopień sternika morskiego. Działał również w polskich organizacjach studenckich „Korabiu" i „Bratniej Pomocy".

Do wybuchu II wojny światowej ukończył 2 lata Politechniki. W sierpniu i wrześniu odbywały się doroczne bałtyckie rejsy żeglarskie, których trasa wiodła przez Warnemünde, Bornholm, Visby; prowadził wówczas jacht „Panna Wodna" i wybuch wojny zastał go na Bałtyku. Sławek Peszkowski wraz z załogą postanowił wrócić do ojczyzny. Przerwali blokadę niemiecką i 11 września jacht doprowadził do Gdyni. Obrona Gdyni dobiegała końca. Wyjść już nie zdołali. Po wkroczeniu Niemców wraz z częścią załogi został aresztowany i wywieziony do Stutthofu. Po paru miesiącach skierowano go jako robotnika rolnego do pracy w Prusach Wschodnich, gdzie pozostał do 1942 r.. Wykorzystując urlop w ówczesnym Generalnym Gubernatorstwie, uciekł do Muszyny, a następnie zatrudnił się w Biurze Konstrukcyjnym Parowozów w Chrzanowie, jako technik-konstruktor. I tak przetrwał do wyzwolenia, by natychmiast w 1945 r. powrócić do Gdańska. Tu podjął przerwane studia na Wydziale Budowy Okrętów, pracując równocześnie w Biurze Konstrukcyjnym Stoczni, a następnie w Centralnym Biurze Konstrukcji Okrętów — CBKO 1, na Wydziale rurociągów, jako projektant, starszy projektant, zaś w latach 1952—1955 kierownik tego Wydziału.

Studia ukończył w 1952 r. W latach 1956—1961 był dyrektorem technicznym CBKO-1, a po upłynięciu kadencji na tym stanowisku — pracował nadal w CBKO-1 jako kierownik pracowni projektowania siłowni okrętowych.

W 1968 r. — oddelegowany — podjął pracę w poznańskich Zakładach Cegielskiego, w Biurze Handlowym przy eksporcie silników okrętowych HCP-Sulzer. Wyróżniono go m. in. Nagrodą Państwową I stopnia (w 1952 r.) i Złotym Krzyżem Zasługi (w 1958 r.)

W latach 1971—76 był kierownikiem Przedstawicielstwa HCP w Bombaju. Tam przeżył tragedię: stracił córkę. Zdecydował, że pozostanie w Indiach. Zaangażował się jako przedstawiciel armatora szwajcarskiego firmy „Maierform" Genewa, powiązanego z firmą Sulzer, i pracował w Indiach, Japonii, Norwegii i RFN. W 1979 r. był delegowany do Flensburga w RFN, a w 1982 r. do Japonii. Tam obecnie żyje i pracuje.

❋

To nie koniec sagi o Sądeczanach na morzu. Na pewno przyjdą na Wielką Wodę inni, by dopisać dalsze karty służby ludzi z gór morzu i Rzeczypospolitej.

WIĘZIEŃ CZTERECH OBOZÓW

— Teren kamieniołomów przypominał olbrzymie mrowisko. Sto siedemdziesiąt tysięcy więźniów spędzonych z całej Europy zaprzęgnięto do niewolniczej pracy, której celem było unicestwienie jak największej ilości istnień ludzkich. Kto tu przeżył choć jeden dzień, widział prawdziwe piekło. — Tak wspomina swój pobyt w obozie koncentracyjnym w Mauthasen **WOJCIECH MRUK**, dziś emerytowany mistrz kominiarski, żyjący we wsi Siekierczyna koło Limanowej.

Wybuch wojny zastał 21-letniego Wojciecha na Kresach, gdzie od pięciu miesięcy pełnił służbę wojskową w 49 Huculskim Pułku piechoty. Brał udział w bitwie pod Janowem Lubelskim, kiedy to przeważające siły niemieckie rozbiły pułk, a Wojtek — jak wielu żołnierzy dostał się do niewoli.

Jeńców załadowano w pociąg i wysłano do Rzeszy. Pewnej nocy pociąg zatrzymał się na małej stacyjce nieopodal Krakowa. Wokół ciemności, potęgowane przez deszcz. Wymarzone warunki do ucieczki. Wojtek z drugim żołnierzem opuścili wagon. Niemcy czuwali. Posypały się strzały. Ciemność chroniła jednak uciekinierów. Kiedy zdawało się, że już są poza zasięgiem obławy, wyrosła nowa przeszkoda: zasieki z drutu kolczastego.

Ostre druty darły odzież i plecy. Wojtek nie mógł wyplątać się ze zdradliwej sieci. Już myślał, że tu czeka go śmierć, bowiem wartownicy jeszcze strzelali. Niemcom jednak spieszyło się i wkrótce strzały umilkły, a pociąg posapując ruszył w dalszą drogę.

Wojciech poczuł, że coś ciepłego spływa mu pod rękawem bluzy na dłoń. Nawet nie wiedział, że dosięgła go kula. Całą uwagę skupił na wydostaniu się z matni. Na szczęście kolega, który był już poza zasiekami, powrócił i pomógł. Wkrótce obydwaj znaleźli się w lasku. Kolega obwiązał ranę i ruszyli do Limanowej. Po czterech dniach, z ciągle krwawiącą raną, Wojciech Mruk doszedł do domu.

Rok 1940 upłynął dość spokojnie. Wojciech ożenił się. Potem jednak władze okupacyjne zaczęły się interesować młodym, zdrowym mężczyzną. W początkach marca 1941 r. otrzymał wezwanie na gestapo; miał być wysłany na roboty przymusowe do Niemiec. Nie usłuchał. Od tej chwili nie mógł jednak pozostać w domu. Dni i noce spędzał u znajomych, w stodołach i stogach.

W pobliżu Limanowej partyzanci wykoleili pociąg towarowy. Wojciecha okupant podejrzewał o współudział w dywersji. Teraz już nie mógł pokazać się we wsi. „Opiekę" roztoczono także nad domem, w którym mieszkali jego rodzice oraz żona.

W wigilię Bożego Narodzenia 1941 roku Wojciech zdecydował się opuścić kryjówkę i poszedł do limanowskiego kościoła na pasterkę. Spodziewał się spotkać tam z dawno niewidzianą żoną oraz matką. Sądził, że Niemcy w przeddzień świąt będą mniej czujni. Tymczasem gdy wszedł do kościoła, podeszło doń dwu cywilów oraz tyluż gestapowców z pistoletami gotowymi do strzału. Szans na ucieczkę nie miał żadnych. Zaprowadzili go na gestapo. Po świętach został odwieziony do więzienia w Nowym Sączu.

Nie zdążył jeszcze rozejrzeć się po celi, gdy wezwano go na przesłuchanie. Nie, jeszcze nie bili. Podsunęli krzesło, poczęstowali papierosem. Potem poprosili o podanie nazwisk, adresów, kontaktów. Milczał. Skończyła się grzeczność. Cios za ciosem spadały na głowę i twarz. Chwila przerwy — i znowu pytania. Jedno po drugim. Milczenie Wojtka doprowadzało hitlerowców do coraz większej wściekłości. Bili go aż do utraty przytomności, potem wrzucali do celi.

Upiorne dni i noce wlokły się niczym koszmar, kroki na korytarzu czy zgrzyt klucza w zamku mroziły krew więźniów. Wojciech nie dał się złamać. Przetrwał trzy miesiące w nowosądeckich kazamatach, potem wywieziono go do Tarnowa i osadzono w pojedynczej celi. Rodzina nie wiedziała, gdzie się znajduje. Więziono go w Tarnowie do końca lipca 1942 roku, zaś w początkach sierpnia skierowano do obozu zagłady w Oświęcimiu. Przestał mieć imię i nazwisko; stał się numerem 59565.

Od „starych" więźniów dowiedział się, że przez bramę oświęcimską nie ma powrotu do świata. Należy zapomnieć o rodzinie, o wszystkim co pozostało na zewnątrz. Tęsknota nie jest sprzymierzeńcem więźnia. Ale Mruk nie potrafił pozbyć się choćby iskierki nadziei.

W kilka dni później doświadczył na własnej skórze, jak kruche były nadzieje na przeżycie. Podczas wieczornego apelu został wywołany z szeregu. Nie czuł się winnym najmniejszego wykroczenia, a jednak okazało się, że popełnił „przestępstwo", za które skazano go na 25 razów nahajem. Służył do tego specjalny stołek zwany „kozłem", na którym rozciągano skazańca, zaś dwu mocnych kapo bykowcami wymierzało karę. Skazaniec musiał głośno odliczać uderzenia. Pośladki po takiej chłoście stały się podobne do szarej, poszarpanej gąbki.

Niebawem przyplątała się groźna choroba: tyfus. Niemcy bali się tyfusu, toteż chorych umieszczano na oddzielnych rewirach. Wszyscy, którzy się tu znaleźli, stawali się królikami doświadczalnymi dla hitlerowskich „lekarzy".

Wojtek, walcząc ze śmiercią, przeleżał na rewirze 24 dni. Gdy tylko poczuł się nieco lepiej, został wypisany ze „szpitala" i natychmiast skierowany do pracy. Różne tu wykonywano roboty: utwardzano drogi, kopano rowy, rozładowywano wagony itp. Każda wymagała najwyższego wysiłku. Sił nie mogło przywrócić bardzo skromne, kiepskie pożywienie. Toteż nawet kopcowanie ziemniaków pochłaniało codziennie po kilkadziesiąt ofiar. Ziemniaki przywożono do Oświęcimia wagonami, następnie z ramp rozładowywano na taczki, a te więźniowie musieli transportować na odległe pola do kopców. Wszystkie taczki musiały się poruszać po jednym, wyznaczonym torze. Nawet puste ciężkie, drewniane taczki trudno było wychudłemu, głodnemu więźniowi popychać, a co dopiero pełne. Oblepione błotem kółko nie kręciło się na osi i trzeba było nadludzkiego wysiłku, by krok po kroku, brnąć po kolana w błocie pchać taczki przed sobą. Kto nie mógł podołać pracy i upadł — otrzymywał razy. Wielu więźniów już po dwóch, trzech godzinach opadało z sił. Przestawali reagować na bicie, zostawali obok nieszczęsnych taczek, nie podnosząc się więcej. Odtrącano ich na bok. Ci spisywani już byli najczęściej na straty.

Widok powracających z pola więźniów był przerażający. Oblepieni błotem od stóp po czubek głowy, podobni do koszmarnych zjaw, ledwo wlekli nogi. W tyle kolumny żywi nieśli swoich kolegów zmarłych przy taczkach. Każdego dnia z kartoflanego komanda ubywało w ten sposób około 20 proc. więźniów. Wojtek jeszcze dziś nie bardzo rozumie jak on — szczupły, chuderlawy chłopak z podlimanowskiej wioski — mógł to przeżyć.

W KL Auschwitz Wojciech Mruk przebywał do 12 marca 1944 roku, następnie przewieziono go do obozu Gross-Rosen. Stamtąd po kilku dniach został skierowany wraz ze stu innymi

[...]wę, produkujące m.in. bomby z gazem trującym „FAU II". W zakładach obok więźniów byli zatrudnieni także cywilni robotnicy, ci ostatni przy czynnościach mniej niebezpiecznych dla zdrowia. Bardzo szkodliwe było napełnianie czyli — jak się tu popularnie mówiło — „filowanie" pojemników gazem płynnym.

Wspomina pan Wojciech: — *Wszystkie czynności wykonywaliśmy ubrani w specjalne gumowe kombinezony i maski. Najmniejsza nawet kropelka płynu przy zetknięciu się z materiałem, nie mówiąc już o ciele, wypalała dziurę. Nie mniej szkodliwe było również przedostanie się do organizmu cząsteczek gazu. Mogło to nastąpić wówczas, gdy któryś z zatrudnionych uchylał maski, by zaczerpnąć powietrza. Nawet niewielka dawka powodowała silne zatrucie i niechybną śmierć.*

Więźniowie podlegali niezwykle ostrej dyscyplinie. Poruszać mogli się tylko w wyznaczonych miejscach. Zabroniony był jakikolwiek kontakt z pracującymi tam osobami cywilnymi. Raz jeden z więźniów, młody jeszcze chłopak, zbliżył się do niemieckiego robotnika, chcąc mu pomóc w przesunięciu drewnianej skrzyni w inne miejsce. Mimo iż tamten dawał mu znaki, by się oddalił — chłopak próbował coś do Niemca powiedzieć. To zwróciło uwagę dozorcy. Wieczorem po apelu młodego więźnia wywołano z kolumny. Odesłano do Oświęcimia, do komory gazowej. Nigdy go już nie zobaczyli.

Początek roku 1945 przyniósł wyraźne oznaki zbliżania się frontu. Nocą słychać było dalekie odgłosy ciężkiej artylerii. Niemcy stawali się coraz bardziej nerwowi i za lada uchybienie surowo karali więźniów. Pod koniec stycznia wstrzymano „filowanie", ktoś przyniósł wiadomość, że zakłady będą ewakuowane. Co dalej? Przecież Niemcy mogą niepotrzebnych im już ludzi zlikwidować. A może... może wreszcie przyjdzie wyzwolenie i wrócą do swoich?

12 lutego więźniów wypędzono z baraków, wydano każdemu po kilogramie chleba i półkilowej konserwie, pognano na bocznicę kolejową, gdzie stał długi pociąg złożony z odkrytych bydlęcych wagonów. W każdym wagonie wydzielono niby domek zbity z desek i papy — było to pomieszczenie dla trzech esesmanów z eskorty. Stały tam dwa łóżka oraz piecyk, w którym bez przerwy płonął ogień. Resztę wagonu przeznaczono dla pięćdziesięciu więźniów ubranych w przewiewne łachmany. Każdy z więźniów ściskał pod pachą swój prowiant, który według zapowiedzi miał wystarczyć na trzy dni podróży. A zima 1945 roku była bardzo ostra. Podróż stawała się istną katorgą. Mijały dni i noce, a końca drogi wciąż nie było widać. Zapasy dawno się wyczerpały. Każdego dnia ubywało z wagonu 4—5 więźniów. Zazwyczaj rankiem, pociąg zatrzymywał się w polu i wynoszono zamarznięte zwłoki, by złożyć w wyznaczonym miejscu. Co się z nimi działo później — nikt nie wiedział. Ta koszmarna podróż trwała osiem dni i nocy. Aż trudno uwierzyć, że w takich warunkach mogli wytrzymać.

Pociąg śmierci zatrzymał się w Mauthausen, w głębi Rzeszy. W wagonie w którym znajdował się Wojtek, pozostało już tylko 28 ludzi — szkieletów. Pospiesznie rozładowano wagony, bijąc i krzycząc, i pognano więźniów do bloków. Kładli się pokotem na twarde deski prycz. „Zupa" ze zgniłej brukwi przywróciła nieco życia.

Nie dane im było jednak długo odpoczywać. Już w następnych dniach wszyscy, którzy mogli się utrzymać na nogach, musieli stanąć do pracy. Ogromny plac apelowy ledwo mógł pomieścić więźniów. Obóz w Mauthausen, stanowiący w zasadzie bazę siły roboczej dla pobliskich kamieniolo-

[...]radzić z likwidacją wszystkich więźniów Oświęcimia, Majdanka czy Gross-Rosen i kierowali tu całe transporty. W marcu — kwietniu 1945 roku znajdowało się tu około 170 tysięcy więźniów różnych narodowości. Utrzymanie tak ogromnej masy ludzkiej nawet przy niezwykle skromnych racjach żywności stanowiło dla Niemców nie lada problem. Przy tym hitlerowcy zdawali sobie sprawę, że dni „tysiącletniej Rzeszy" są już policzone. Robili wszystko, aby pozbyć się uciążliwego balastu, jakim byli więźniowie. Warunki pracy w kamieniołomach można śmiało nazwać morderczymi. Jedne komanda wdzierały się w zbocza krusząc bloki kamienne, inne przy pomocy łomów rozbijały je na mniejsze części. Cały ten urobek należało przenieść do stojących u podnóża góry wagonów. Nie było mowy, by wybrać sobie lżejszy kawałek bądź przepołowić większy. Z kamieniem w rękach należało iść wytyczoną ścieżką do odległego o kilometr pociągu i tam go złożyć. Nie wolno było na moment przystanąć czy odsapnąć. Z tyłu postępował inny tragarz z podobnym ładunkiem, a jakakolwiek przerwa mogłaby zakłócić cały rytm marszu. Zabronione było także podtrzymanie kamienia np. kawałkiem drutu czy sznurka przerzuconym przez ramię. Próby takie były natychmiast wychwytywane i karane przez gestapowców. Więzień, który wypuścił głaz z rąk, był niemiłosiernie katowany, a następnie musiał niezwłocznie dołączyć do szeregu. Bardzo wielu padało i nie podnosiło się więcej. Tych odsuwano tylko nieco ze ścieżki i pozostawiano na śniegu.

— *Mimo ciągłego obcowania ze śmiercią i załamania, ze zgrozą patrzyliśmy na konających na naszych oczach ludzi, utaplanych w błocie i śniegu. Nikt im już nie mógł pomóc* — mówi pan Wojciech.

Więźniowie nie mogli liczyć na żadne względy. Nawet chorych zmuszano do lżejszych prac przy tłuczeniu kamieni. Dzień po dniu mijał w morderczej, wysysającej siły udręce, noce w gorączkowych majakach i rozsadzających piersi dreszczach.

— *Przyszła wiosna. Przytłumione echa dalekich kanonad przewalały się nad górami. Nocą, kiedy w obozie panowała cisza, słychać je było wyraźnie i coraz bliżej. Spoglądaliśmy wtedy po sobie pytająco: doczekamy?*

Nim nadeszła wolność, więźniowie-niewolnicy mieli przejść przez jeszcze jeden przedsionek piekła.

5 maja 1945 roku o godzinie trzeciej w nocy wypędzono wszystkich na plac apelowy. Kiedy jako tako uformowano szeregi, komendant obozu odczytał krótki rozkaz, w którym oznajmił, że w kierunku obozu zbliżają się obce wojska i wszyscy powinni się ukryć w pobliskich kamieniołomach, gdyż inaczej dostaną się do niewoli i będą rozstrzelani.

Na terenie kamieniołomu znajdowały się olbrzymie groty i pieczary skalne, które Niemcy wcześniej zaminowali. Więźniowie zrozumieli, że jeśli się tam znajdą, zostaną wysadzeni w powietrze.

Zbrodniczy manewr nie został zrealizowany, mimo usilnych starań oprawców. Widząc, że więźniowie nie idą do „schronów", rozwścieczeni hitlerowcy skierowali ogień karabinów do tłumu. Zginęło wówczas około dwóch tysięcy więźniów. U progu wolności.

To był ostatni akt dramatu, jaki przeżył Wojciech Mruk w ciągu długich lat okupacji.

Po dokonanej rzezi hitlerowcy w pośpiechu opuścili obóz. Rankiem do Mauthausen wkroczyły wojska amerykańskie. Tego samego dnia koło południa powietrzem nad kamieniołomami targnęły silne wybuchy. To amerykanie wysadzili w powietrze zaminowane groty. Były one jednak puste.

grudzień '86

biała izba

Staropolskie sentencje

- Głupi narzeka, mądry próbuje zaradzić.
- Pod obowiązkiem rozumiemy to, co inni czynić powinni.
- Karzeł zostanie karłem, choćby stanął na najwyższej wieży; tak samo wysokie stanowisko nie czyni człowieka złego lepszym ani małego wielkim.
- Kto słucha pochlebcę, ten mądrym być nie chce.
- Kto zbyt często wznosi zamki na lodzie, ten najrzadziej zdobywa się na wybudowanie chaty na ziemi.
- Ludzkie błędy znajdziesz wszędy.
- Kto więcej zje, niż zrobi, biedy sobie przysposobi.
- Nie godzien laurów ten, kto na nich spoczął.
- Łatwe nagany i łatwe pochwały już niejednego człeka zmarnowały.

Andrzej B. Krupiński

Kultura naszego regionu

Już na początku spisywania tych refleksji zaczęły mnie atakować pytania: jak zsumować wydarzenia ostatnich dwunastu miesięcy życia kulturalno-artystycznego w województwie, co uwypuklić, a co pominąć? Nie brakuje przecież ludzi, którzy — bez kompetencji — ferują demagogiczne oceny, *wiedzą lepiej*, wypowiadają się kategorycznie. Ileż szkody przynosiły już naszej kulturze arbitralne sądy i oceny!

Norwidowską wskazówkę, by „*odpowiednie dać rzeczy słowo*" uzupełniłbym tedy spostrzeżeniem Kartezjusza: „*nie dość mieć umysł bystry, ale główna rzecz jest właściwie go stosować*".

Pod bardzo pojemnym pojęciem kultura kryje się rozległa dziedzina naszych tradycji, społecznych i indywidualnych zachowań oraz działań. Jest tu miejsce i na obraz stosunków międzyludzkich, i stosunku człowieka do otoczenia. Od stopnia naszej kultury zależy wszak to, jak się zachowujemy, jak się wysławiamy, czy i w jakim stopniu zdolni jesteśmy do odczuwania piękna poezji, muzyki, tańca, sztuk plastycznych, krajobrazu, ale też do reagowania na banał, chamstwo, brud i smród. Pomiędzy czystym ustępem w domu, umiłowaniem poezji a przyzwoitym zachowaniem nie zachodzi wszakże prosta zależność. Można przecież być w życiu codziennym niechlujem do potęgi, a jednocześnie mieć duszę wrażliwą na słowo czy obraz, i na odwrót: pedant wcale nie musi być człowiekiem kulturalnym. Zwróćił już na to przed kilkunastu laty uwagę Wacław Sadkowski:

„Krajem, w którym widzialem najczystsze w świecie wychodki, krajem, w którym kultura współżycia potocznego, codziennego współżycia ludzi jest najuboższa, jaką widziałem, jest Anglia, jest to zarazem kraj, który ma zastraszająco niskie wskaźniki czytelnictwa oraz zasięgu oddziaływania jakichś czynnych instytucji kulturowych".

*

Jeśli chce się w miarę obiektywnie ocenić stan kultury w naszym województwie oraz potrzeby w jej upowszechnianiu, należy najpierw określić punkty odniesienia, ustalić istniejące uwarunkowania jak również oczekiwania społeczeństwa w tym względzie.

Zaczął wypada od żywej wciąż tradycji ludowego gawędziarstwa i muzykowania. Najpierw krępie na uspokojenie — nie jesteśmy pod tym względem szczególnie uprzywilejowani, Krakowiacy, Rzeszowiacy, Śląscy, Kujawiacy i inni też mogą się niejednym pochwalić. Tyle że nasi gawędziarze, którym patronuje Sabała, i muzykanci, na których życzyliwym okiem spoglądą z wyżosokości Bartuś Obrochta, mają szczęście mieć od ponad stu lat zupełnie niezłą prasę. Zaczęło się to już w połowie ubiegłego wieku, gdy pod Giewont, w Pieniny i gdzie indziej zaczęli zjeżdżać z różnych stron kraju literaci i artyści, których zafascynował lutejszy folklor, strój góralski oraz podhalańskie budownictwo. I tak zostało po dziś dzień. Wciąż przyjeżdżają tu ludzie z całej Polski, wywołuje stąd legendę i umiłowanie góralszczyzny we wszystkich jej przejawach. Na tym naprawdę można budować. Z tego wszak wzięły swój początek *Sabałowe Bajania*, *Pruckl*, różnego rodzaju posiady, a nawet międzynarodowy festiwal folkloru góralskiego (także wszystkie zespoły folklorystyczne, dziesiejsze mutacje „stylu zakopiańskiego", również zwyczaj nęcenia cyfrowanych portek i kapeluszy z muszelkami, niekoniecznie od święta). Niestety, baza potrzebna do zaspokajania kulturalnych potrzeb stoi w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do artystycznej aktywności mieszkańców Podhala, Orawy, Spisza, Beskidów czy Pogórza. I jest to wątpliwej wartości spadek po wielu minionych dziesięcioleciach, z którego „dobrodziejstwem" długo jeszcze przyjdzie się nam borykać. To też trzeba mieć na uwadze dyskutując o postępie w upowszechnianiu kultury w naszym regionie.

Pamiętajmy jednak, iż nie tylko góralskie, łachowskie czy pogórzańskie stroje, muzyka, tańce, gwara, nie tylko obrazki na szkle, watę zapiński czy rzeźba budowa stanowią o naszym krajobrazie kulturalnym. Żyją wszak wśród nas i tworzą profesjonalni artyści plastycy, muzycy, aktorzy, rozwija się amatorski ruch artystyczny ozerpiący z dorobku kultury ogólnonarodowej i światowej, działają biblioteki, muzea i galerie Biura Wystaw Artystycznych, teatry i kina. Wiemśmy o tym wszystkim pamiętać, więcej nawet — stale przypominać, albowiem w społecznym odbiorze owi twórcy, artyści i instytucje zdają się być czymś zupełnie naturalnym. Przyczyna tego leży w zaniikaniu potrzeby bezpośredniego obcowania ze zjawiskami artystycznymi wyższego rzędu, w pogłębiającym się przekonaniu, iż telewizja jest najlepsza na wszystko: doskonale zastąpi kino, teatr, widowisko estradowe, gościnę w muzeum czy galerii, że reprodukcja wystarczy za oryginalne dzieło sztuki, a nagrania na taśmie — każdy koncert. W efekcie coraz mniej mamy czytelników w bibliotekach, widzów w kinach(stąd konieczność zamykania niektórych) i odwiedzających galerie czy muzea. A nie jest to wcale zjawisko występujące wyłącznie u nas. Objęło ono już cały kraj. Dość powiedzieć, iż statystyczny Polak wydał w roku 1985 na zakup książek zaledwie 600 zł (mieszkaniec wsi — 108 zł), na bilety do kina, teatru, cyrku i na koncerty — łącznie 324 zł (mieszkaniec wsi: — 108 zł), na prasę 960 zł (300), na zakup dzieł sztuki, reprodukcji i wyrobów pamiątkarskich i inne artykuły użytku kulturalnego wydał łącznie 7476 zł (na wsi o połowę mniej). Najwidoczniej kryzys przeżywają nasze kina. W 1972 roku do kin chodziło 53,1 proc. rodaków, w 1985 już tylko 47,1 proc., przy czym na filmy polskie aż o 36 proc. mniej niż w roku poprzednim. Z roku na rok spada również frekwencja w muzeach i galeriach, na koncertach muzyki poważnej, a nawet tak zwanej młodzieżowej.

To co przedstawiłem wyżej, nie napawa zbytnim optymizmem, więcej nawet: winno uruchomić sygnały alarmowe. Na pocieszenie stwierdzić jednak mogę, iż w Nowosądeckiem sytuacja nie jest aż tak dramatyczna. Zaś miejscy władcy roku przyniósł nam w tym względzie poprawę, a nawet lieczące się sukcesy.

(CIĄG DALSZY NA STR. 2—3 „BIAŁEJ IZBY")

Franciszek Łojas-Kośla

Pastorałka góralska

Podźmy syćka do sałasa,
jasno blinko gwiozdka z lasa
hej, haniok porodziela Jezuska Maryja
Jezuska Maryja

Waterka sie mało poli,
w zimnie Dzicie nie obstoi
hej, podźmy na doliny, narąbać bucyny
narąbać bucyny

Wilcek mały wysel z nory,
do sałasa lecieć skory
hej, kozicka sie kręci, nie wie, co sie święci,
nie wie, co sie święci

Juhasi sie pobudzieli,
jasność wielgom uwidzieli,
hej, aniołkowie mali Gloryja śpiewali
Gloryja śpiewali

Ciupazecki w jawór wcieni,
z wyski gęśle wartko wzieni
hej, nucicka wierchowo za Krywań sie chowo
za Krywań sie chowo

Dzicie nute obocyło,
z kołyseki wyskocyło,
hej, i wroz z juhasami przebiero nozkami
przebiero nozkami

Śniezek drobny polatuje,
serce w cłeku sie raduje
hej, po dziedzinach wsędy zaległy kolędy
zaległy kolędy...

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Góral z Pienin

DOMINIK MALINOWSKI ze Szczawnicy znany jest Czytelnikom „Dunajca". W 1981 roku drukowaliśmy jego kilkuodcinkową *„Opowieść dla wnuka"*, a później — parę opowiadań i legend pienińskich. W roku bieżącym został laureatem nagrody wojewody nowosądeckiego za działalność w dziedzinie upowszechniania kultury.

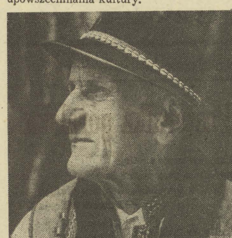

Fot. HENRYK ZACHWIEJA

Wywodzi się ze starego szczawnickiego rodu: już w dokumentach z XVI wieku widnieje nazwisko Malinowskiego — wójta podpienińskiej wsi. Dziad Dominika ze strony ojca był drugim szczawniczaninem, jaki wybrał się „za wielką wodę" — do Ameryki. Dziad ze strony matki, Węglarz „Pacek", bacował na pienińskich halach. Mały Dominik wyrastał wśród rodzinnych opowieści, chłonąc góralską tradycję i obyczaj.

W 1914 roku, kiedy miał zaledwie dziewięć lat, jego ojciec musiał pójść na wojnę. Już z niej nie wrócił. Na matczyne barki spadła troska o troje małych dzieci: Dominika i dwóch jego młodszych braci — Józka i Jaśka. Każdy musiał pomagać matce.

— *Ciężka praca, konieczność myślenia o losach całej rodziny, o gospodarce dały mi przedwczesną dojrzałość i umiejętność patrzenia na świat* — powie po latach.

Jedyną jego przyjemnością, jedynym wytchnieniem było pójście w góry. To mu zostało na całe życie. Gdy stał się zamiłowanym myśliwym, też najważniejsze było dla niego nie upolowanie zwierzyny, a radość tropienia, pokonywania przesetrzeni, stawania się jakby częścią przyrody, w której walka o byt jest rzeczą naturalną, a zwycięża sprytniejszy i wytrzymalszy.

Szkoły zaznał niewiele: wszystkiego trzy klasy. Ale do dziś z ogromnym uznaniem i szacunkiem wspomina dyrektora Zguta i nauczycielkę Zofię Czerewko, którzy wpoili mu miłość do książek i — do Ojczyzny. — *My uczyliśmy się z książek patriotyzmu, tego, że najważniejszy jest naród; dla niego ludzie życie tracili, poświęcali majątki i kariery. Wychowywaliśmy się dla Polski, choć przecie tej Polski na mapie nie było.*

W listopadzie 1918 r. odbyła się we wsi wielka uroczystość z okazji odzyskania przez Polskę niepodległości. Górale świętowali „nastanie" Polski. Dominik nieraz później rozmyślał nad szczególnym góralskim patriotyzmem, będącym przywiązaniem zarazem do Ojczyzny i do ojcowizny. — *Im więcej człowiek w swoją cząstkę Ojczyzny wkładał* — mówi — *tym bardziej ją cenił. I wiedział: jak nam we wsi będzie dobrze, to wszystkim w Ojczyźnie będzie dobrze.*

Pamięta pierwsze auto, jakie się tu pojawiło — jeszcze na kołach kutych żelazem — i różne mody, jakie przynosili ze sobą coraz liczniejsi goście uzdrowiska. — *Przynosili zmiany* — wspomina — *ale i przyczynili się do zachowania tutejszych tradycji. To dzięki nim przetrwał, na przykład, strój szczawnicki.* Z dumą nosił kamizelkę góralską, pozostałą po ojcu; do dziś na żadną uroczystość nie ubierze się inaczej niż w pieniński strój i rad jest, że zarówno jego córka, Zosia, jak i wnuk Piotrek również się po góralsku chętnie ubierają.

Zaraz po powrocie z wojska, a było to w 1923 czy 1924 roku, wstąpił do zespołu regionalnego przy Ochotniczej Straży Pożarnej. — *Jan Malinowski, mój daleki krewny i autor „Wesela góralskiego", nakłonił mnie i mego brata, byśmy zaczęli występować. Brakowało akurat starosty, więc powierzyli mi tę rolę. Ucharakteryzowali, pokreślili po licach, wąsiska jak trza, i tak zacząłem obsługiwać kilka po kolei pań młodych, granych przez Czajową, Zborowską, Bieńkową i inne.*

(CIĄG DALSZY NA STR. 3 „BIAŁEJ IZBY")

Kronikarz Bobowej

Niech się tylko tutaj wydarzy coś ważnego, MIECZYSŁAW KOWALSKI, obywatel Bobowej, zanotuje. Na razie na luźnych kartkach, składanych w teczce. Kiedyś, jak tylko nabierze sił, dołączy wszystko do wielkiej księgi, w której uwiecznia dzieje rodzinnej miejscowości.

Księga jest ogromna, oprawiona w cielęcą skórę (tylko jeden introligator w Tarnowie tak potrafi). Na okładce metalowa tabliczka ze św. Zofią — patronką Bobowej i wygrawerowanym napisem „Kronika miasteczka Bobowej". Bez autora. — *Po co? Może kiedyś dopiszą.*

Urodził się tutaj w 1914 roku. Jego ród sięga bobowian z XVIII wieku. To udało się panu Kowalskiemu ustalić. Po siódmej klasie, nie mając większego wyboru nauki zawodu, wstąpił na ochotnika do 1 Pułku Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu. Dłuższy czas uczył się gry w orkiestrze wojskowej. Jako żołnierza zawodowego zastała go wojna. We Wrześniu zaczyna się jego szlak bojowy — od Krynicy pod Lwów. Ciężko ranny, w 1940 wraca w rodzinne strony, w stopniu chorążego dowodzi oddziałem partyzanckim. Po wyzwoleniu pracuje w urzędzie gminnym, w latach pięćdziesiątych jest przewodniczącym GRN. Od 1960, piętnaście lat, czyli do emerytury, pracuje w Gminnej Spółdzielni. Z rozlicznych funkcji, jakie pełnił, najbliższa sercu pozostanie orkiestra. Dyrygował nią 41 lat.

Jak zaczęło się kronikarstwo? — *Samo przyszło* — żartuje. Więcej dowiemy się z pierwszej strony kroniki.

Pracę nad niniejszą kroniką rozpoczęto w Roku Pańskim 1955, w dniu 20 grudnia, w dzień św. Dominika. Decyzja napisania kroniki miasteczka Bobowej zapadła na zebraniu członków orkiestry dętej w Bobowej, w dniu 18 września 1955 (...) Możemy przyjąć, że miasto zostało założone około 1315 r. zapewne za przywilejem króla Władysława Łokietka na prawie magdeburskim.

Szperanie w archiwalnych materiałach, wywiady, zbieranie pamiątek z przeszłości. O powstaniu Bobowej wyczytał w pracach naukowych, m. in. profesora Oświęcimskiego z Krakowa. O dalszych dziejach musiał zebrać wiadomości sam: w kronikach szkolnych i parafialnych, w bibliotekach, aktach urzędowych, w archiwum klasztornym w Tuchowie, w Leżajsku, w kurii tarnowskiej.

— *Jeszcze w muzeum Czapskich w Krakowie coś by się znalazło, ale nie mam dostępu do starodruków.*

Gdy zgromadził dostatecznie dużo materiału, siadał — najpierw przy lampie naftowej — i pięknie, tuszem kaligrafował stronę po stronie.

Fascynowały go zamierzchłe dzieje. Zastanawia się: jak, na przykład, w 1410 Zygmunt z Bobowej prowadził chorągiew pod Grunwald? Nie było dróg, drogowskazów, ani map! I jak ci chłopo-żołnierze przygotowali się do walki?

Ustalił spis kolejnych właścicieli Bobowej, od Aleksandra Jordana z Zakliczyna do Kazimierza Długoszewskiego. Takoż proboszczy tutejszej parafii i nauczycieli. Pierwszą wzmiankę o szkole znalazł z 1596 roku, po 10 latach została opisana jako „domek z izbą i dwoma sypialniami". O cechach rzemieślniczych dowiedział się dużo od swego teścia, cechmistrza szewców. Posiadał on pergaminy nadawane rzemieślnikom przez królów.

Każdy przedmiot wzbogacał wiedzę kronikarza o przeszłości, toteż zaczął zbierać, a ściślej skupować starocie. Dostał na to upoważnienie władz gromadzkich, z adnotacją „na czas nieograniczony". Gorzej było ze wstępem do archiwów, ale w tym pomogli mu znajomi.

1876. Komunikacja w Bobowej ulega znacznej poprawie wskutek wybudowania kolei żelaznej tarnowsko-leluchowskiej, przechodzącej przez Bobową. W odległości 2 km od rynku powstaje stacja osobowo-towarowa. Tor kolejowy prowadzi pod samym miastem. W drodze do stacji gościniec przechodzi przez most kolejowy. Przy budowie kolei pracowało wielu Włochów, „talianów", z których kilku pozostaje w mieście, żeniąc się z córkami mieszczan. Komar i Korek z czasem polonizują się.

Nie mniej od historii miasta była mu bliska orkiestra. Również pisał jej kronikę. Wiedział, że nie są pierwszymi muzykującymi w 600-letniej Bobowej. W życiu kulturalnym miasteczka nie brakowało dla nich wzorów.

1895. Chór i muzykę smyczkową organizuje najstarszy nauczyciel, Ignacy Kossecki, nadając jej nazwę Czytelnia przy Kółku Rolniczym. Należą do niej: Wróbel Józef, Pietrzykowski Jan, Rybiński Jan (...) Z powodu przeniesienia służbowego na inny teren, Kossecki na wieczorku pożegnalnym dziękował wszystkim mieszczanom za współpracę i życzył im dalszego rozwijania życia kulturalnego. Z powodu braku kierownika zespoły te upadły i przestały istnieć.

Dopiero w 1907 nauczyciel Jan Kuca założył Chór Włościański. Tę kartę kroniki zdobi fotografia wystrojonych członków chóru.

Ze szkiców Wyspiańskiego, sporządzonych jeszcze w latach studenckich, można poznać najstarszą zabudowę Bobowej. Drewnianą, stylową. Spłonęły domy i ratusz w trzykrotnym pożarze, jaki nawiedził miasteczko. Udało się jednak kronikarzowi na podstawie dokumentów własnościowych odtworzyć plan miasta z połowy XIX w.

Im bliższe czasy, tym dokładniejszy, żywszy, opis w kronice. To dzięki zanotowanym wspomnieniom najstarszych mieszkańców. Właścicielka jednej z ostatnich kurnych chałup, Helena Tłuczek, zadziwiła Kowalskiego pamięcią. Na podstawie jej relacji opisał ostatni pożar, w 1889 r. Ona też przypomniała stare, już nieznane przyśpiewki weselne. Wszystko co słyszał kronikarz, sprawdzał, ujednolicał, ilustrował zdobytymi zdjęciami albo odręcznymi rysunkami.

Mógłby ze swoich notatek i przedmiotów wydobytych z zakamarków okolicznych domów, utworzyć nie byle jaki zbiór etnograficzny. Ale on mówi, że się na to nie nastawił, raczej na historię. Więc eksponaty proponował gminnym władzom na izbę muzealną. Ostatecznie trafiły do proboszcza, który przeznaczył na nie specjalną salę, postarał się o gabloty.

Ze wspomnień starych bobowian powstały opisy wydarzeń, których dziś już nikt nie pamięta.

1910. 25 czerwca obchodzono 500-lecie wojny pod Grunwaldem. (...) Pochodem kierował ziemianin z Jankowej p. Rudolphi Stanisław, przywdziewając na siebie skóry zwierzęce upodobnił się do czasów

Kultura naszego regionu

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1 „BIAŁEJ IZBY")

Województwo nowosądeckie w dalszym ciągu pozostaje — zwracałem na to uwagę już nieraz — jednym z najbardziej interesujących i najaktywniejszych regionów na mapie kulturalnej Polski. Mamy tu 9 instytucji upowszechniania kultury i jedną instytucję kultury (Teatr Lalek „Rabcio"), oraz ponad 400 placówek kultury, w tym 14 domów kultury, a ponadto 6 szkół artystycznych ze słynną zakopiańską „Szkołą Kenara" na czele. Na co dzień w tworzeniu i upowszechnianiu dóbr kultury czynnych jest ponad piętnaście tysięcy artystów profesjonalnych, działaczy oraz pracowników kultury. Dzięki nim rok w rok podejmuje się około tysiąca różnego rodzaju przedsięwzięć kulturalnych — od prelekcji i spotkań po imprezy międzynarodowe, jak chociażby Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich. To za ich sprawą rozwija się działalność trzydziestu towarzystw regionalnych i kulturalnych, stu dwudziestu zespołów folklorystycznych, sześćdziesięciu orkiestr dętych, tyluż amatorskich zespołów teatralnych i muzycznych.

Owo bogactwo ludzi i zjawisk zawdzięczamy w głównej mierze wieloletniej tradycji społecznikowskiego i artystycznego działania. Tak na przykład w podgorlickiej Szalowej tuż po Insurekcji Kościuszkowskiej powstała orkiestra kameralna złożona z byłych jej uczestników i tamtejszych włościan. Jej tradycję kontynuuje orkiestra dęta działająca pod szyldem Towarzystwa Muzycznego „Kapela". Dodać wypada, iż dzisiejsze Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Antoniego Kenara w Zakopanem wyrosło z tradycji założonej przed 110 laty przez członków Towarzystwa Tatrzańskiego Szkoły Przemysłu Drzewnego. Niemal równie długą historię i równie bogatą tradycją poszczycić się może Związek Podhalan, a nieco tylko krótszą, bo siedemdziesięcioletnią Stowarzyszenie Artystów-Twórców Sztuk Pięknych „Sztuka Podhalańska". Ponad pięćdziesiąt lat działa Teatr Robotniczy im. Bolesława Barbackiego przy Domu Kultury Kolejarza w Nowym Sączu i wiele zespołów folklorystycznych. Już sto lat istnieje Muzeum Tatrzańskie.

Wydawać by się mogło, iż przy takiej tradycji i różnorodności twórczego i społecznikowskiego działania nic już nowego, a przy tym godnego uwagi nie może się u nas wydarzyć. Tymczasem mniemaniu temu raz po raz zaprzeczają następujące po sobie fakty, szczególnie te, które pomnożyły nasz dorobek w ostatnich latach. I tak, na przykład, w roku 1982 zainaugurowała swoją działalność nowa galeria „Dawna Synagoga" (oddział Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu) oraz „Mała Galeria" nowosądeckiego BWA. W następnym roku zorganizowaliśmy wespół z Towarzystwem „Polonia" — Polonijne Spotkanie Pokoleń, w którym uczestniczyło ponad 1200 przedstawicieli Polonii zagranicznej z całego świata. Wtedy też zaczęły działać galerie BWA w Gorlicach i w Jazowsku, a w Nowym Sączu Sądecka Oficyna Wydawnicza, która ma dziś w dorobku około sto wydanych pozycji książkowych. W roku 1984 zarejestrowane zostało Stowarzyszenie „Sztuka Podhalańska", mające już za sobą dwa Salony, kilka wystaw (w tym również w Warszawie i bułgarskim Smoljanie) oraz trzy plenery malarskie. W Nowym Targu powstała szkoła muzyczna II stopnia, zaś w Nowym Sączu — Galeria Pracowni Sztuk Plastycznych. Wydarzeniem 1985 ro-

przeszłych. Jadąc na siwku prowadził pochód w stronę stacji kolejowej. Za nim ruszyła banderia konna złożona z ok. stu ludzi w płóciennicach i rogatywkach z pawimi piórami. Za nimi chłopi w płóciennicach z kosami jak za czasów Kościuszki. Reszta była ubrana w stroje regionalne, święcono świece, śpiewano pieśni patriotyczne, grała orkiestra dęta z Tarnowa.

Do kroniki trafiły opisy ludowych wierzeń, leków, gwary, obyczajów, obrzędów. Miasteczko w latach międzywojennych słynęło z jarmarków.

1924. Ruch, gwar, wykrzykiwania handlarzy zachwalających swój towar (...) Wtem odzywa się głos bębna. Tłum kieruje się w tę stronę. Przez długą chwilę słychać taktowe odgłosy bębna, a gromada słuchających rośnie. Naraz policjant przerywa bębnienie, podnosi pałki do góry. Nastaje zupełna cisza, a on obwieszcza donośnym głosem ogłoszenia gminne o podatkach, szarwarkach, licytacjach, chorobach. Rozpoczyna od słów: Podaje się do publicznej wiadomości (...) Po południu ruch przenosi się do sklepów i szynków.

Tak, piło się wówczas, nie gorzej niż dziś. A było gdzie wypić. W Bobowej stało 7 karczm, z tego 3 w rynku. Piło się w nich i grało w karty, nawet o duże stawki. Ale do karczmy wstęp mieli tylko dorośli, po odbyciu służby wojskowej.

Oddzielny rozdział kroniki poświęcił Żydom. Bo też i oni rozsławili miasteczko. Sprowadzili się tu w połowie XVIII wieku. Przed drugą wojną stanowili ponad połowę mieszkańców. Do dziś w synagodze, mieszczącej warsztaty szkolne, zachował się zabytkowy ołtarz. Podziwiają go corocznie goście z Izraela, odwiedzający grób rabina Halberstana. Jego zdjęcie to podobno jeden z cenniejszych dokumentów w kronice. 5 lat temu zawitał do pana Kowalskiego rabin z USA, tu w Bobowej urodzony. Pochwalił, że tak się pamięć po Żydach szanuje. Powiedział: — W Izraelu wybudowałem miasteczko, też nazywa się Bobowa.

1939. Rynek bobowski jest w kształcie regularnego prostokąta. Otaczają go zwartym szeregiem domy drewniane, tynkowane i bielone lub obijane deskami, frontem zwrócone do rynku. Dachy kryte są gontem lub papą. Z czterech rogów rynku wychodzą uliczki bez nazw. Południowa i zachodnia część rynku ma domy wyłącznie żydowskie, w północnej i wschodniej są jeszcze „wyspy" katolickie. W domach żydowskich mieszczą się sklepy towarów mieszanych, bławatnych, żelaznych, trafika, szynki. We wschodniej części rynku stoi stara, murowana, kryta dachówką kapliczka św. Floriana.

Opis uzupełniony planem Bobowej. — *Te zakredkowane to domy katolickie. A na następnej stronie — spis wszystkich mieszkańców według numerów domów. Niby niewiele, a ile przy tym się napracowałem! Nie udałoby się, gdyby nie przedwojenny pocztarz, Antoni Padoł. Chodził od domu do domu, znał wszystkich. A pamięć miał niesamowitą. Izraelici nieraz korzystali z tego spisu.*

W kronikarsko reporterskiej pracy widać skrupulatność autora. Wypytywał o szczegóły, sprawdzał, notował wszystko, bo każdy szczegół mógł być przydatny. Teraz młodzi proszą go często, żeby opowiedział, jak to dawniej było w Bobowej. Szczególnie interesują ich lata wojenne. On wtedy wyciąga swoją księgę.

1939. 6 września. Wojsko polskie postanowiło powstrzymać wroga, organizując jednostki w liczbie 60 ludzi, do obrony miasta. Na czele tych, którzy byli poświęceni na wszystko, stał młody podporucznik rezerwy Jerzy Wołoszyn, rodem z Cieszyna. Przy pojawieniu się pierwszego patrolu niemieckiego na motocyklu, wybiegł z domu na drogę, trzymając w ręku broń. Okrzykiem „stój, ręce do góry!" wezwał patrol. W tym czasie kula przeszyła mu pierś (...) Butna armia nieprzyjacielska wkroczyła tego dnia do Bobowej (...) Następnego dnia zwołano do zarządu gminy starszych obywateli, z których utworzono tymczasową władzę gminną, równocześnie wybrano zakładników, którzy mieli odpowiadać przed władzami niemieckimi za ewentualny sabotaż.

Z kroniki można dokładnie dowiedzieć się, jak przebiegała zagłada bobowskich Żydów, niszczenie ich domów. Także o wielu epizodach z lat okupacji, o radosnych chwilach wyzwolenia.

1945. Dzięki ówczesnemu wójtowi, Marianowi Szczepankowi, tutejsza orkiestra otrzymała pożydowski dom na cele muzyczne. Próby odbywały się 3 razy w tygodniu, a na prowadzącego muzykę wybrano Mieczysława Kowalskiego (...) Pierwszy występ orkiestry odbył się w gromadzie Wilczyska, gdzie wzięła udział w wielkim pogrzebie zamordowanych Polaków.

Dalej już dzieje Bobowej dobrze znane autorowi z autopsji: 1948 — założenie Gminnej Spółdzielni, 1950 — spółdzielni koronkarskiej...

Zapis kończy się na roku 1955. Reszta „na brudno", w teczce. Teczek w szufladach jeszcze kilka. — *Tę założyłem na materiały o gen. Długoszewskim. Prawa ręka Witosa, pochodził z Bobowej. Mało znana i kontrowersyjna postać.*

Rozpisał się pan Kowalski. Spod jego pióra wyszły już kroniki: bobowskiej orkiestry, Związku Inwalidów Wojennych z okręgu gorlickiego, wspomnienia „Mój wrzesień 1939". Te można przeczytać. Na razie niedostępna jest postronnym dwutomowa autobiografia.

Praca zawodowa, rodzina, kronikarstwo... Aż trudno uwierzyć, że przy tym miał jeszcze czas na prowadzenie orkiestry. Poświęcił jej spory kawał życia. Dopiero przed kilkoma miesiącami, po zawale, oddał batutę następcy. — *W dobre ręce* — zapewnia. Stefan Król to jego uczeń, grał — jak on — w orkiestrze wojskowej. Ilu w ciągu tych 41 lat przeszło jego „szkołę"? Już nie zliczy. Różne bywały czasy, a orkiestra zawsze w gotowości, jak straż pożarna. Dlatego imponowała młodym, przyciągała. Tacy z piątej, szóstej klasy zaczynali w niej grać. Uczyli się chłopcy nut, niejeden zakładał własny zespół, trafiał do orkiestry wojskowej. Właśnie trzech „odgrywa" służbę. Pod batutą Kowalskiego uczyli się orkiestranci również punktualności, posłuszeństwa. — *To był jakby zakład wychowawczy* — podsumowuje całkiem poważnie były dyrygent.

Zdrowie nie pozwala mu na wiele, ale że jest z takich, co spokojnie nie usiedzą, znalazł nowe zajęcie, wstąpił do założonego przed rokiem Towarzystwa Miłośników Ziemi Bobowskiej. Przydaje się jego znajomość historii.

Nie zapomina przy tym o kronice. — *Doprowadzę do dnia dzisiejszego* — obiecuje, i ani myśli przekazać jej innemu. Gdy naprawdę będzie musiał, powierzy kontynuowanie synowi, może córce. Albo księdzu. Jeszcze się nie zdecydował.

KRZYSZTOF KAMIŃSKI

Góral z Pienin

(CIĄG DALSZY ZE STR. 2 „BIAŁEJ IZBY")

Występowali we własnych strojach. Jeździli z „Weselem" do Krakowa, Katowic, Warszawy, byli na Święcie Gór w Wiśle, Zakopanem, Nowym Sączu.

— Należałem do Towarzystwa Szkoły Ludowej, którego prezesem był Jan Wiktor, a ja — zastępcą. Choć sam do szkół chodziłem ledwie trzy zimy, ogromnie ceniłem szkołę i zazdrościłem kolegom, którzy poszli do gimnazjum. Książki to po prostu pochłaniałem, nasiąkając kulturą ogólnonarodową, ale zawsze byłem zdania, że jedną i drugą: narodową i regionalną trzeba pogodzić. Wiele zawdzięczam Janowi Wiktorowi, ale i on mi trochę zawdzięcza, bom mu dużo naszych góralskich spraw przybliżył, opowiedział. Cytował je potem w swojej książce.

Wrześniowa tułaczka 1939 roku, gdy szukał swojej jednostki wojskowej, powrót do domu, udział w ruchu oporu, opłacony chorobą płuc... I układanie osobistego życia: małżeństwo, narodziny jednego dziecka, które zmarło, potem drugiego.

Po wojnie wrócił do zespołu. Gdy dawali pierwsze przedstawienie, było to prawdziwe święto dla Szczawnicy. — *Dziecko zostawiłam, żeby tylko obejrzeć* — wspomina żona, Stanisława Malinowska.

Dominik Malinowski chciał, by jak najdłużej zachowała się góralska kultura. Wstąpił do Związku Podhalan, widząc w nim organizację dążącą do tego celu. Przez jedną kadencję wchodził w skład Zarządu Głównego.

Należał również do Związku Miłośników Szczawnicy, założonego przez tutejszego lekarza, Artura Wernera. To właśnie w Związku zrodziła się myśl o utworzeniu pienińskiego muzeum. Pasja gromadzenia świadectw przeszłości szczególnie związała Dominika Malinowskiego z Michałem Słowikiem spod Dzwona. Lubili porozmawiać o pienińskich obyczajach, poprzypominać sobie legendy, zadumać się nad jakimś świątkiem czy starym dokumentem. Ślad tych pogwarek odnajdujemy w pisarstwie Słowika i w opowieściach Dominika.

Dominik Malinowski, znawca pienińskich spraw, służył radą niejednemu, kto brał się za pisanie o Szczawnicy. Nagrywano go także dla radia. Powierzano wystąpienia z różnych okazji. Wysoki, postawny, o prawdziwie góralskich rysach, noszący się godnie — wielokrotnie reprezentował swą ukochaną podpienińską miejscowość. Mądrą sentencją umie trafić do serca i umysłu słuchacza czy rozmówcy. Jak do najwyższej instancji przychodzą do niego ludzie po radę, po rozejm między zwaśnionymi. Przez szereg lat był mierniczym i zaprzysiężonym biegłym sądowym, zabierał głos w niełatwych sporach o miedzę, o spuściznę. — *Dzisiaj człowiek, dążąc za postępem, zatraca swe człowieczeństwo, siebie samego. Telewizja, radio, kino osłabiają dawną potrzebę sąsiedzkiego współżycia, zrodzonego z konieczności wzajemnej pomocy w pracy i w życiu.*

Gdy byłem dzieckiem, wpajano nam kulturę i szacunek dla pracy. Uczono, by nie wejść na czyjeś pole, nie wydeptać ścieżki. Tego uczył się człowiek od dziada i ojca, i to przekazywał swoim dzieciom. Szło się naprzód tradycją. Praca to najlepszy wychowawca. Uczy, nadaje charakter człowiekowi. To co sam zrobi — zawsze będzie szanował. A dziś przeważa szukanie łatwizny, pazerność, życie kosztem drugiego, choć się tak żyć nie musi.

Dlatego właśnie pan Dominik tak wielką wagę przywiązuje do poszanowania tradycji. Cieszy go, że działają związki regionalne, że jest poparcie władz państwowych dla podtrzymywania kultury ludowej. Cieszy, że i młodzi znów zaczynają się ku tej kulturze ojców garnąć. Że już nie ma obawy, by zaginęło pienińskie hafciarstwo (jego córka, Zofia Drążkiewicz, była niedawno wyróżniona w konkursie haftu, zorganizowanym przez Muzeum Limanowskie).

— Chciałbym, aby jak najwięcej ludzi od swojej góralszczyzny nie odstępowało, mimo że są kształceni i nawet nie ubierają się po góralsku. Wiem, że wszystko na świecie musi się zmieniać, że to proces nieodwracalny — ale nie chciałbym dożyć dnia, kiedy mój wnuk, Piotruś, miałby stać się zupełnie niepodobny do swoich dziadów, obojętny wobec świata, wobec przyrody, wobec gór.

Niedawno — choć osiemdziesiąty drugi rok już na barkach — wybrał się z wnukiem na Przysłop. Nasłuchał się chłopak pod drodze od dziadka o latach okupacji w tutejszych górach, obejrzał miejsca pamiętne ludzką tragedią. Wyszli też na Zbójnicki Gronik, skąd widać wiele dróg i gdzie zbójnicy lubili odpoczywać.

— Całe życie chciałem być postępowym góralem, ale właśnie góralem, i do dziś dnia się honorzę tym, żem z góralskiego rodu jest i żem całe życie służył góralskiej kulturze. Człowiek może tylko wtedy być pełnym człowiekiem, gdy umie mądrze czerpać, co najlepsze z nowego, ale jednocześnie mocno tkwi korzeniami w tym, z czego wyrasta.

ELŻBIETA GLINKA

ku było otwarcie w dniu 1 lutego zakopiańskiej Galerii Władysława Hasiora. Za sprawą krakowskiej Akademii Muzycznej i Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w kwietniu odbyły się w Nowym Sączu pierwsze Dni Muzyki Wokalnej im. Ady Sari. Mieliśmy też okazję poznać w szerokim zakresie dorobek kulturalny zaprzyjaźnionego okręgu Smoljan. Okazję ku temu dały zorganizowane po raz pierwszy Dni Kultury Bułgarskiej w Nowosądeckiem. Dodajmy, iż w tym samym czasie rozpoczęło działalność kilkanaście filii i punktów bibliotecznych, kilka klubów i świetlic zakopiańska Scena im. Stanisław Ignacego Witkiewicza oraz nowe zespoły folklorystyczne, ponadto odrestaurowanych zostało kilka obiektów zabytkowych.

Nie brak było interesujących wydarzeń również w mijającym roku. Tak oto na przykład przed kilku miesiącami ukazał się pierwszy numer niniejszego dodatku kulturalnego do tygodnika „Dunajec — „Biała Izba", w której staramy się odnotować i omówić wszystko, co w życiu kulturalnym i artystycznym województwa godne uwagi. W Krynicy po raz pierwszy odbyły się (zorganizowane przez Wojewódzki Ośrodek Kultury) Góralskie Spotkania pod Jaworzyną, stanowiące eliminacje do zakopiańskiego Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich. Po raz pierwszy też zorganizowaliśmy prezentację naszego dorobku artystycznego w bułgarskim Smoljanie i w Łodzi. Muzeum Tatrzańskie udostępniło zwiedzającym zabytkowy dwór Tetmajerów w Łopusznej, a muzeum na zamku w Niedzicy poszerzoną ekspozycję muzealną, wzbogaconą o dział folkloru Spisza i Zamagurza oraz zbiorów przyrodniczych, której współtwórcą był Pieniński Park Narodowy. W zakopiańskiej galerii BWA odbyły się dwie duże jubileuszowe wystawy retrospektywne twórczości tamtejszych rzeźbiarzy: Henryka Burzca i Grzegorza Pecucha oraz wystawa absolwentów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych zorganizowana z okazji jubileuszu tej szkoły i 110-lecia szkolnictwa artystycznego na Podhalu.

Ważnym elementem w kulturalnym krajobrazie naszego województwa są też zakładowe i spółdzielcze placówki kultury oraz podejmowane przez nie przedsięwzięcia. Myślę przede wszystkim o sądeckim Domu Kultury Kolejarza i Międzyzakładowym Domu Kultury Spółdzielczości Pracy „Lachy", pod szyldem których działają teatry, kluby twórców i znakomite zespoły folklorystyczne „Sądeczanie" i „Lachy". Dodać by wypadało młodzieżowe domy kultury oraz przedsięwzięcia organizacji młodzieżowych i towarzystw regionalnych: Związku Podhalan, Towarzystwa Miłośników Starego Sącza, Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego, Sądeckiego Towarzystwa Muzycznego i innych.

O znaczącej roli, jaką ma do spełnienia w życiu społeczeństwa województwa nowosądeckiego aktywność w dziedzinie tworzenia dóbr kultury i ich upowszechniania, zaświadcza zainteresowanie władz tym problemem.

Zajmował się sprawami kultury wielokrotnie Komitet Wojewódzki PZPR, a także wojewódzkie instancje ZSL i SD oraz organizacji młodzieżowych. Podjęto przygotowania do omówienia problemów kultury podczas najbliższej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, w związku z którą opracowana została szczegółowa ocena realizacji uchwały WRN z września 1977 roku w sprawie rozwoju kultury w latach 1977—1990 oraz zaktualizowany program na lata 1987—1990. W programie tym zwrócono uwagę na stworzenie optymalnych warunków dostępu do dóbr kulturalnych wszystkich środowisk, a przede wszystkim młodzieży, na konieczność realizacji zadań możliwych do wykonania, zgodnych z oczekiwaniami społecznymi. Z dokładniejszym omówieniem programu wstrzymam się jednak do czasu, gdy będzie on już dla nas wszystkich obowiązujący.

ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI

Jerzy Masior

Krajobrazy najbliższe

Paszyn

Nieustanne przystawanie
nieustanna tęcza
nieustanne zaklinanie
pszczół lipowych
w pozłociste dłuta
w aureole świętych
w miecze archaniołów
w brodę Józefa
we włócznię Jerzego
we frasunek przydrożny
cierniem koronowany

Mszalnica

Potok z potokiem
obłok z obłokiem
malina z maliną
paź — żeglarz nad koniczyną
jabłoń z gruszą pogodę wróżą
ogrodom podokiennym
z floksami i różą
słodkie wiśni dojrzewanie
podpłomyków słodkie wypiekanie
słodkie siana
słodkie lata przewiane
szumy podeszczowe
szumy strumieniowe
szumy osich bani
u kalenicy
szumy trzmiela
u pogody
szumy na pamiętanie

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Maciejowa

Kto tu odmawia litanię
cerkiewnych jaworów
rumianych wiklin
zbielałych kości
bławatkowych włości
folwarku dzwonnicy
na grudzie Pantokratora
w trimorfonach
pochylonych uśmiechów
bizantyjskim tłem
tęczy ikonostasu
Przez najszersze wrota
powraca krajobraz
po wyrok

Lekarz i poeta, malarz i żeglarz, sercem i twórczością związany z naszym regionem, tutejszym ludziom oddający swe umiejętności zawodowe — JERZY MASIOR. Pytam, jakie ścieżki przywiodły go ku temu, czym jest dzisiaj? Milczy dłuższą chwilę, a potem zaczyna snuć barwną opowieść...

— Nie pochodzę z terenów Nowosądeckiego, a przecież jest to moja nieomal rodzinna ziemia — z wyboru serca, z przyjaźni do ludzi, jakich nigdzie indziej nie spotkałem, z tej niepowtarzalnej atmosfery, bez której nie umiem żyć.

Po raz pierwszy przyjechałem do Nowego Sącza jako czteroletni berbeć, w 1926 roku, gdy ojca mianowano dyrektorem Spółki Rolnej „Zagon". Tu chodziłem do szkoły powszechnej — im. Adama Mickiewicza — i tu miałem najwspanialsze przygody dzieciństwa, które zapadły mi w pamięć i serce. Ale w 1936 roku przenieśliśmy się do Lwowa, gdzie przyszło mi przeżyć czas dojrzewania, uczyć się w gimnazjum, poznać gorycz wojny i hitlerowskiej okupacji. Tam wreszcie, w sierpniu 1944 roku, włożyłem mundur — mundur polskiego żołnierza, za którym długie, mroczne lata tak bardzo tęskniliśmy wszyscy. Przeszedłem szlak bojowy przez Warszawę, Wał Pomorski, aż pod Berlin. W wojsku „popełniłem" pierwszy wiersz, który wydrukowano w żołnierskiej gazecie. W mundurze pozostałem do roku 1947, a po zdemobilizowaniu pojechałem do Wrocławia, gdzie wojenne losy rzuciły mych rodziców.

Przede wszystkim pejzaże. Koledzy patrzyli na nie życzliwie i wreszcie zaproponowano, bym wystawił swe obrazki w Klubie Ziemi Sądeckiej. Był lipiec 1973, a może 1974 roku? Eksponowałem kilkadziesiąt prac. Zyskały życzliwe przyjęcie ze strony widzów miejscowych i turystów. Więcej: chciano je kupować. Podobały się, że takie pogodne, barwne, sądeckie. Choć moja córka, plastyczka-profesjonalistka, twierdzi, że to „kolorowe pocztówki", zwiedzający pragnęli właśnie takich „pocztówek", bo człowiek — zwykły człowiek — chce znajdować w malarstwie kształty bliskie sercu. Również znany malarz sądecki, Stanisław Szafran, mobilizował mnie do pędzla. Mówił, żebym takiego właśnie sposobu malowania się trzymał. Wspierał życzliwą krytyką. Nawet pomagał zdobyć papier i farby. Z wdzięcznością wspominam wspólne plenery z Witoldem Fuskiem z Biecza, który nauczył mnie „podglądać" pejzaż.

Potem były inne wystawy. Za szczytowe swe osiągnięcia uważam tegoroczną wiosenną ekspozycję w sądeckim Biurze Wystaw Artystycznych, gdzie dotychczas dopuszczano jedynie artystów zawodowych. Nieoczekiwaną satysfakcję dało mi też zaprezentowanie w Galerii Dudów w Jazowsku prac z podróży do Hiszpanii, Związku Radzieckiego i Jugosławii, pod wspólnym tytułem „Z bliska i z daleka".

Dlaczego maluję? Po prostu — stało się to jedną z moich pasji; dzięki niej inaczej zacząłem widzieć góry, lasy, wody, inny walor zyskały światła i cienie. I w gruncie rzeczy nieważne, jakiej farby, pędzla, metody użyję — ważne, by obraz wzruszał.

Z wyboru serca

Studiowałem w Akademii Medycznej, a potem pozostałem w akademickiej Klinice, jako pracownik naukowy. W 1960 roku uzyskałem doktorat, jako specjalista chorób wewnętrznych, a moją pracę doktorską wyróżniono I nagrodą Towarzystwa Internistów Polskich.

Lekarz to — zdawałoby się — profesja, która powinna człowieka pochłaniać bez reszty, nie zostawiając czasu ani sił na nic więcej. Okazuje się jednak, że jakaś cząstka mnie „uciekała" zawsze ku innym sprawom.

Jeszcze podczas okupacji ukończyłem kursy kreślarskie, więc na studiach pomagałem profesorowi opracowywać plansze szkoleniowe: rysowałem obrazy mikroskopowe, przekroje tkanek, wykresy. Żyłem z tego; nawet lepiej, niż później z asystenckiej pensji. Zainteresowałem się także żeglarstwem. Zrządził o tym przypadek: w drugiej połowie lat pięćdziesiątych dałem się z powrotem wciągnąć do pracy harcerskiej. Miałem do czynienia z młodzieżą licealną, którą niełatwo było czymś zainteresować. Dzięki przyjaciołom z Kliniki pomyślałem o żeglarstwie. Chwyciło. Szybko dochrapaliśmy się sprzętu, zorganizowaliśmy harcerską bazę wodniacką, urządziliśmy obóz na jeziorze... Rożnowskim. Tak zacząłem uprawiać jachting.

Ale ciągle jeszcze medycyna była moją niemal wyłączną miłością. Trafiła się akurat okazja objęcia stanowiska ordynatora oddziału internistycznego szpitala w Gorlicach, spakowałem więc manatki i w 1962 roku przeniosłem się kilkaset kilometrów na wschód. Pięć lat przepracowałem w Gorlicach, potem osiadłem w Nowym Sączu. Początkowo związałem się z kolejową służbą zdrowia. Później przeszedłem do wojewódzkiej poradni internistycznej, a równocześnie zostałem kierownikiem Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr Medycznych, uczyłem także w Liceum Medycznym; zawsze miałem ciągoty dydaktyczne. No a w 1979 roku wyjechałem na dwa lata do Iraku, jako lekarz naczelny „Instaleksportu". Znałem ten kraj z wycieczki turystycznej, ale dopiero teraz mogłem mu się lepiej przyjrzeć, jeżdżąc wzdłuż i wszerz po różnych placówkach. Nie chciałem jednak przedłużyć kontraktu, choć uważano, że tylko wariat rezygnuje z tak intratnej, dolarowej posady i możliwości „poznawania świata". Źle się czułem z dala od Ojczyzny, od moich gór, od śnieżnej zimy, barw polskiej jesieni, uroku pierwszej wiosennej zieleni... Wróciłem więc w sierpniu 1980 roku do Sącza na swe dotychczasowe stanowisko; pracuję na nim do dziś, ciesząc się z każdego sukcesu Ośrodka, z każdego pacjenta, któremu udało się pomóc.

Wróciłem również do żeglarstwa; od chwili zamieszkania w Sączu związałem się z Oddziałem PTTK „Beskid" i jego sekcją żeglarską. Te kontakty pomogły w tworzeniu obecnego Jacht Klubu. Już w roku 1968 zostałem jego komandorem i jestem nim do dziś. Stworzyliśmy ośrodek jachtowy na jeziorze Rożnowskim, w Znamirowicach. Prezes Oddziału, Władysław Stendera, i Zarząd służyli wszelką pomocą. No a potem pani Sumińska, jedna z najlepszych polskich żeglarek, powiedziała o Znamirowicach, że to najpiękniejszy w kraju turystyczny ośrodek żeglarski.

Żeglarstwo w Nowosądeckiem ma przyszłość. Wszak, oprócz Rożnowskiego, będziemy mieć jeszcze dwa wspaniałe akweny: Czorsztyński i na Ropie. Czyż może być coś piękniejszego niż rejs po jeziorze otoczonym górami, pełnymi tajemniczych cieni i świateł, coraz to innymi o każdej porze dnia i porze roku?

Ta uroda wody, gór, nieba wprost zniewalała, bym spróbował ją utrwalić. Pędzlem i piórem. Tak zaczęły powstawać moje pierwsze akwarele.

Musi wzruszać. Uważam, że mówienie o „rozumieniu obrazu" nie ma sensu. On się powinien podobać.

Tak jak malarstwo musi być — według mnie — adresowane do widza, tak pisarstwo — do czytelnika. Apelowanie do wyobraźni czytelnika jest przedsięwzięciem ryzykownym; zwłaszcza do wyobraźni abstrakcyjnej. Trzeba więc pisać w sposób komunikatywny, „dla ludzi".

Moje pierwsze wiersze (poza tamtym z czasów wojny, o którym wspominałem) zaczęły się rodzić równolegle z pierwszymi obrazkami. Powstawały na użytek Oddziału PTTK „Beskid": wiersze rocznicowe, okolicznościowe. W połowie lat siedemdziesiątych ukazał się tomik. Nosił tytuł żeglarski: „Chodzenie na wiatr". Zyskał ciepłą recenzję w czasopiśmie „Żagle". Potem, gdy znalazłem się w Iraku, do pióra — podobnie jak do pędzla — gnała mnie tęsknota za krajem. Dlatego tamtejsze me wiersze były w większości nie „arabskie", lecz „sądeckie". Przesyłałem je do „Dunajca", a ponieważ drukowano, pisałem coraz więcej i śmielej. Uważam się więc za człowieka, który skrzydła literackie rozwinął dzięki „Dunajcowi".

Zamiłowanie do literatury wyniosłem z gimnazjum, gdzie uczyli mnie znakomici i zakochani w swych przedmiotach — polonista Bolesław Lewicki i łacinnik, prof. Jus. Oni sprawili, że zacząłem „smakować" język, że muzyka wiersza zapadła we mnie i utrwaliła się głęboko. Do dziś za wzór poezji uważam dzieła poetów klasycznych oraz tłumaczenia klasyki greckiej i łacińskiej, a z bardziej czasowo bliskich — Ericha Marii Rilkego w tłumaczeniu Artura Sandauera.

Były we mnie jeszcze ciągoty teatralne. To się zmaterializowało we współpracy z Agatą Konstanty, ale nawiązywało do mych lat dziecięcych, gdy występowałem na scenie sądeckiej podstawówki. U Agaty byłem kierownikiem literackim. Dla jej teatru napisałem szereg wierszy; złożyły się na tomik „Z krwi i chwały". Nosiliśmy się z zamiarem dawania stałych spektakli rapsodyczno-poetyckich w Galerii Marii Ritter, ale skończyło się na dwóch. Samodzielnie reżyserowałem w 1984 roku widowisko pt.: „W Uhryniu i okolicy", wystawione w sądeckiej Synagodze i poświęcone tematyce łemkowskiej. Było na tym spektaklu kilku aktorów krakowskiego Teatru Starego i bardzo pozytywnie go oceniali. Po śmierci Agaty nie mam z kim pracować, a na samodzielność jeszcze mnie nie stać. Brak też czasu. Brak zespołu...

Dużą przyjemność sprawia mi tworzenie dla dzieci, choć na razie nic z tego jeszcze nie drukowałem. Uważam, że pisanie dla małego czytelnika to sztuka największa. Ostatnio mam również ochotę popróbować prozy, ale nie mogę znaleźć formuły. Tymczasem więc piszę pamiętnik; wierszem.

Jak odbiera moją twórczość środowisko, w którym się obracam? Teraz już się przyzwyczajono, że Masior „trochę inny", ale początkowo przyjmowano moje wiersze i obrazy ze zdziwieniem, a nawet — z dezaprobatą. Najżyczliwiej podeszli do tego koledzy z PTTK i najszybciej zaczęli mi sprzyjać. A lekarze? Cóż, w tym kręgu twórczość ma już niemałe tradycje. Bądź co bądź, lekarze są jedyną grupą zawodową, która ma własne stowarzyszenie literackie: Unię Pisarzy Medyków; ja do niej zresztą nie należę. Jestem natomiast członkiem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Niemałą satysfakcję dała mi tegoroczna Nagroda Wojewody Nowosądeckiego za działalność w dziedzinie literatury. To przecież swoista nobilitacja!

ELŻBIETA GLINKA

O wierszach Jerzego Masiora

Są na tym świecie rzeczy ostateczne i wielkie, jak: śmierć, miłość, pamięć, są też rzeczy kruche, które *„i mienić i zwykły się psować”*, rzeczy nietrwałej urody: jakaś melodia, zapach, barwa kwiatu, wzruszenie, które przypływa na chwilę. I jest między nimi wzajemne przenikanie, głęboki, tajemny związek. Widzą go *„oczy romantyczne”* poety, nawet gdy patrzą na martwą naturę:

To stary obraz
więc w niewoli złoceń
jest krwista czerwień aktu dojrzewania
(...) ta czerwień owocu jest ważna
ważna dla źrenic

— po chwili czerwień jest *smakiem ulicy*, można więc ją mieć dla ust i dla oczu, można chłonąć świat wszystkimi zmysłami. Można też *„uwierzyć zmysłom — busoli serca”* — to znaczy, że powiązanie uczuć i odczuć stanowi o jedności ludzkiej istoty. Rzeczy widziane osobno, w oderwaniu, są sztuczne, martwe, skończone, ale poeta zna ich przeznaczenie, dostrzega między nimi związki, a jeśli widzi — wierzy w nie, potrafi łączyć to, co rozdzielone:

Rzeczywistość jest barwą malowaną tobie,
a tyś jest dla obrazów prawdziwą ciemnością,
na progu jednej chwili, z którą wiem co zrobię:
uwierzę, że z chwil kilku stałaś się całością.

W strumieniu czasu, w ciągłym przepływie — artysta nie tylko widzi rzeczy zakryte, wierzy i łączy, może też je zachować od przemijania, ocalić, unieśmiertelnić. To jego powinność — tym szczytniejsza, gdy skierowana ku innym, bo sama w sobie niczemu nie służy:

Plączą się cienie — można je utrwalić.
Po cóż na własność? To sztuka daremna.

Któż lepiej od poety zna wartość czyjejś bliskości, choćby trwała tylko po świt? Może prawdę i horoskopy na przyszłość odkrywa się wspólnie, ogląda w krysztale kieliszka z winem?

Ku głębi nocy toast już wypity,
Ku wszystkim śladom i wszystkim podróżom
I tym spełnieniom, które komuś służą,
Jak z głębi nocy toast już wypity.

⁂

Przemija postać tego świata... A śmierć przy nas — wciąż obecna, nieodstępna, konieczna. W każdym dojrzewaniu i wzroście jest jej zaród. Żyjemy ku śmierci, *„wśród dni wciąż kogoś tu ubywa”*, ale na przekór śmierci i upływowi czasu, bez względu na nie dana jest nam zdolność rozbłysku: możemy zapłonąć tym, co w nas najlepsze — im bliżej końca, tym jaśniej. Gdy śmierć nieprzekupna szczerzy zęby, zaprasza w swój *dance macabre* — możemy żyć przeciwko niej, żyć całą pełnią i bujnością ludzkiej natury:

(...) a my husarze, wolni strzelcy,
my biczowani, dzielni, wielcy,
my pośród nocy, pośród duchów,
wciąż jeszcze świata czcimy kruchość.

Dalszym ciągiem żałobnego rapsodu, *„pogrzebu złudzeń”* i myśli, *„pochówków po mogiłach wiary”* jest radosny hymn życia, bo kres wszystkiego i początek wzrostu — są w tej samej ziemi:

(...) i koniec rzeczy:
północ południa
i koniec spraw,
wszystkiemu finał —
hej, alleluja!
coś się zaczyna,
coś się nazywa,
coś od korzeni —
wszyscy jesteśmy
z krwi i z cieni.

Dziwnie blisko śmierci jest miłość, niedaleko — ślub od pogrzebu, pocałunek od strzału, kochanie od konania. Wpisani w ciąg istnień — powtarzamy błędy rodziców, dziadów — ani lepsi, ani inni. W tym nasza ułomność, ale i nieśmiertelność. Tak się uczymy pokory:

Do ciebie ojcze dziś się modlę,
Przed tobą klęczę mamo, mamo —
Przebaczcie proszę, żem się ważył
Żyć po was jeszcze i tak samo.

Można się też bronić przed złudzeniami i klęską: nie wierząc słowom wiarołomnym, obietnicom — drogowskazom, które prowadzą donikąd. Można milczeć i być — tak istnieje zaświat — wielka wspólnota żywych i umarłych, a wedle jej praw: *Wracają duchy, gdzie są ludzie.*

⁂

Kim jest ten, który te wiersze napisał? Nie chce być poetą, bo dla poetów wiatr to *„sabat archaniołów”*, u nich słowa są większe od rzeczy. A słowo ma być rzeczy odpowiednie. On jest artystą, twórcą, Pigmalionem, co dzieła nie skończył, niespełniony jak ono:

Gdy się w tym moim rublowie przeglądam
a rublow siedzi naprzeciw
na stołku (...)
moja ikona w barwach niespełniona
od lat już bywa
tylko nostalgiczna

Ja jestem przecież mistrzem jej portretu
barwy dobieram.

To z niedosytu jest wszelka twórczość. Ale jest też sposób na spełnienie — nie nazwany wprost, a wiadomy. Wtedy nieważne stają się prawa i nakazy, bo one z niego biorą początek: *we mnie i w tobie ikona spełnienia.*

Ma ten twórca-niepoeta własny świat, a w nim wszystko jest możliwe: wypadek z gwiazdą i zaręczyny w górach w lisiej czapie, włóczkowej tęczy. Świat to podobny do snu: *rudy anioł zza pazuchy chrzty rozdaje*, bladych świętych z ikon da się wyprowadzić na słoneczko. Pomieszało się tu niebo z ziemią, skutek oderwał od przyczyny, dziwne sprawy dzieją się w cerkwi przez południe. Sprawca wierszy, mistrz swoich ikon — wyznaje:

Wszystko co moje
przetrwoniłem bez planu lecz z pasją

— i podpowiada nam, że tak żyć powinniśmy: trwonić siebie bez żalu, wyrachowania, przezorności. Czasem świat trzeba wywrócić na opak, uczynić *„niedorzecznym”*, dopiero wtedy będzie dobry, łagodny:

Ruska księżniczka bestię wstążką wiedzie,
A Święty wstaje i nie chce srebrników.

Z naszego świata: pełnego zła, wojen, okrucieństwa i zniszczenia — wyniósł się Bóg:

Ciepłe miejsce Majestat porzucił
Christ się zeźlił i pierzchnął do nieba
Berło cisnął, bo ciężko mu było
Teraz żebrze na bochenek chleba

Chrzciciel w łapciach poszedł paść barany
Będzie łąkom trawy deszczem święcić.

⁂

Niby niemęskie — takie pochylenie nad kwiatkiem: bławatek, kąkol, róża, bzy... Co można powiedzieć o kwiatach? Co w nich zobaczyć poza barwą, zapachem, liczbą płatków, kształtem liści?

„Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie, wyrasta i więdnie jak kwiat” — żalił się Hiob. Kwiaty — nasz obraz i podobieństwo: przez korzenie, owoce, dojrzewanie, więdnięcie. Kolorem, kształtem, wonią — coś przypominają, symbolizują — jakąś chwilę nietrwałą jak kwiat, jakąś tkliwość. Czarodziejstwo kwiatów to moc przywoływania wzruszeń: ulotnych, błahych, a jednak dziwnie trwałych, niepokojących, powrotnych:

Gdzieś, kiedyś było pewnie tak,
że pamięć snów wciąż trwała
i konwaliowe były sny —
to śmieszne, że zostały.

Poziomki przeznaczone są dla ust jak świat dla swojego kresu, kąkol to gotyk i ucieczka w smukłość, niezapominajki — *„najczystszej wody adoracja”*, osty — spełnienie samotności. I barwinek:

Tych parę listków poświęconych —
powracające sentymenty;
w kolory gramy znów zielone
haszyszem wspomnień — czy pamiętasz...

O kwiatach można w nieskończoność — tak, jak o wiązaniu bukietów wiejskich:

Ale poeta nie wspomina,
że ich więdnięcia jest przyczyna
w bogactwie tylu na raz kwiatów.

To smutny paradoks, że wielorakie, bujne, żywe — więdnie i umiera, a tylko bibułkowe różyczki mają patent na nieśmiertelność.

⁂

Bliska jest *„kruchość świata”* rzeczom ostatecznym, tak samo myślenie o śmierci splata się z myśleniem o historii — tej nieodległej jeszcze, wojennej. Ale spoczywanie w lesie chłopców ze stenami i *„na cmentarzu w dunajcowym chłodzie”* tych, którzy krwi przymieszali do wody — to jeszcze nie śmierć. Dopiero niepamięć jest prawdziwym końcem. Oni pisali historię, nie poemat — łomotem serca, pracą rąk, seriami z peemów — zostały w ziemi i na skałach blizny ich ran. Teraz wracają w miejsca naznaczone, w góry — rzeczpospolitą duchów, państwo bez czasu: tu „cichociemni” schodzą się z „promienistymi”, przybywają jak na Dziady i nie trzeba imienia Ojczyzny wzywać nadaremno. A *„chodzenie po śladach”* to udział tych, którzy zostali i jeszcze trudzą się pod słońcem: oni też znajdą miejsca klęsk czy ocaleń, stawią się jak na rozkaz, przyjdą z siwizną i zadyszką, by dać świadectwo wspólnocie żywych i umarłych. Ta pamięć to wierność tragiczna, wierność cieniom, ale tylko ona pozwala oswoić śmierć, broni przed lękiem. Czas okrucieństw rozdwoił ludzi i tak już pozostaną: między jawą a snem, życiem a przypominaniem:

Co wam w duszy gra — kochani,
co wam jeszcze gra?
Jedną struną wyście tutaj,
a drugą we snach.

⁂

Nie cały to świat wierszy mądrych i szczerych — tylko jedno z możliwych odczytań. Jest w nich romantyzm myśli i języka, ale też klarowność, prostota mowy właściwa rzeczom tworzonym nie „na własność”. Jakbyśmy słyszeli „wahadło serca” poety.

ANNA SZOPIŃSKA

Czaczów

dla gęsi
potok
dla doliny
obłok
z posiwiałych pni
buków
z wróżb
nie byle jakich
z wody potoczystej
kaskadowej
pstrągowej
z kamieni utoczonych
żarnami pór roku
wśród ulotnych przyrzeczeń
zapomnianych wyświęceń
ikon niepozłoconych
spichlerzy
drewutni
pasowanych
toporem mężczyzny
wyciosany
wymodlony
okadzony
zawiniony
świat nieprzeznaczenia

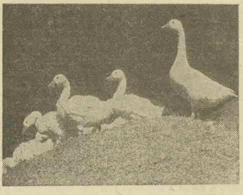

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Łosie

Cerkiewne milczenie
zamknięto
skoblem czuwania
miejscem sowy
przeczuciem
wymodlonej ikony

Jaworowi żołnierze
zaciągnęli
straże tęsknot
Gaszą
pragnienie przebaczenia
w owczym wodopoju

Niespętany koń
nakarmiony storczykami
przynosi
bukiet grzywy
dla cerkwi
za winy wypatrywania

Żmiąca

Wodopracowite
skrzydlaste
pierzaste
strugą Jaworza
obmyte
koła młynne
żaren
kieratów
i wszelakiego trudu
zbutwiały uleciały
suchym korytem
dębinową osią
szopą byle jaką
ku żwirowisku rzeki
w dolinie
w mokry obłok
deszczu
nad górami

Andrzej Grabowski

Pojednanie przy zupie

— Zabiję, psiakrwię! Zabiję! Na śmierć zabiję! — wrzeszczał stary Knot miotając się po obejściu w poszukiwaniu siekiery, którą już dawno rodzina schowała, wiedząc, że ojciec słów na wiatr nie rzuca.

Tymczasem Mańka leżała pod pierzyną, wodząc oczyma po suficie. Knotowa klęczała pod obrazem modląc się zawzięcie, jednocześnie od czasu do czasu rzucając ukradkiem spojrzenia w stronę drzwi, przy których, strzygąc uszami jak młode źrebaki, stali Michał z Jaśkiem, gotowi bronić siostry przed ojcem.

Stary w końcu zmęczył się bieganiem i krzykiem, usiadł na cembrowinie studni mrucząc coś do siebie. Spojrzał spode łba w stronę chałupy, gdzie pod oknem leżał wyrzucony telewizor; tydzień nie minął, jak go z wielką pompą z miasta do domu wraz z synami przywiózł. Szczęściem, że błoto jest w obejściu, toteż przez głowę myśl przebiegła, że może zbytniej szkody mu nie uczynił.

— Psiakrwie, tyle pieniędzy bym zmarnował — wyszło zeń bezwolnie i poczuł nagle, jak złość go opuszcza, ale tylko na moment, bo oto znów wróciła jak bumerang, lecz już tylko zębami zgrzytnął. Sięgnął po wiadro i wylał na siebie pozostałą w nim wodę. Zatrzęsło nim i w tym momencie uświadomił sobie, że to już jesień i o zdrowie dbać trzeba. Pognał tedy prosto do kuchni i wpadłszy do wnętrza chwycił ręcznik i zawzięcie począł weń głowę wycierać.

— Psiakrwie, obłudniki, nie daruję! — nie mogło opuścić jakoś starego. Lecz najgorsze już minęło i musiał wygadać się sam do siebie, gdyż akurat tu i teraz nie miał do kogo. — No, proszę, jakie to było pazerne na wiadomości o człowieku... On przed nimi całą duszę otworzył, indyka zarżnął i dwie kury, żeby wiedzieli jak się tu gości przyjmuje, a oni — psubraty, tak mu się odpłacili. Redaktory zasrane! Jak on tę ziemię brał z reformy to jeden z drugim portki jeszcze w zębach nosił, a teraz taki syn będzie go uczył, jak ma gospodarzyć. Że jest zacofany — powiedzieli. Przez telewizję! Cała Polska to słyszała i widziała. Diabła tam... ale cała wieś! Dopiero się będą śmiali i wytykali palcami. Mało to już gadają, że Mańce rozum odebrało, jak ci z telewizji dwa dni w ich chałupie gościli? Że ponoć ten ich kierownik obiecał, że ją za spikerkę do telewizji zabierze. Brednie wierutne, Mańka i telewizja? Fakt faktem, że ich nad ranem w stodole przydybał. Lecz „gość w dom, Bóg w dom". A Mańka twierdzi, że nic się grzesznego ponoć nie stało. Ale od miesiąca ani ją kijem do roboty wygnać nie można i całymi dniami wyleguje się pod pierzyną i gadać z nikim nie chce. Początkowo myśleli, że może chora, nawet po doktora matka chciała posłać, ale wtedy Mańka powiedziała, że nic jej nie jest, tylko ma już dość tej harówy w polu.

O mało co w pysk od matki nie dostała. Kiedy we śnie poczęła wołać jakiegoś Roberta, wszystko stało się jasne. Nic, tylko ten z telewizji we łbie jej zawrócił.

A wszystko przez to, że słyszeć nie chcieli, żeby jedyna córka na poniewierkę miała iść do miasta. A cóż tam ona w tym mieście robić może? Głowy do nauki nigdy nie miała, języka w gębie często zapominała, a że ładna i młoda? Ładnością się wiele nie zwojuje, a młodość? Cóż, spłynie jak kamyk z prądem górskiej rzeki.

Drzwi do kuchni skrzypnęły ostrożnie i przez szparę zajrzał najstarszy, Michał. Bystro ogarnął wnętrze wzrokiem i widząc ojca w zgryzocie już tylko z samym sobą, skierował się w stronę garnków. Nalał sobie zupy, ukroił pajdę chleba i na drugim końcu stołu zaczął jeść zawzięcie, nie zwracając uwagi na starego, który zdawał się już niegroźny dla otoczenia.

Jakoż po chwili i pozostali domownicy weszli do środka, słychać było tylko obracanie łyżkami. Knotowa postawiła dymiący talerz zupy przed mężem. Jeszcze nic nie mówiła, czekając cierpliwie na swoją kolej, kiedy stary wszystko, co ma do powiedzenia, wyrzuci z siebie. Wtedy ona mu da paternoster. Zwykle, jak się stary wyszalał, z sił opadł, mogła mu po łbie jeździć, a on już nic do powiedzenia nie miał. Spalał się na popiół i tyle go było.

Jednak do przemówienia nie doszło, bo oto drzwi się otworzyły i w progu stanęła Mańka. Włos rozwiany, w oczach złość i pięści zaciśnięte:

— W dupie mam redaktora! Słyszycie? Mam go w dupie! — wykrzyczała z kopiastych piersi i naraz wszyscy zastygli z łyżkami w dłoni, jakby głos jakowyś nie ziemski do nich dotarł.

Nikt nie odezwał się słowem, tylko stary Knot wierzchem dłoni otarł usta i spojrzał na córkę wzrokiem, w którym było wszystko naraz i z osobna. Po czym matka postawiła przed córką talerz i wszyscy zgodnie znów zaczęli obracać łyżkami w zupie.

6. biała izba

Lucyna Kaszuba

Dom młodych

Największy ruch rozpoczyna się tuż po godzinie 15. Po trzech stromych schodkach wspinają się maluchy, często z tornistrami na plecach, prosto ze szkoły, zdążające na zajęcia z rytmiki. Nieco starsze dźwigają w futerałach gitary, a chyba największe grupki śpieszą do pracowni plastycznych. W każdym tygodniu przewija się przez nie 400 małych malarzy, rzeźbiarzy i ceramików.

Już w korytarzu można obejrzeć interesujące prace plastyczne, które reklamują aktualną wystawę tutejszej Galerii. Właśnie trwa ekspozycja malarstwa i grafiki (czynna do końca grudnia); po raz pierwszy prezentują tu swoje umiejętności uczniowie sądeckich Liceów Ogólnokształcących. Prace wykonane różnymi technikami (także barwne grafiki, a nawet kolaże — kompozycje wykorzystujące najrozmaitsze materiały jako tworzywo) są zupełnie inne, niż malowidła wychowanków placówki wystawiane stale w holu. Roześmiane mamy, wesołe domy, przyjazne zwierzątka i kwiaty należą do dziecięcego świata. Obrazy starszych to pełne zadumy pejzaże, portrety, samotne drzewa, a nawet abstrakcyjne kompozycje, w których najważniejszy jest kolor. Można w nich odczytać stawiane sobie pytania, próby odnalezienia własnego miejsca w skomplikowanym czasie dorastania.

W pracowni plastycznej pod okiem **Anny Janik**, przy długich stołach pracują w skupieniu dzieci. Przyjechały tu z Paszyna na cotygodniowe zajęcia. Dzisiejszy temat — stroje i obrzędy ludowe. Ewelina chodzi dopiero do 3 klasy: — *Starsi koledzy i koleżanki już dwa i trzy lata przyjeżdżają do Sącza. Ja też chcę ładnie malować, brać udział w wystawach, dlatego jestem z nimi. Przywozi nas i odwozi autobus z MDK-u.* Pytam Ewelinkę, czy ktoś w jej rodzinie zajmuje się także malarstwem. — *Nie, ja jestem pierwsza* — odpowiada.

Ojciec Izy tworzy obrazy na szkle. — *Jest tak zapracowany, że nie ma czasu aby mnie uczyć. Muszę więc radzić sobie sama, a trochę podpatruję w domu, jak tatuś maluje. Tutaj pomaga nam pani, podaje tematy do wyboru i zawsze jest z nas zadowolona, choć nie każdy obraz wypadnie dobrze.* Zbyszek maluje wycieczkę w góry. Dwóch chłopców wspina się stromą ścieżką wiodącą przez las. Za nimi podąża pies z wesoło zakręconym ogonem. Zbyszek jest już doświadczonym małym malarzem: — *Brałem udział w wystawach, a w ubiegłym roku otrzymałem nawet nagrodę i wyróżnienie.*

Białe karty papieru szybko nabierają barw. Pojawiają się na nich tancerki w lachowskich i góralskich strojach. Wiele dzieci widać myślami jest już w innej porze roku: ożywają scenki z wiosennych zabaw, śmigus-dyngus, mienią się kolorami wielkanocne pisanki. Ewelina cierpliwie mi tłumaczy: — *To nic, że teraz jest zima. Najbardziej lubię właśnie malowanie pisanek. Zawsze sama je robię w domu, więc chciałam o tym opowiedzieć.*

Tadeusz chodzi do 5 klasy. — *Mama i brat pięknie malują na szkle i na drewnie. Chciałbym tak umieć kiedyś. Dlatego tu przyjeżdżam, by jak najwięcej się nauczyć. Może kiedyś zostanę prawdziwym malarzem.*

W pracowni obok starsze dzieci z Paszyna tworzą płaskorzeźby. Widać już kontury kompozycji w drewnie: wiejskie pejzaże, stadka owiec na hali, kobieta dojąca krowę, ludzie pracujący w polu. Mariusz Gąsiorowski uczy sztuki rzeźbiarskiej od podstaw. Jak twierdzi, młodzi mieszkańcy Paszyna mają wrodzone zdolności, niemal od razu wiedzą, jak trzymać dłuto, od czego zacząć pracę nad kawałkiem drewna.

W piwnicy oglądam najnowszą zdobycz placówki: nowoczesny piec ceramiczny, w którym wypalają się gliniane, pokryte barwną polewą figurki ludzi i zwierząt. Piękny jest zielonkawy koń i karuzela wykonana z myślą o Roku Pokoju: siedzą na niej różnokolorowe dzieci: białe, czarne, żółte i mały czerwonawy Indianin. Jeszcze surowe gliniane zwierzątka suszą się na regałach w pracowni prowadzonej przez utalentowaną rzeźbiarkę i malarkę, **Magdalenę Olszak.** Gotowe dzieła zdobią pomieszczenia MDK. Zadziwiają dojrzałością prace poświęcone matce: kobieciny w chustach, delikatne figurki kobiet czuwających nad kołyską czy zajętych pracą.

W sali prób, przy dźwiękach pianina, a potem już dziecięcej kapeli, ćwiczą „Sądeczoki". Sporo pracowały w ostatnim okresie. Występowały w Nowym Sączu, tańczyły i śpiewały w Puławach oraz w Mielcu. Teraz przygotowują się do nowych występów. Zespół pozyskał dziesięcioro nowych dzieci, które z czasem zastąpią starszych kolegów.

Najmniejsza tancerka, 6-letnia Ania, jest tu od pół roku. Nie czuje się nowicjuszką: — *Najbardziej lubię śpiewać. Występowałam już na scenie i bardzo chcę, żeby „Sądeczoki" jak najczęściej podróżowały i występowały.* Mnąc w paluszkach rąbek różowej, wyszywanej kolorowymi taśmami spódniczki, Ania zaczyna śpiewać swoją ulubioną piosenkę o kukułeczce, a potem następną (choć może zbyt „dorosłą"), o dziewczynie co czekała na Jasia. Głosik jest cienki, lecz brzmi pewnie.

W pracowni fotograficznej cisza. Za zamkniętymi drzwiami ciemni pracują młodzi fotograficy. W czterech grupach jest ich pięćdziesięciu, w tym dwie dziewczynki. **Andrzej Zawojak** opiekuje się nimi od niedawna. Przez długi czas koło prowadził znakomity, nieżyjący już mistrz, **Zygmunt Wieczorek.** Andrzej Zawojak jest zadowolony z podopiecznych. — *Byli u nas starsi chłopcy z „ogólniaka", ale już się wykruszyli. Teraz mam młodszych. Są pełni zapału, poznają technikę fotografowania i obróbki, uczą się wykonywać reprodukcje starych zdjęć — to szczególnie ich cieszy jako okazja do odnowienia zawartości rodzinnych albumów. Teraz mają dużo pracy. Przygotowują fotogramy na ogólnopolską wystawę fotografii dzieci i młodzieży. Czekają na wyniki konkursu „Ochrona środowiska", który zorganizowano w Nowej Hucie.*

W jednej z sal odbywa się lekcja języka angielskiego. Spora grupka dzieci z kursu dla początkujących nieźle sobie radzi; pytania prowadzącej zajęcia młodej dziewczyny szybko znajdują odpowiedzi, choć najczęściej zgłaszają się ci sami „Anglicy", pewnie najbardziej pilni. Takich grup jest 10. Ponadto prowadzone są zajęcia z języka niemieckiego oraz esperanta.

Na dole, koło sali widowiskowej duży ruch. Wciąż pojawiają się zdyszane, śpieszące dzieci, które cicho znikają za zamkniętymi drzwiami. Trwa projekcja filmu „Król Maciuś I" według baśni Janusza Korczaka. Pełna sala. Każde sądeckie dziecko ma tu wolny wstęp na wszystkie wyświetlane filmy.

Zajęcia w MDK trwają do późnego wieczora. Jedni kończą lekcje i próby, inni zajmują ich miejsce. Maluchy cierpliwie czekają w korytarzach na swoją kolej. Sala prób jest tylko jedna. Gdy nie ćwiczą „Sądeczoki", mogą ją zająć dzieci uczące się rytmiki. Jest ciasno, ale to nie zraża małych tancerzy, muzyków i plastyków. Znalazło się nawet miejsce dla bezdomnego psa, który w zimne dnie znajduje legowisko w ciepłym korytarzu i przyjaźnie traktuje dzieci.

W całym MDK działa około 100 kół zainteresowań. Nie wszystkie mieszczą się w tym budynku, wiele z nich wykorzystuje szkolne pracownie na zajęcia pozalekcyjne. I tak np. w szkole nr 1 są pracownie metaloplastyki i malarstwa, w „dwójce" — koła sportowe, a w „piętnastce" pracują modelarze lotnictwa i szkutnictwa (choć i w MDK jest niewielka pracownia modelarska). Placówka ma pod opieką dzieci ze Szczyrzyca, Dąbrówki i Biegonic. W sumie rozsiane po Sączu i najbliższych miejscowościach 28 kół pozwala dzieciom poznawać folklor, różne techniki plastyczne oraz rozwijać zainteresowania.

Maria Pacholarz prowadzi MDK od 1963 roku. Placówka mieściła się wówczas w kilku pokoikach budynku przy ulicy Jagiellońskiej, nad „Imperialem", a kadrę tworzyło 4 instruktorów. Do własnych pomieszczeń w Rynku przeniósł się MDK kilka lat później. Dopiero jednak po kapitalnym remoncie, ukończonym przed trzema laty, można było ruszyć pełną parą. Powstało 9 pracowni, sala widowiskowa ze sceną, gdzie występują czasem dzieci z tutejszego teatrzyku **Ewy Bierońskiej,** sala prób, zorganizowano Galerię, przybyło sprzętu specjalistycznego, zyskała estetyka wnętrz. Zajęcia prowadzi obecnie 15 stałych i 20 „dochodzących" instruktorów, dobrych fachowców, ludzi przeważnie młodych i z pomysłami. Dwa własne autokary rozwiązały wiele problemów. Można dowozić do Sącza dzieci z pobliskich wsi, organizować wycieczki oraz wyjazdy do teatrów.

— Uzyskaliśmy ogromne możliwości działania dzięki własnym środkom lokomocji — mówi Maria Pacholarz, laureatka tegorocznej Nagrody Wojewody Nowosądeckiego. — *Możemy pomóc dzieciom w poznawaniu własnego regionu, jego kultury, a także przeszłości — przez bezpośredni kontakt z historycznymi zabytkami, z Miejscami Pamięci Narodowej. Organizujemy wyjazdy do Krakowa, Wieliczki, Łańcuta, ale też — do Oświęcimia i Brzezinki. Nie chcemy tylko bawić, zapełniać wolny czas młodzieży pożytecznymi zajęciami, rozwijać jej zainteresowania. Głównym celem jest wychowywanie wrażliwych, świadomych naszej wspólnej przeszłości ludzi. Nie ma to wiele wspólnego z dydaktyką posługującą się nakazami czy zakazami. Instruktor jest przyjacielem, starszym kolegą swoich podopiecznych. Nikt do niczego nie zmusza, inicjatywa należy do dzieci. Czasem myślę, że z pewnością nie trafiają do nas ci wszyscy, którzy potrzebują opieki czy pomocy, ale pocieszam się, że i tak wiele zdołaliśmy dokonać. Wzrasta też zainteresowanie rodziców. Interesują się osiągnięciami swoich pociech, przychodzą częściej, niż było to dawniej.*

Atrakcyjny program oferujemy zimą. Urządzamy wycieczki dla narciarzy i łyżwiarzy. Wciągamy do udziału w naszych imprezach młodzież z zimowisk.

Mam jeszcze marzenie na przyszłość: zdobycie sprzętu video. Bliższe jest jednak drugie: umożliwienie młodzieży z powstającego Koła Informatyki kontaktu z komputerami. Nawiązaliśmy kontakt z Centrum Doskonalenia Nauczycieli, które posiada własną pracownię i być może, już niedługo dogadamy się, jak i kiedy będzie można zorganizować pierwsze zajęcia.

Jerzy Okoński

Tajemnice sądeckiej ziemi

Nie wystarczy sięgnąć po stare księgi i dokumenty, by poznać prądzieje naszego regionu. Dla wyjaśnienia początków osadnictwa w dolinie Dunajca potrzebny jest archeolog odkrywający tajemnice, które kryje ziemia. Posłuchajmy opowieści o najstarszych sądeckich rolnikach i pasterzach.

*

Około 4500 lat p.n.e. na ziemiach polskich dokonała się chyba najważniejsza z „rewolucji" gospodarczych: ludzie poznali umiejętność uprawy ziemi i hodowli zwierząt. Wcześniejszy, setki tysięcy lat trwający okres pradziejów charakteryzowała wyłączność gospodarki przyswajającej, opartej na eksploatacji zasobów przyrody. Były to czasy epoki kamienia, w których nie znano glinianych naczyń, a wszelkie narzędzia i broń wyrabiano wyłącznie z kamienia, głównie krzemienia, który po umiejętnym odbijaniu miał ostre krawędzie. Żywności dostarczały łowy najpierw na wielkie zwierzęta epoki lodowej (mamuty, niedźwiedzie jaskiniowe), później na renifery żyjące w środowisku tundry, a po ostatecznym ociepleniu i zajęciu rozległych terenów przez lasy — na drobną faunę leśną. Źródłem pożywienia było również rybołówstwo i zbieractwo owoców, grzybów i jagód. Dopiero około 4500 lat p.n.e. na terenie ziem polskich pojawiły się przybyłe zza Karpat, z terenu obecnych Moraw i Słowacji, grupy najstarszych rolników i hodowców. Poznanie tych dwu nowych umiejętności odmieniło całkowicie warunki życia ludności. Dotychczas gromady łowców i zbieraczy zmuszone były do wędrowania tropem będących w nieustannym ruchu stad zwierząt. Taki tryb życia sprawiał, iż niewielkie, sezonowo tylko zamieszkiwane osiedla składały się z szałasów. Nie było warunków ani potrzeby wznoszenia solidnych domostw. Opanowanie umiejętności uprawy ziemi i hodowli zwierząt całkowicie odmieniło warunki życia ludności. Porzuciła ona koczowniczy tryb życia. Rolnictwo i hodowla zmuszały wręcz do dłuższego przebywania na zajętych pod uprawę i pastwiska terenach. Na najżyźniejszych glebach powstały w tej sytuacji rozległe osiedla zabudowane okazałymi domostwami. Szkielet konstrukcji domów tworzyły duże słupy, a ściany — wylepiona gliną plecionka. O stabilizacji osadnictwa świadczy pojawienie się obok osiedli cmentarzysk, na których grzebano zmarłych, bogato wyposażając ich w przedmioty codziennego użytku oraz ozdoby z rogu, kości i muszli.

Obok uprawy ziemi i hodowli zwierząt przybyłe zza Karpat gromady ludności przyniosły z sobą szereg dalszych nowości. Najistotniejsze znaczenie miała umiejętność lepienia glinianych naczyń, nieznanych ludziom przez wcześniejsze setki tysięcy lat epoki kamienia. Najstarsi rolnicy lepili naczynia ręcznie, a wypalano je wprost w ogniskach. Koło garncarskie i piec do wypału ceramiki pojawiły się dopiero około 4000 lat później. Drugą istotną nowością było poznanie umiejętności gładzenia kamienia i wiercenia w nim otworów. Pozwoliło to na wytwarzanie narzędzi bardziej wydajnych, łatwiejszych w użyciu. Kamień szlifowano posypując obrabianą powierzchnię mokrym piaskiem

i pocierając innym kawałkiem skały, a otwory wiercono mozolnie pustą w środku kością. Narzędziami wykonanymi tymi technikami karczowano rozległe lasy, obrabiano drewno na budowę domostw. Były i dalsze „wynalazki": gromady rolników i hodowców przyniosły z sobą prymitywny warsztat tkacki. Skóry wszechwładnie wcześniej panujące jako praktycznie jedyna odzież, zostały zastąpione tkaninami, które niejednokrotnie pięknie barwiono.

Przejście do osiadłego trybu życia, ułatwienia bytu, jakie niosły wprowadzone nowinki, dały ludności poczucie bezpieczeństwa i więcej wolnego czasu. Poświęcono go np. zdobieniu przedmiotów codziennego użytku, rozwinęła się sztuka. Oparcie życia o gospodarkę rolniczo-hodowlaną nadało w sferze wierzeń ogromnego znaczenia procesom reprodukcji. Pojawił się kult bóstw płodności.

Zakres zmian był tak ogromny, iż przybycie gromad zza Karpat rozpoczyna na ziemiach polskich nową epokę pradziejów, tzw. młodszą epokę kamienia, zwaną neolitem (4500—1800 lat p.n.e.). W początkach tej epoki uprawa ziemi odbywała się tzw. systemem kopieniaczym. Niewielkie poletka, położone głównie w dolinach rzek, uprawiano ręcznie, robiąc drewnianymi lub rogowymi kopaczkami dołki w ziemi, użyźnionej popiołem wypalonych zarośli lub wykarczowanego i spalonego lasu. Wrzucano w owe dołki ziarna zbóż, których kłosy żęto później krzemiennymi ostrzami oprawnymi w drewniane rękojeści. Uzyskane plony mielono na prymitywnych żarnach, trzymając w dłoni niewielki rozcieracz i miażdżąc nim ziarno znajdujące się w kamiennej niecce. Dopiero w późniejszych stuleciach wprowadzono uprawę rozległych pól przy pomocy radeł ciągnionych przez zwierzęta. Pojawiły się też ludy, których głównym zajęciem była hodowla zwierząt.

Ślady najstarszych rolników i hodowców odkryto w trakcie badań archeologicznych w okolicach Nowego Sącza. Mimo dogodnych warunków naturalnych i klimatycznych, teren Kotliny Sądeckiej nie był w początkach młodszej epoki kamienia intensywniej zasiedlony. Nie odkryto dotąd śladów rozleglejszych osad ani cmentarzysk, a pozostałością ludności sprzed około 6000 lat są tylko nieliczne skorupy glinianych garnków i kamienne narzędzia.

W trakcie badań na Winnej Górze w Biegonicach znaleziono fragmenty pochodzącego z najstarszej fazy rozwoju cywilizacji rolniczo-hodowlanej naczynia oraz narzędzia wykonane z jaspisu radiolariowego, surowca pochodzenia słowackiego, przynoszonego na ziemie polskie z doliny Wagu. W Starym Sączu znaleziono w trakcie wykopalisk Na Lipiu kolejny interesujący zabytek: nożyk wykonany z obsydianu, cennego surowca również przyniesionego zza Karpat. Inne narzędzia z krzemienia lub jaspisu odkryto na Górze Zyndrama w Maszkowicach, w Dąbrówce, Naszacowicach, Nowym Sączu, Podegrodziu, Świdniku i Tęgoborzy. Jedno z najbardziej interesujących znalezisk pochodzi z okolic Nowego Sącza, niestety bez bliższej lokalizacji — jest to motyka wykonana z poroża dorosłego jelenia. W trakcie prowadzonych w latach siedemdziesiątych poszukiwań powierzchniowych

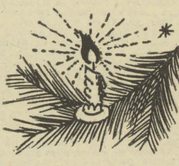

znaleziono w dolinach Kamienicy i Popradu następne kilkadziesiąt narzędzi z krzemienia, jaspisu lub obsydianu. Najpewniej znaczna ich część jest pozostałością pobytu na tym terenie najstarszych rolników i hodowców.

Charakterystyczną cechą znalezisk neolitycznych na Ziemi Sądeckiej jest obecność dużej ilości wyrobów z jaspisu i obsydianu, przynoszonych z południa w wyniku wędrówek ludzkich wzdłuż Dunajca i Popradu. Oryginalną cechą jest również prawie całkowity brak znalezisk fragmentów naczyń glinianych, które na innych terenach są najliczniejszą grupą zabytków pozostałych w miejscu pobytu ludności neolitycznej. Dokonane dotychczas odkrycia nie dają podstaw do charakterystyki osadnictwa najstarszych rolników i hodowców w okolicach Nowego Sącza, potwierdzają jednak niezbicie, iż ludność wczesnej fazy młodszej epoki kamienia przebywała w tej okolicy.

Około 2500 lat p.n.e. na terenie ziem polskich pojawili się nowi przybysze, określani — od typowych naczyń pięknie zdobionych odciskami sznura — jako plemiona kultury ceramiki sznurowej. Nowy lud to zarazem nowy model gospodarki. Plemiona kultury ceramiki sznurowej zajmowały się głównie pasterstwem, toteż jedną z cech charakterystycznych jest brak pozostałości osad. Widać, powrócono w warunkach gospodarki opartej ponownie na wędrowaniu, do niedbale wznoszonych szałasów, po których nie zachowały się w ziemi żadne ślady. Znamy jednak liczne, bogato wyposażone groby i szczególnie liczne, a bardzo charakterystyczne, kamienne narzędzia. Wśród tych ostatnich zwracają uwagę typowe siekierki i toporki. W okolicach Nowego Sącza siekierki kamienne wiązane z ludem kultury ceramiki sznurowej znaleziono w Stańkowej i Starej Wsi, a toporki w Łososinie, Nakle, Tęgoborzy i Tropiu. Zdaniem niektórych badaczy, również siekierka ze Znamirowic i kilka dalszych, znalezionych w bliżej nieokreślonych miejscach na terenie Kotliny Sądeckiej, wiązane być mogą z ludnością kultury ceramiki sznurowej. Na podstawie analizy rozprzestrzeniania znalezisk tej kultury przyjąć można, iż ludność trudniąca się w końcu neolitu pasterstwem posuwała się w góry wzdłuż większych rzek, prawych dopływów Wisły. Punktem wyjścia wędrówek był gęsto zasiedlony teren Wyżyny Małopolskiej. Stąd (wzdłuż m.in. Raby i Dunajca) gromady pasterzy ruszyły na południe. W ten sposób, najpewniej w końcu III lub na początku II tysiąclecia p.n.e., na terenie Kotliny Sądeckiej (a i dalej na południe, gdyż z Tylmanowej pochodzi kamienny toporek i dwie siekierki krzemienne, a z Krynicy — kamienny toporek) pojawili się w polskich górach najstarsi pasterze.

Eugeniusz Korkosz

Aneks

Przed wielu laty, po zakończeniu miodowego miesiąca, ustaliliśmy wspólnie z żoną zakres domowych obowiązków. Żona wspaniałomyślnie przejęła ciężar prowadzenia kuchni. Resztę domowych zajęć postanowiliśmy wykonywać na zasadzie tygodniowych dyżurów.

Mijały lata. Z czasem do harmonogramu prac domowych zaczęliśmy powoli włączać dzieci, przydzielając im drobne zajęcia. W zasadzie wszystkie prace sprawiały mi satysfakcję. Z wyjątkiem jednej. Dyżurem, który od samego początku spędzał mi sen z powiek, była łazienka. W zakres czynności wchodziły tu bowiem również codzienne przepierki. Szukałem sposobu, jak wyzwolić się od tego koszmaru. I znalazłem!

Którejś niedzieli, w czasie celebrowanego obiadu zagadnąłem dyplomatycznie:

— Wydaje mi się, że obowiązujący w naszym domu podział pracy staje się mało atrakcyjny. Czas najwyższy wprowadzić do niego jakiś przemyślany aneks.

— Ja chcę aneks! — krzyknął radośnie synek. — Będę się nim bawił.

— Aneks — to taki dodatek uzupełniający jakąś umowę — wyjaśniła spokojnie żona.

— Wprowadzający zmiany — podkreśliłem z naciskiem.

— A jakie zmiany masz na myśli, kochanie — zaniepokoiła się żona.

— No wiesz, moglibyśmy przejść na inny sposób dyżurów. Możemy, na przykład, podjąć próbę domowej samoobsługi. Sprzątanie — każdy w swoim pokoju, mycie łazienki — każdy po sobie. Zakupy też można podzielić.

— Możemy spróbować — zgodziła się żona. — Tylko jak podzielić obowiązki dzieci, zajmują przecież wspólny pokój.

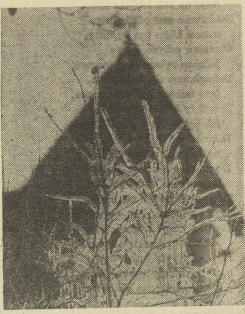

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

— Ja sam będę sprzątał nasz pokój — podjął męską decyzję synek.

— A ja pomogę ci to i owo przeprać — powiedziała dumnie córka.

Odetchnąłem z ulgą.

Następnego dnia raźniej niż zwykle poszedłem do pracy. Kropnąłem szefowi komplement przy powitaniu. Sekretarce Zuzi kilka miłych słów powiedziałem. Nawet interesanci wydawali mi się dziś milsi niż zwykle.

Aby zdążyć na oczekujące mnie po południu zebranie nieco wcześniej wróciłem do domu. Z zatkniętej w drzwiach kartki dowiedziałem się, że żona wybrała się z dziećmi do koleżanki. Szybko zasłałem łóżko (zgodnie z aneksem) i zacząłem szukać w szafie czystej koszuli. Zwykle wisiały na wieszaku, gotowe — wyprasowane. A dziś, jak na złość, nie było ani jednej. Znalazłem je podczas golenia w łazience. Leżały w wannie z lapidarną wiadomością napisaną na kartce: „Proszek do prania w szafce". Bez słowa włożyłem starą koszulę i pobiegłem do kuchni. Już przy wejściu zorientowałem się, że coś tu nie gra. Od kuchni powiało chłodem, nie było na niej ani jednego garnka. Czysto, pusto. Dopiero po chwili spostrzegłem leżącą na stole kartkę. Usiadłem i zacząłem czytać: „Mięso wołowe z kością w lodówce. Ziemniaki w piwnicy. Jarzyna w szafce. Książka kucharska w biblioteczce. Dzieci i ja jesteśmy po obiedzie. Wszystko zgodnie z aneksem, kochanie..."

— Wszystko zgodnie z aneksem — powtórzyłem cicho ostatnie zdanie — i zacząłem przygotowywać się do wyjścia na zebranie.

Józef Pitorak

Po odpuście

Było po odpuście...
Jak w pokazie mody sycko wyzdajane,
Dziadek, stryk, swok i krzesny ociec,
Kaśka, Maryna i wesoło stryna.
Wiara chłopów młodyk
Wleźli do gospody,
Zawrzało jak w ulu, kie miodu zbiyranie.
Po tym sie zacyno góralskie spiywanie,
Po tym obłapianie, boskanie, głoskanie —
Trza doznać odpustu miyłościwy panie.
Huziało jak holny lasym przy polanie,
A potym po jednym choćkany przaskanie.
Jedyn popiył z fantazyje,
som nie wiedzioł, cy juz zyje,
Drugi popiył dlo odwogi,
ścielęciały pod nim nogi,
Trzeci popiył ze złości,
ze nimok dopość miyłości,
Cwarty dozar nie z honoru,
sukoł w śklonce humoru,
Piąty, bo go ząb zabolol,
bez zakąski śrebać wolol,
Sósty sićkik kcioł przetrzymać,
przy stoliku ostoł drzymać,
Mioł przy tym wesołom mine,
tocył na stół lepkom śline.
Siódmemu zaskodził sósty,
wracoł bigos bez kapusty,
Ósmemu odiyno mowe
jednom rękom snuł osnowe,
Dziewiątego siepie ckowka,
jaze trzescy pod nim ławka,
Dziesiąty lezy pod stołem,
jak by go fto prasnoł kołem,
Jedynosty chłop jak tyka
naśladowoł w kącie byka,
Dwunostego jabcok skosiył
kapuste we włosak nosiył,
Trzynosty juz ledwie zipioł,
za stodołom w gnoju cupioł,
Styrnosty wył z całyj siyły,
mioł na karku siwe zyły,
Piytnosty był długowłosy,
straciył buty wrocoł bosy,
kie go w drodze nie zatocy,
zaśkoł błotym oba łocy,
przystąpiył nogom cupryne,
wołoł na pomoc Maryne.
Sesnostego bimber zdradziył,
do pola go wyprowadziył,
Osiemnosty straśnie chipkoł,
dudki przepiył — potym płakoł.
Dziewiytnosty pocyrwiyniol, przygion
dołu potylice, wraziył ręce do przypora
i obciyroł kiyrpcom śpice.

I tak wracali syćka tocający
jaz hucało po dziedzinie
i las śniymi jęcy.
Wysedł miesiąc nowy i wystawiył rogi
rachowoł przy kopak pomiyrzwione nogi.

Droga Redakcjo!

Przesyłam wiersz-humoreskę Józefa Pitoraka — poety ludowego z Bukowiny Tatrzańskiej. Wiersz ten został kilkanaście lat temu napisany „na kolanie" dla znajomego poety — p. Józefa Pary.
Dołączam wyrazy szacunku

PIOTR BEDNARZ
Zakopane

W ten poniedziałek zwołali masówkę tak nagle, żeśmy mało nóg nie pogubili. Akurat mnie wypadł dyżur w brygadzie socjalnej i ledwiem zdołał ukryć w szatni dwóch takich, co mieli ciężką niedzielę. Różnie w życiu bywa, czasem trzeba przyjść do roboty na bani. Ludzka rzecz, żadną ustawą tego nie zmienisz. Majster woli, żeby już taki przyszedł, niżby on się miał tłumaczyć w personalnym. Ale, z drugiej strony, wpadnie kontroler i nieszczęście gotowe. No więc zachodziliśmy w głowę, co robić, aż się wpadło na pomysł z brygadą socjalną. I jak ręką odjął. Zawsze jest ktoś, kto odpowiada, a dziś bez odpowiedzialności daleko nie zajedziesz.

Jak się zjawił dyrektor, pomyśleliśmy: bieda. Jak dołączył szef związku, spojrzeliśmy na siebie: o cholera! Coś się niedobrego kroi. A oni dawaj nawijać. Niby, powiadają, fabryka traci renomę. Nie to co dawniej. W gazetach o nas nie piszą, telewizja nie wiedzieć kiedy była, pieś z kulawą nogą nie zajrzy. To już nie te czasy, kiedy ci z kamerami za bramę nie wychodzili, tylko tyrkali i tyrkali, a to, a owo, a tego, a tamtego. Od paru lat posucha. Nawet dziennika nie warto oglądać.

— A cośmy to, panowie robotnicy, sroce spod ogona wypadli? — zagaja dyrektor. — Czy nas nie stać na jedno mocne wejście?

W duchu każdy pomyślał: a na cholerę nam medal? Nasze wyroby, chociaż z felerami, idą z pocałowaniem ręki. Takeśmy myśleli, ale mówić nikt się nie odważył, bo każdy znał przypowieść o niedźwiedziu. Było tak. Niedźwiedź postanowił zbudować most i wyznaczył dniówki zwierzętom. One czegoś bardzo się krzywiły, no więc się niedźwiedź rozzierdził i huknął aż echo poszło po lesie: „wasze prawo budować, za jedno, wzdłuż czy w poprzek rzeki, jak każę!" Nasz majster bardzo przypominał tego niedźwiedzia.

Toteż tylko Kowalski powiedział nieśmiało: — Nie dałoby się, majster, uruchomić komputerowej obrabiarki, co ją kupili w siódmej dekadzie, a teraz pod okapem spoczywa?

To nie był głupi pomysł, konkursowy wyrób bardzo by poszedł w cenie, jakby się powiedziało, czym go obrobiono. Trochę było kłopotu z montażem, śruby kapkę przygniły, ale prawdziwe schody zaczęły się z rozruchem. Komputer się rozregulował, za nic go nie szło ustawić, nic tylko fiksował. Zlecieli się naukowcy, dawaj coś przy nim dłubać, ale widziało mi się, co oni bardziej byli od video. Więc kiedy naukowe metody zawiodły, majster przyszedł z ratunkiem: — Tu trza, chłopy, sposobem. Skocz no, który, po narzędzia.

Andrzej Szymkiewicz

Znak jakości

— Z przytupem, kruca fuks! — dodał szef związku. I błysnął złotym zębem, co go sobie wprawił po wyborach.

I poszli.

Patrzymy po sobie. Ki diabeł, czego od nas chcieli? Namieszali, namieszali i odpłynęli.

Dopieroż majster wyjął bloczek, zabonował, wziąłem kartkę od niego, bo — jak mówiłem — na mnie przypadł dyżur, i dawaj za bramę. Kupiłem co trzeba, a jakem wrócił, majster zwołał zebranie.

Bo to jest tak. Kiedyś piwo sprzedawali od pierwszej. To jak było święto, albo kto miał pragnienie, musiał chyłkiem skradać się do meliny. Więc była chryja. A teraz wszystko wolno, można do roboty nie przyjść, albo ceny podnieść — jak wola. Toteż się wystąpiło z postulatem do władzy. Niech nam dadzą legalnie. Władza, jak to władza, z jednej strony nie mogła, z drugiej strony się bała, więc poszło się na ugodę, czyli „kompromitację". W sklepie przy bramie cały dzień jest piwo, ale na kartki od majstra. Żeby reglamentacja jakaś była i byle kto kantów nie robił.

Więc jakeśmy siedli, majster pociągnął łyk i powiedział: — Świat się, chłopy, nieco przesunął, nie żeby się zmienił. Co to, to nie. On się tylko, jakby to rzec, ociupinę gibnął. Weźmy na ten przykład dyrektora. Kiedyś to by przyszedł na halę i powiedział jak człowiek: „weźcie się ludzie za robotę, bo was wypieprzę za bramę!". A dzisiaj tego nie może. Bo on jest wybrany. I jak każdy deputat myśli o dwóch trzecich poparcia na drugą kadencję. Dyrektor przeważnie jest z konkursu, jak miss piękności. Tylko że dziewuchom dają mitsubitsu, czyli japońskie volvo, a dyrektorowi — kulawy stołek. Każdemu wedle urody. I dlatego taki facet nie może się wysłowić. Tak to jest, chłopy.

Dyrektor w fabryce, jak proboszcz w parafii, pomyślałem — powinien mieć uważanie. A co to za dyrektor, jak go byle łach skreśli? Spróbowalibyście zrobić wybory proboszcza!

Tak sobie myślałem, a majster mówił dalej: — No więc naszemu staremu postawili warunek, musi chociaż jeden wyrób zdobyć znak jakości. I wybór trafił na nasz wydział. Znaczy się, chłopy, trzeba zrobić taki wyrób, żeby tryby pasowały, koła się kręciły, lakier nie odpadał. To musi być coś takiego, jak się dawniej robiło.

Kopnąłem się ja, wybrałem parę majzli, młotek, dwie spore siekiery, majster wszystko obejrzał, wybrał kilka sztuk.

— Te się powinny nadać.

Co trzeba przyłożył, Kowalski potrzymał, majster puknął i komputer zaskoczył.

Dalej poszło gładko. Czasu my nie skąpili, godzin się nie żałowało, surowiec szedł najlepszy, przebierany, precyzja mówię wam palce lizać. Później na gorąco lakier i pucowanie. Tak więc udał się nam wyrób, ganz pomada!

Minął jakiś czas, żyliśmy w napięciu. Ani słychu, ani dychu. Gdzieś się nasz znak zawieruszył. Majster czas reklamacji odczekał, po czym sprowadził dyrektora.

Przyszedł na pierwsze wezwanie, z każdym się przywitał, rozejrzał się i powiada: — Premia leży na stole, czemu nikt swojej doli nie bierze?

— Nie wypada — wyrwałem się ja — skoro rezultat niewiadomy.

Daję mu do zrozumienia, że każdy ma swój honor.

— Rezultat, panowie robotnicy — odpowiada dyrektor — przecież wiadomy. Zrobiliście wyrób nadspodziewany, godny zachwytu i pochwały. Tak, że co się rozchodzi o premię...

— O premię nie chodzi — poprawił majster dyrektora — tylko o ten znak. Czyżby brakło farby, której prawo jest znaleźć się na wyrobie?

Dyrektor wyjął chustkę, wytarł spocone czoło, a każdy czuje, że coś jest nietęgo.

— Farba nawet jest — wykręca się dyrektor — i znalazłby się pędzel. Tylko, tego, że...

Spojrzał odważnie prawdzie w oczy i wyrypał: — Na znak jakości jeden wyrób nie starczy. Trzeba pełnej serii. Pięć tysięcy sztuk!

Tak nas, widzicie, wystawili do wiatru.

Majster zrozumiał, że telewizji nie będzie, prasa nie przyjedzie, nawet nie znajdzie wzmianki na drugiej stronie pisma niedzielnego. I taka go złość napadła, że tylko splunął przez zęby: — Oszukaństwo!

Znaj proporcją, Mocium Panie!

W końcu 1500 roku pewien przybyły do Krakowa magister, uczeń Erazma z Rotterdamu, wygłosił kilka mów publicznych. Jedna z nich opatrzona była tytułem „O rodzajach opojów i pijaństwie, jakich unikać należy". Osądy uczonego męża nie spotkały się jednak z właściwym odbiorem. Mędrca przegnano i pito nadal bez ustanku, a okres Świąt Bożego Narodzenia i karnawału szczególnie suto podlewano.

Od tamtej chwili minęło blisko pół tysiąclecia. Czy się coś zmieniło?

Zarówno kalendarz kościelny, jak i świecki przewidują sporo świąt. Ale tak się jakoś u nas przyjęło, że zarówno święta postne, jak i dzień radości, a także najróżniejsze obchody, rocznice i jubileusze nie mogą obejść się bez stołu uginającego się od flaszek. W naszym myśleniu zadomowił się pogląd, że jesteśmy spadkobiercami najlepszych tradycji polskich. Ma to się objawiać skłonnościami do toastów i nieodmawianiem poczęstunku alkoholowego. Widok polskiego szlachcica kontuszowego, zarumienionego nie tylko od mrozu, ale przede wszystkim od gorzałki, ma być ponoć najlepszym obrazkiem rodzajowym oddającym nastrój Gwiazdki. I płynie rzeka gorzały, siwuchy, czystej, bimbru, nalewek. Upijamy się na smutno i na rubasznie, na brata-łatę i na zaczepnego, na filozofa i prząśnego głupka.

I mało kto już dziś pamięta, że Wigilia jest dniem, w którym na stole nie powinna się znaleźć nawet kropla wina czy wódki. Lecz na to zawsze można powiedzieć, że i u Kochanowskiego, i u Paska, Rzewuskiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego czy Zapolskiej wszystko, co najbardziej polskie, z piciem się kojarzy. I niech się teraz znajdzie mądry i powie, że to nieprawda.

Niestety, prawda. Tyle tylko, że nigdzie nie jest powiedziane, że z narodowych przywar najdłużej i najskuteczniej mamy kultywować te najmniej chlubne.

Nie mam zamiaru nikogo namawiać do klasztornej wstrzemięźliwości i spędzania nadchodzących Świąt w ascezie i poście. Ale zachowajmy umiar. Niech fredrowskie *„znaj proporcją, mocium panie"* nie będzie tylko pustym cytatem. Może stanie się kiedyś tak, że życzenia świąteczne i noworoczne będzie składało sobie wiele milionów trzeźwych Polaków. No, może na leciutkim rauszu.

RAFAŁ GODLEWSKI

„BIAŁA IZBA" — ukazuje się pod mecenatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

Nowosądecki Murator

Budownictwo jednorodzinne w Nowosądeckiem

Wybór naszego „prezentu" pod choinkę nie był przypadkowy. Nowosądeckie od lat znajduje się w ścisłej czołówce województw, w których indywidualne budownictwo jednorodzinne odgrywa zasadniczą rolę w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych ludności. Przykładowo w roku 1984 wybudowano w Nowosądeckiem 2700 mieszkań — z czego zaledwie 44,7 proc. powstało w systemie uspołecznionym. W tym samym roku w skali kraju budowano średnio w tym systemie 71,3 proc. mieszkań.

W końcu roku 1985 w budowie było na terenie woj. nowosądeckiego 14,693 budynków, z czego obiekty infrastruktury gospodarstw rolnych stanowiły 2,800, stodół budowano 140, domków letniskowych 165, magazynów, garaży itp. — 1000, zaś domów mieszkalnych aż 11,800. Równocześnie małe spółdzielnie mieszkaniowe w wolnej lub szeregowej zabudowie wznosiły 141 domków.

W tymże roku 1985 oddano do użytku 1538 domków (23 przez spółdzielnie mieszkaniowe), zaś zezwolenia na budowę otrzymało 3700 kolejnych, prywatnych inwestorów. Ile podań wpłynie w roku 1987 — nie wiemy, ale tendencja wzrostowa jest wyraźna i staramy się właśnie wyjść jej naprzeciw.

Murator

okolicznościowy dodatek — prezent pod choinkę

przeznaczony dla tych wszystkich mieszkańców woj. nowosądeckiego

którzy się budują lub budować zamierzają, może też być przydatny dla członków małych spółdzielni mieszkaniowych oraz chętnych, pragnących taką spółdzielnię założyć.

Odpowiada m. in. na pytania:

- jakie zezwolenia trzeba uzyskać, aby móc przystąpić do budowy domu na wsi lub w mieście
- jakie są zasady uzyskania kredytu bankowego na budowę
- gdzie zamówić projekt i jakim wymogom powinien on odpowiadać
- skąd uzyskać przydział materiałów budowlanych
- komu zlecić wykonawstwo robót specjalistycznych
- jak założyć małą spółdzielnię mieszkaniową.

Nadto reklamujemy tani, łatwo dostępny, odpowiadający nowym normom cieplnym materiał budowlany w postaci:

— pustaka ceramicznego i cegły modularnej oraz kominowej.

Przytaczamy też szereg niezbędnych przepisów lub wskazujemy numery ustaw i zarządzeń, które obowiązują podczas budowy domu.

W „MURATORZE" wypowiadają się m. in. główny architekt województwa mgr inż. arch. **LESZEK SUS**, z-ca dyrektora Wydziału Handlu Urzędu Wojewódzkiego **TADEUSZ MŁYNARCZYK**, dyrektor oddziału Narodowego Banku Polskiego w Nowym Sączu **WIKTOR SZCZERSKI**, dyrektor Wydziału Drobnej Wytwórczości i Usług Urzędu Wojewódzkiego **MIECZYSŁAW ORCZYKOWSKI**, wiceprezes Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych, **JÓZEF LUPA**, dyrektor Nowosądeckiego Przedsiębiorstwa Ceramiki Budowlanej **STANISŁAW ZAJĄC**.

Zezwolenia konieczne przy budowie

Właściwe zezwolenia na budowę domu wydają jednostki podstawowe administracji państwowej, a więc urzędy gminne, miejsko-gminne lub miejskie administrujące obszarem, na którym ma być wzniesiony zaplanowany przez nas obiekt. Każdy z tych urzędów posiada co najmniej inspektora (o ile nie Wydział) do tych spraw, obdarzonego koniecznymi uprawnieniami.

Przedtem jednak przyszły inwestor musi uzyskać cały szereg dokumentów, stanowiących podstawę prawną pożądanego zezwolenia. Musi też podjąć pewne zobowiązania, stanowiące gwarancję, że proces budowlany przebiegać będzie zgodnie z obowiązującym prawem.

Dokumenty te, to:

- orzeczenie właściwego inspektora do spraw budownictwa w konkretnym urzędzie gminnym (miejsko-gminnym lub miejskim), iż teren, na którym ma być wznoszony obiekt, ma charakter budowlany. Zdarza się bowiem, zwłaszcza na terenie miast, iż w planie szczegółowym jakaś atrakcyjnie wyglądająca działka, którą zamierzamy kupić, może być akurat położona na środku planowanej arterii komunikacyjnej; czynników ograniczających budownictwo jest zresztą wiele, od wysokiej klasy gleb rolniczych, na których nie wolno budować, po różnego rodzaju wskazania geologiczne, ekologiczne, urbanistyczne a nawet estetyczne.
- osoba zamierzająca budować musi przedstawić dokument własności działki, to znaczy musi być jej hipotetycznym właścicielem. Ten warunek przy staraniach o zezwolenie na budowę, wydaje się oczywisty.
- plan zagospodarowania działki, to kolejny dokument wymagany przy staraniach o zezwolenie na budowę. Obrazuje on — w skrócie mówiąc — sposób usytuowania budynku na działce, odległość od granic działki, usytuowanie względem drogi itp.
- plan zagospodarowania działki jest ponadto załącznikiem do projektu architektoniczno-technicznego budynku. O tym, jak uzyskać projekt, u kogo go można zamówić — piszemy odrębnie.
- kolejny dokument, stanowiący właściwie punkt wyjścia do sporządzenia projektu, to tzw. podkład geodezyjny sporządzony przez uprawnionego geodetę gminnego lub miejskiego, który stanowi jakby fotografię aktualnego stanu działki, obiektów się na niej znajdujących, oraz w bezpośrednim sąsiedztwie działki.
- uzgodnienie z Urzędem Gminnym (na wsi), zaś w miastach zazwyczaj z Rejonowym Przedsiębiorstwem Gospodarki Komunalnej w sprawie sposobu doprowadzenia wody i odprowadzenia ścieków.
- uzgodnienie z Rejonowym Zakładem Energetycznym w sprawie przyszłej dostawy energii elektrycznej do budynku (czy są odpowiednie moce, sieć doprowadzająca), a także zasilania energią elektryczną na okres budowy.
- w niektórych regionach województwa, wyposażonych w sieć gazową konieczne jest też uzgodnienie z Tarnowskimi Okręgowymi Zakładami Gazownictwa lub Rozdzielnią w Nowym Sączu, Limanowej czy Gorlicach w sprawie ewentualnych dostaw gazu.
- w miejscowościach uzdrowiskowych warunkiem uzyskania zezwolenia na budowę jest też uzgodnienie jej z Okręgowym Urzędem Górniczym, który sprawuje ochronę nad źródłami mineralnymi.

Naturalnie w konkretnych warunkach różnych miejscowości może wystąpić jeszcze konieczność dokonania innych szczegółowych uzgodnień, związanych np. ze szczególnym krajobrazem, z ochroną złóż kopalnych, z możliwością uzyskania centralnego ogrzewania z sieci miejskiej lub telefonu. Z tych to m. in. powodów, a także ze względu na konieczność stałej kontroli prawidłowego przebiegu budowy, warunkiem koniecznym przy zezwoleniu jest też zapewnienie sobie fachowego, uprawnionego formalnie kierownictwa robót. W Urzędzie Gminnym sprawuje zazwyczaj te obowiązki stosowny inspektor.

Po wybudowaniu obiektu inwestor zobowiązany też jest prawnie do zgłoszenia w Urzędzie faktu przejęcia budynku w użytkowanie.

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Jak uzyskać projekt?

Wszystko zależy od tego, czy chodzi o projekt typowy czy też indywidualny. Ten pierwszy wybrać sobie można z Nowosądeckiego Katalogu Projektów Budownictwa Jednorodzinnego, wydanego w 1974 roku (w 1988 będzie nowy) — odpowiednia kopia wraz z załącznikami (w których zawarte są wytyczne dotyczące przeprowadzania sieci elektrycznej, urządzeń sanitarnych itp.) kosztuje 5 tys. zł. Adaptacja projektu typowego do warunków rzeźby terenu, gleby itp. kosztuje dalsze 5 tys. W stosunku do kosztów budowy jest to cena stanowiąca ułamek procentu.

Nadto do dyspozycji inwestorów są: Resortowy Album Projektów Budownictwa Mieszkaniowego (przygotowany przez ministerstwo rolnictwa) oraz Spółdzielczy Album Budownictwa Jednorodzinnego.

Wszystkie te albumy (również inne) są do wglądu w Rejonowych Zespołach Usług Projektowych, które znajdują się w:

— Nowym Sączu przy ul. Kilińskiego 60
— Limanowej
— Nowym Targu
— Zakopanem
— Gorlicach

Tam też zamówić można pożądane zmiany w projektach oraz zlecić indywidualne wykonawstwo projektu, na który obowiązuje cena... umowna. Około 130 architektów na terenie woj. nowosądeckiego posiada odpowiednie uprawnienia.

Przy okazji przypomnijmy, że na terenie woj. nowosądeckiego obowiązuje nakaz budowy dachów dwu lub więcej spadowych. Szczególnie ważne jest też odpowiednie zabezpieczenie budynku w trakcie budowy przed „wydalaniem" ciepła, jako że w województwie nowosądeckim są najniższe średnie temperatury w kraju, a normy przydziałowe węgla są niewystarczające, i nic nie wskazuje, by poza ceną, która pewnie pójdzie „w górę", bo wydobycie węgla jest deficytowe — w widocznym horyzoncie czasowym coś tu miało ulec zmianie. Tak więc, nie przestrzegając norm cieplnych, sami sobie wyrządzamy szkodę.

Z wielu ogólnospołecznych względów (podważanych publicznie ale dotąd obowiązujących) prawnym obowiązkiem inwestora jest budowa domu o powierzchni całkowitej nie przekraczającej 220 m kw., do której nie są wliczane pomieszczenia o wysokości poniżej 190 cm.

Zamiast felietonu

Budownictwo nasze jest chore. Wiele już atramentu na opisanie jego stanu zużyto, wiele stron papieru zadrukowano. Mimo kolosalnego obniżenia rozmiaru inwestycji przemysłowych w Polsce w ostatnich latach (1100 inwestycji wstrzymano), mimo utrzymania stanu zarudnienia na zbliżonym poziomie, mimo że należymy w Europie do największych producenów np. cementu „na głowę" mieszkańca — bariera 200 tys. mieszkań rocznie wydaje się nie do przekroczenia. PRON, OPZZ, ZSMP — każda poważna organizacja w Polsce zgłosiła już swój program naprawy budownictwa, jego słabości zdefiniowano szczegółowo — i co? Budowlany kolos ani drgnie, a wyż demograficzny pogłębia mieszkaniowe dylematy.

Ostatnio Kongres Związków Zawodowych oprotestował Narodowy Plan Społeczno-Gospodarczy na bieżące pięciolecie, domagając się podwyższenia rozmiarów budownictwa o jedną trzecią. Czy rząd uzna to za możliwe, a Sejm krytycznie zweryfikuje własne decyzje?

Wiadomo, że ulec musi reorganizacji struktura budownictwa: wielkie kombinaty są deficytowe i nieruchawe. Wiadomo, że problemem są niezwykle materiałochłonne technologie, od wielkiej płyty poczynając, na pełnej cegle kończąc. Wiadomo, że nie sprzyja dobrej jakości budownictwa spółdzielczego system jego kredytowania pozbawiony kontroli ze strony inwestora. Wiadomo też, że sama spółdzielczość mieszkaniowa stanowi dziś strukturę-moloch, w której nie ma miejsca na ludzką przedsiębiorczość i zapobiegliwość. Czy wyjściem jest budownictwo indywidualne, to też dyskusyjne, jako że musi ono z natury rzeczy pochłonąć więcej terenu, więcej materiałów itp. No ale na bezrybiu i rak ryba, a nasz region ma szczególne warunki ku temu, by dość ograniczone rzeźbą terenu nadzieje wiązać z budownictwem wielorodzinnym, blokowym. Traci na tym krajobraz, uroda naszej ziemi, a tak naprawdę to nie bardzo wiadomo, gdzie i po co, miałyby się u nas rozwijać wielkie miasta. Znacznie bardziej sensowne wydaje się inwestowanie w komunikację, drogi, umożliwiające dojazd do pracy, z własnego jednorodzinnego domu położonego gdzieś w okolicznej wsi, małym miasteczku czy osadzie.

I stąd nasz „MURATOR" stanowiący dowód poparcia dla tego typu rozumowania i inwestowania.

O jednej wszakże sprawie szczegółowej chcielibyśmy na koniec wspomnieć. Jest nią izolacyjność termiczna budynków. Mierzy się ją współczynnikiem K i zgodnie z polską normą od 1988 r. winien on wynosić 0,54 W/m kw. Gdyby chcieć postawić mur z cegły pełnej, który posiadałby taką termiczność, trzeba by go postawić na szerokość 129 cm z cegły pełnej, a więc na 5 długości, lub na 4 długości cegły dziurawki. Trzeba by wznieść nieomal fortecę. I służby nadzoru budowlanego powinny tego wymogu przestrzegać.

W przeciwnym bowiem wypadku w naszych domach będzie zimno, albo wymagać one będą nieprawdopodobnie dużego zużycia węgla czy innego materiału opałowego. A że klimat w naszym regionie jest raczej zimny, uwzględnienie tego współczynnika wydaje się logiczną koniecznością. Mało tego, ilość węgla jest ograniczona i już wzrastać nie będzie. Wydobywamy rocznie 190 mln ton, i to jest granica możliwości. Do węgla, tak zużywanego przez przemysł, jak przez gospodarkę komunalną i nasze domy, dopłacamy. Węgiel jest deficytowy i w programie NSPG na to pięciolecie jest przewidziane (m.in. dla zrównoważenia dochodów i wydatków budżetowych państwa) zlikwidowanie tej dotacji. Cena węgla zatem wzrośnie.

Mało tego, gdy wojewódzki inspektor gospodarki paliwowej ustala limity przydziału węgla dla województwa, to każdy nowy dom uzyskuje przydział taki jaki mu przysługuje zgodnie z przewidywaną izolacyjnością termiczną budynku. I tak musi być, każdy kto odbiega od norm, sam sobie wystawia rachunek w postaci niedogrzanego mieszkania. I tak będzie także dlatego, że państwo nie może sobie pozwolić, by poważna część jego majątku uchodziła bez sensu w powietrze, bo tym przecież jest spalanie węgla, który idzie do naszych pieców w ilości większej, niż to konieczne (gdyby mury były z odpowiedniego materiału i były odpowiednio izolowane, wówczas problemu by nie było).

W budowie jest w województwie 11 tys. budynków. Mogą być postawione sensownie, z myślą o własnym cieple i interesie państwa, i mogą też stanąć rozrzutnie, przewiewne jak nad Morzem Śródziemnym. Wcześniej czy później niesprawną administrację ukierunkuje też na to zagadnienie IRCH-a lub inny organ kontroli. Więc nie ma na co czekać. A my ze swej strony polecamy materiał budowlany tańszy niż cegła, o odpowiednio niskim współczynniku wydalania ciepła, dostępny w regionie i wymagający mniej cementu niż tradycyjne materiały budowlane. Tym akcentem reklamującym pustaki MAX, bo o nich to mowa, kończę te refleksje.

STEFAN CIEPŁY

Podstawy prawne zasad sprzedaży materiałów budowlanych

Na terenie województwa nowosądeckiego zasady sprzedaży materiałów budowlanych, przeznaczonych na zaopatrzenie rynku, oparte są o wytyczne ministra handlu wewnętrznego i usług z 7 marca 1986 r. w sprawie organizacji sprzedaży materiałów budowlanych, instalacyjnych i wykończeniowych, o uchwałę nr 124 Rady Ministrów z dnia 19 lipca 1985 r. w sprawie zasad i organizacji procesu zaopatrzenia materiałowo-technicznego w latach 1986—1990, o wytyczne nr 2 ministra gospodarki materiałowej i paliwowej z dnia 25 listopada 1985 r. w sprawie zasad realizacji zaopatrzenia materiałowo-technicznego w latach 1986—1990, o porozumienie w sprawie zaopatrzenia jednorodzinnego budownictwa mieszkaniowego małych spółdzielni i zespołów młodzieżowych, zawarte pomiędzy ministrem gospodarki materiałowej i paliwowej a ministrem budownictwa, gospodarki przestrzennej i komunalnej.

Podział towarów deficytowych

Kanał I: administracyjny

W związku z niewystarczającą podażą niektórych materiałów budowlanych w skali kraju są one sterowane centralnie. Wydzieloną pulę materiałów, którą z ministerstwa handlu wewnętrznego otrzymuje województwo, dzieli wydział handlu UW w Nowym Sączu. Podział ten na terenowe organy administracji państwowej dokonywany jest na podstawie bilansu potrzeb, sporządzanego przez Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych (na podstawie gminnych planów budownictwa indywidualnego).

Kanał II: handlowy

Niektóre artykuły wciąż deficytowe wydzielono z rozdzielnictwa centralnego i nabywać je można na ogólnie przyjętych handlowych zasadach — bez tzw. zleceń naczelnika miasta lub gminy, koniecznych przy nabywaniu towarów dzielonych administracyjnie. Jednakże do czasu uzyskania pełnej podaży artykułów nie rozdzielanych centralnie, Zakład Zaopatrzenia Rolnictwa WZSR „Samopomoc Chłopska" — nowosądecki odpowiednik istniejących w innych miastach przedsiębiorstw handlu opałem i materiałami budowlanymi — został zobowiązany do stosowania podziału tych artykułów na poszczególne gminne spółdzielnie „Samopomocy Chłopskiej" i zakłady gospodarcze według ustalonego klucza procentowego w celu równomiernego ich rozmieszczenia.

Zasady ustalania klucza procentowego

Klucz, zatwierdzany przez wojewodę nowosądeckiego, ustalany jest komisyjnie przy udziale zainteresowanych urzędów i jednostek gospodarczych. Według klucza odbywa się podział zarówno materiałów objętych centralnym sterowaniem i rozdzielnictwem, jak i materiałów wydzielonych z rozdzielnictwa centralnego.

Wydział handlu UW przy ustalaniu klucza procentowego podziału materiałów na poszczególne urzędy terenowe, gminne spółdzielnie czy zakłady gospodarcze bierze pod uwagę głównie lokalne potrzeby budownictwa inwentarskiego i mieszkaniowego, wykazane przez Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych na podstawie gminnych planów budownictwa. Posiłkowo kieruje się liczbą ludności i gospodarstw w gminach, wielkością produk-

Coraz bliżej do wolnej sprzedaży

Informuje z-ca dyr. wydziału handlu UW w Nowym Sączu, **Tadeusz Młynarczyk:**

— Generalnie skraca się lista towarów centralnie sterowanych wskutek wzrostu ich podaży. Z radością odchodzimy więc od rozdzielnictwa materiałów budowlanych. W niektórych asortymentach notujemy pełne pokrycie. Myślę o papie, wapnie, elementach ściennych, stali zbrojeniowej, rurach, szkle...

— Wszak eternit w 1987 r. znów zostaje włączony do rozdzielnictwa po półrocznej wolnej sprzedaży w 1986 r.

— Chodzi głównie o eternit falisty. Eternit w płytach jest mniej poszukiwany. Kryzys z eternitem spowodowany jest spadkiem jego produkcji. Okazuje się, że proces wytwarzania eternitu jest szkodliwy dla zdrowia, stąd ograniczenia wielkości jego produkcji.

— Przy ustalaniu klucza procentowego podziału materiałów budowlanych bierze się m. in. pod uwagę skargi i wnioski ludności...

— Tak, to prawda. W końcu to one świadczą o prawdziwych potrzebach terenu, a także charakteryzują możliwości materiałowe mieszkańców.

— Reglamentacja materiałów sprzyja biurokracji...

— Mamy czym się pochwalić w tym zakresie. W naszym województwie indywidualny budowniczy nie musi składać podania o przydział materiałów budowlanych. Wystarczy, że zgłosi ustnie swoje potrzeby do „rejestru potrzeb" swego urzędu. Nie tylko więc nie musi nic pisać, ale także nie ponosi opłat skarbowych, wymaganych przy składaniu podań.

Bank pomaga

Indywidualny inwestor, posiadający działkę budowlaną, może ubiegać się w banku o kredyt w wysokości maksymalnej 1,5 mln zł. Kredyt oprocentowany jest w wysokości 3 proc. rocznie.

Indywidualny inwestor — członek małej spółdzielni, zrzeszającej co najmniej dziesięć osób — też może ubiegać się w banku o kredyt w wysokości maksymalnej 1,5 mln zł. Kredyt oprocentowany jest w wysokości 1 proc. rocznie. Działki budowlane członków małej spółdzielni muszą być skupione w jednym miejscu i sąsiadować ze sobą.

Podział kompetencji między bankami

Wszyscy indywidualni inwestorzy (nie posiadający więcej niż 0,5 ha ziemi) niezależnie od ich miejsca zamieszkania (mieszkający zatem i w mieście, i na wsi), mogą ubiegać się o kredyt budowlany w banku PKO.

Indywidualni inwestorzy, posiadający więcej niż 0,5 ha, oraz pracownicy działów gospodarki narodowej, takich jak: rolnictwo, ogrodnictwo, leśnictwo oraz rzemieślnicy mogą ubiegać się o kredyt budowlany w lokalnych bankach spółdzielczych.

Dokumenty wymagane przez bank przy ubieganiu się o kredyt:

— dokument lub wyciąg hipoteczny prawa własności lub dzierżawy wieczystej działki budowlanej,

— zezwolenie na budowę i projekt techniczny,

— poręczenie dwóch osób materialnie odpowiedzialnych.

W przypadku ubiegania się o kredyt w banku spółdzielczym, od ubiegającego się wymaga się członkostwa danego banku spółdzielczego

Małe spółdzielnie

Od małych spółdzielni bank żąda dodatkowo:

— statutu spółdzielni,

— wyciągu z protokołu Walnego Zebrania, stanowiącego zarząd małej spółdzielni,

— wyciągu z rejestru sądowego, informującego o zarejestrowaniu małej spółdzielni,

— cesji Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych, czyli świadectwa przelania praw i obowiązków WZSM na daną małą spółdzielnię.

Nie dla „gołych" kredyt

Osoby ubiegające się w banku o kredyt budowlany muszą posiadać same przynajmniej 20 proc. wartości kosztorysowej wznoszonego domu w formie gotówki lub materiałów już zgromadzonych czy robocizny w przypadku robót w toku.

Umowa kredytowa z bankiem PKO

Umowa z bankiem PKO dotyczy terminu spłaty pożyczki. Jeżeli indywidualny inwestor zamierza stawiać budynek preferowany, a więc o powierzchni całkowitej do 170 m², okres spłaty długu ustala się na 60 lat. Ponadto w tym wypadku bank PKO wymaga od inwestora posiadania nie 20 proc. wartości kosztorysowej domu, lecz tylko 10 proc. Inwestor „preferowany" otrzymuje dodatkowo dotację w wysokości 300 tys. zł z urzędu miasta lub gminy, jeżeli termin realizacji jego inwestycji nie przekroczy trzech lat.

Jeżeli indywidualny inwestor zamierza stawiać budynek o powierzchni większej niż 170 m², lecz nie przekraczającej 220 m², okres spłaty długu u-

Fot. ANTONI ŁOPUCH

cji towarowej, dotychczasową wielkością produkcji sprzedanej oraz też liczbą wniosków i skarg ludności z danego terenu.

Materiały centralnie sterowane w 1986 r. dzielone administracyjnie:
— cement,
— eternit, papa pokryciowa, wanny żeliwne i blaszane, zlewozmywaki — do II kwartału,
— blacha ocynkowana,
— grzejniki żeliwne i aluminiowe.

Materiały centralnie sterowane, które będą dzielone administracyjnie w 1987 r.:
— cement,
— blacha ocynkowana,
— grzejniki żeliwne i aluminiowe,
— eternit falisty.

Artykuły wydzielone z rozdzielnictwa centralnego w 1987 r.

Takie artykuły przykładowo jak: papa pokryciowa, papa izolacyjna, wapno budowlane, wapno hydratyzowane, elementy ścienne i inne można nabywać bez pośrednictwa urzędów w miarę dostaw.

Nie ma kłopotów z materiałami drewnianymi. W tartakach i składach opałowych odbywa się wolna sprzedaż tarcicy czy stolarki budowlanej.

Wydawanie zleceń na materiały budowlane indywidualnym inwestorom

Warunkiem przyznania przydziału materiałów budowlanych na nowe budownictwo jest posiadanie pozwolenia na budowę.

Imienny przydział materiałów (zlecenie) wydaje terenowy organ administracji państwowej stopnia podstawowego.

Zgłaszanie potrzeb materiałowych

Indywidualny inwestor zgłasza potrzeby na materiały budowlane do rejestru potrzeb prowadzonego przez terenowe organy administracji państwowej stopnia podstawowego.

Rejestr ten wypełniany jest następującymi danymi:
— data zgłoszenia potrzeb na materiały budowlane,
— nazwisko i imię,
— adres zamieszkania,
— rodzaj budowy i numer pozwolenia na budowę,
— ilość potrzebnych materiałów budowlanych w wyszczególnionych asortymentach,
— stan zaawansowania budowy,
— wielkość zgromadzonych dotychczas materiałów budowlanych.

Wnioskujący otrzymuje informacje, że zgłoszone potrzeby będą rozpatrywane sukcesywnie do otrzymywanych przydziałów w ciągu całego roku i że o pozytywnym sposobie załatwienia zostanie on powiadomiony.

W przypadku nowego budownictwa mieszkaniowego potrzeby powinny być zgodne z wielkościami określonymi w dokumentacji projektowo-kosztorysowej budynku.

Ze względu na deficytową podaż materiałów budowlanych przy przydziałach na budownictwo mieszkaniowe preferuje się indywidualne budownictwo mieszkaniowe o standardzie podstawowym oraz o normatywnej powierzchni całkowitej.

Zaopatrzenie w materiały budowlane małych spółdzielni

Zaopatrzenie w materiały budowlane, instalacyjne i wykończeniowe jednorodzinnego budownictwa mieszkaniowego, realizowanego przez małe spółdzielnie, zespoły młodzieżowe i pracownicze odbywa się w trybie zaopatrzenia określonego dla wielorodzinnego uspołecznionego budownictwa poprzez terenowe jednostki obrotu, zgodnie z wytycznymi nr 2 ministra gospodarki materiałowej i paliwowej z dnia 25 listopada 1985 r. w sprawie zasad realizacji zaopatrzenia materiałowo-technicznego w latach 1986—1990 (rozdział 6 ust. c pkt. 55, 56, 59) oraz Porozumieniem w sprawie zaopatrzenia jednorodzinnego budownictwa mieszkaniowego małych spółdzielni i zespołów młodzieżowych, zawartym pomiędzy ministrem gospodarki materiałowej i paliwowej a ministrem budownictwa, gospodarki przestrzennej i komunalnej.

---

stala się na 40 lat. Bank nie preferuje dodatkowymi ulgami tego typu budownictwa.

Inwestorom domów o powierzchni przekraczającej 220 m² bank nie udziela kredytu.

Bank udziela kredytu inwestorom domów o powierzchni większej niż 220 m², jeżeli właściciel domu lub jego współmałżonek jest przedstawicielem zawodu możliwego do wykonywania tylko w domu (dotyczy to np. literatów, lekarzy z praktyką domową, chałupników, etc.). Osoby te mogą otrzymać kredyt, jeśli powierzchnia ich domu nie przekracza 270 m².

Indywidualnych inwestycji budowlanych o powierzchni ponad 270 m² bank nie kredytuje.

Umowa kredytowa z bankiem spółdzielczym

Bank spółdzielczy nie stosuje żadnych preferencji.

Jeżeli inwestor prywatny zamierza stawiać budynek o powierzchni całkowitej do 220 m², okres spłaty długu ustala się na 50 lat. Jeżeli inwestor jest rolnikiem lub rzemieślnikiem, otrzyma kredyt na dom do 270 m².

Indywidualnych inwestycji mieszkalnych o powierzchni ponad 270 m² bank nie kredytuje.

Umowy kredytowe małych spółdzielni

Zasady umów kredytowych indywidualnych inwestorów z bankiem PKO odnoszą się w całej pełni również do małych spółdzielni, które o kredyty występują do oddziałów NBP — PKO.

Nic na ładne oczy

Informuje dyrektor oddziału NBP w Nowym Sączu, **WIKTOR SZCZERSKI:** — Bankowi zależy, by kredyt udzielany był właściwie użyty, a więc zgodnie z przeznaczeniem.

— *A może być inaczej?*

— No nie. Bank nie tylko dokonuje wypłaty gotówki, ale także ma obowiązek kontrolować co się z nią dzieje.

— *Ktoś mógłby wziąć 1,5 mln kredytu na dom, a zainwestować je w inne przedsięwzięcie...*

— Bank nie oferuje 1,5 mln w jednorazowej wypłacie. Pieniądze te są wypłacane w kilku ratach, tzw. transzach, w zależności od stopnia zaawansowania budowy i relatywnego zaangażowania w nią własnych środków przez kredytobiorcę.

— *Brak zaufania do ludzi?*

— Mieliśmy już takie przypadki, że obywatel, otrzymawszy pierwszą ratę pożyczki, po drugą w ogóle się nie zgłaszał. Kredyt przyznaliśmy mu, ponieważ miał wykopany dół pod fundamenty domu, w którego wykopanie włożył określoną wielkość środków własnych. Po roku bank sprawdził miejsce budowy. Okazało się, że dół zarosła trawa, a pierwszą ratę pożyczki zużyto na inne cele.

— *Ile wynosi pierwsza „transza"?*

— To zależy. Przykładowo kosztorys domu opiewa na 4 mln zł. Indywidualny inwestor startuje z własnymi, wymaganymi 20 proc., czyli z 800 tys. zł. Od banku otrzymuje wtedy pierwszą transzę w wysokości 0,5 mln zł z przyznanego kredytu 1,5 mln zł. Ma zatem już 1300 tys. Tę kwotę musi przerobić na budowie. Dopiero potem ma szansę otrzymać drugą ratę. Im więcej zaangażuje własnych środków ponad początkowe swoje 800 tys., tym większą dostanie drugą transzę. Dajmy na to, że włożył już 2,5 mln z własnej kiesy. Razem z pierwszą transzą całość kwoty osiąga więc 3 mln. W takim wypadku bank bez problemu wypłaca drugą ratę w kwocie 1 mln zł, kończąc na dwóch ratach wypłacanie całego kredytu, 2,5 mln obywatela plus 1,5 banku daje razem 4 mln zł, na które opiewa kosztorysowa wartość wznoszonego domu.

— *Czy wielu ludzi korzysta z pomocy kredytowej banku?*

— Tak. Tylko że wielu ludzi też nie korzysta... Generalnie na ok. 11 tys. budów w województwie — połowa.

Wbrew dość rozpowszechnionym przez środki masowego przekazu informacjom — rzecz wcale nie jest łatwa, czego świadectwem niech będzie fakt, iż poczynając od kwietnia 1981, kiedy to ukazała się Uchwała nr 22 Zarządu Centralnego Związku Sp-ni Budownictwa Mieszkaniowego, stanowiąca podstawę prawną tworzenia spółdzielni mieszkaniowych z inicjatywy społecznej — na terenie całego województwa nowosądeckiego zawiązało się tylko 16 takich spółdzielni, z czego 8 opowiedziało się za realizacją budownictwa wielorodzinnego, 2 budują tak bloki, jak i domki jednorodzinne, a 6 nastawiło się na budowę jednorodzinną.

W załączniku do Uchwały, którą można otrzymać w Woj. Zw. Sp-ni Mieszkaniowych, jest aż 9 wzorów różnego rodzaju protokołów, które trzeba sporządzić zakładając spółdzielnię. Nadto Zarząd CZSBM zaleca kandydatom zapoznanie się: z 6 rozporządzeniami dotyczącymi m. in. projektowania inwestycji, normatywów urbanistycznych i mieszkaniowych, nadzoru urbanistyczno-budowlanego itp., dalej z 13 rozporządzeniami dotyczącymi zasad kredytowania i finansowania oraz rozliczania kosztów inwestycji, tudzież kilkoma pismami okólnymi własnej „produkcji" oraz resortu gospodarki terenowej i ochrony środowiska. A że od chwili ukazania się Uchwały nr 22 minęło już nieco czasu, doszły do tego nowe akty normatywne, więc przyszli spółdzielcy muszą się przede wszystkim wyposażyć w c i e r p l i w o ś ć, i liczyć z tym, iż mitręga biurokratyczna pochłonie im około 30 proc. realnego czasu związanego z budową domku. Taka przynajmniej jest opinia zaprzyjaźnionego prezesa niewielkiej, bo liczącej 12 osób spółdzielni domków jednorodzinnych, która po trzech latach od zawiązania się, ma za sobą stany surowe i większość podłączeń instalacyjnych.

Po zastanowieniu, postanowiliśmy zrezygnować z przytaczania nawet tytułów wszystkich obowiązujących zarządzeń, i ograniczyć naszą informację do spraw elementarnych.

Jak założyć spółdzielnię mieszkaniową?

Warunkiem wstępnym założenia spółdzielni jest zorganizowanie się co najmniej 10 osób w tzw. komitet założycielski spółdzielni, który (znając potrzeby mieszkaniowe swych członków oraz ich możliwości finansowe tudzież „realizacyjne") występuje do właściwego organu administracji państwowej o uzyskanie „warunkowej informacji o terenie", który zdaniem założycieli nadawałby się na miejsce przyszłej inwestycji. Takich wskazań może być kilka, ważne jest w każdym razie, by uzyskana z urzędu „warunkowa informacja o terenie" zawierała m. in. dane o stanie uzbrojenia terenu, o jego stanie prawnym, o możliwościach zaopatrzenia w energię elektryczną, gazową, cieplną, wodę, odprowadzenie ścieków itp. Takie oświadczenie władzy terenowej stanowić będzie potem punkt wyjścia do wszystkich dalszych przedsięwzięć związanych zarówno z zarejestrowaniem spółdzielni, jak i prawnym pozyskaniem terenu. Może on np. odpowiadać wszystkim pożądanym cechom, ale być zarezerwowanym na inne cele (budownictwa komunalnego czy przemysłowego). Dlatego to jest punkt wyjścia, i na nim wykruszyło się większość małych spółdzielni w kraju, nie uzyskując nawet szans podjęcia inwestycji, z braku odpowiednich terenów.

Dalsze działania to:

— ustalenie typu spółdzielni, którą kandydaci pragną założyć. A więc zadecydowanie czy będzie to spółdzielnia lokatorsko-własnościowa, czy spółdzielnia budowy domków jednorodzinnych czy może tylko spółdzielnia pomocy w budownictwie jednorodzinnym.

— z decyzji tej wynikać będzie wysokość wymaganego przy staraniach o kredyt bankowy wkładu własnego, oraz przyszłościowy charakter własności budynku, administrowanej albo przez spółdzielczość mieszkaniową, albo uwłaszczanej na rzecz indywidualnych właścicieli.

— kredyt bankowy udzielany jest spółdzielniom na tych samych zasadach, co mieszkaniom własnościowym, a więc w oprocentowaniu wynoszącym 1 proc. na 40 lat, z odpowiednimi ulgami w wypadku wcześniejszej spłaty kredytu, i sięga aktualnie 1,5 mln zł. Kredytobiorca w praktyce musi się jednak wykazać podobnym udziałem w inwestycji środków własnych — i przyjmuje się, że są to dopiero dwie trzecie kosztów. Ostatnią część wnosi kredytobiorca udziałem pracy własnej przy budowie. Piszemy tu naturalnie o praktyce, a nie o przepisach. Zamieszczona obok rozmowa z dyrektorem Oddziału NBP wyjaśnia te kwestie bliżej. Tutaj dodamy tylko pewien szczegół, iż w wypadku realizacji budownictwa na terenach pozbawionych miejskiego systemu wodno-kanalizacyjnego spółdzielni może być przyznany dodatkowy kredyt na ten cel w wysokości 40 tys. zł na każdy domek.

Dalszych szczegółów nie podajemy. Jest zrozumiałe, że zakładana spółdzielnia musi opracować program działania, uzyskać odpowiednie zobowiązania o pomocy ze strony zakładów pracy, założyć swoją księgowość (pomaga w tym spółdzielczość mieszkaniowa), zatrudnić nadzór budowlany itp., ale to już jest przyszłość, po pokonaniu pierwszej bariery, którą jest pozytywna „informacja o terenie".

Gdzie zlecić wykonawstwo?

Budowa domu jest przedsięwzięciem skomplikowanym, wymagającym nie tylko „znajomego murarza" czy cieśli, ale także wielu specjalistów od instalatorstwa wodno- kanalizacyjnego, gazowego, elektrycznego, sanitarnego, cieplnego itp.

Gdzie ich można znaleźć? Największym potentatem jest Izba Rzemieślnicza, w której rejestrach znajduje się aż 1137 warsztatów zajmujących się wykonawstwem budowlanym lub instalatorskim dla potrzeb budownictwa. Według opinii Wydziału Drobnej Wytwórczości i Usług UW w zasadzie w każdej gminie zabezpieczenie w usługi budowlane jest wystarczające, a nawet większość warsztatów nie wykorzystuje swych możliwości, ze względu na braki cementu, armatury, grzejników, płytek itp. Szczegółowe rejestry warsztatów znajdują się w gminnych urzędach. Brak natomiast informacji usługowej w miastach woj. nowosądeckiego.

Usługi budowlane świadczy też 36 zakładów należących do Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" oraz 15 zakładów Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. Naturalnie nie sposób byśmy adresy tych wszystkich prywatnych firm, oraz związkowych zakładów przytoczyli — nie starczyłoby całego numeru „Dunajca". Natomiast dajemy tu poniżej listę ważniejszych spółdzielni i zakładów pracy świadczących usługi budowlane zarówno dla instytucji, jak i osób prywatnych (nie wszędzie jest naturalnie pełny asortyment usług):

— Nowosądecka Sp-nia Pracy Robót Budowlanych „BUDIMAT" (największy potentat w województwie) Nowy Sącz, ul. Kilińskiego 58

— Sp-nia Inwalidów „Marchlewski" w Nowym Sączu, 1 Maja 5

— Sp-nia Pracy „Przyszłość" Nowy Sącz, ul. Żywiecka 133

— Gorlicka Sp-nia Pracy, Gorlice ul. Sienkiewicza 42

— Wytwórczo-Usługowa Sp-nia Pracy w Limanowej ul. Orkana 9

— Usługowo-Wytwórcza Sp-nia Pracy „Świt", Zakopane ul. Zamojskiego 20

— Usługowa Sp-nia Pracy „Turbacz", Nowy Targ ul. Hanki Sawickiej 1

W jakim stopniu portfel zamówień jest zamknięty, niestety, nie ustaliliśmy.

Szczelinowy pustak ceramiczny typu MAX

Szczelinowy pustak ceramiczny typu MAX sporządzony jest z tradycyjnego tworzywa ceramicznego (jakim jest glina) opracowanego naukowo, dzięki czemu stanowi znakomity materiał ścienny charakteryzujący się m. in.:

— wymaganą przez obowiązujące normy izolacyjnością cieplną, prawie trzykrotnie wyższą niż cegła pełna

— pozwala na znacznie szybszą realizację budynku i gwarantuje jego wysoką trwałość

— charakteryzuje się niską masą na 1 m kw. ściany

— wymaga znacznie mniejszego zużycia cementu na 1 m² ściany, rzędu 1/3 tego, czego wymaga ściana z cegły pełnej.

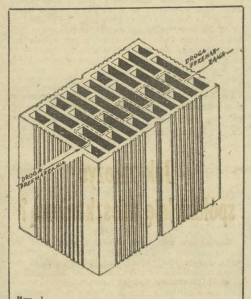

Rys. 1

Objętościowo pustak MAX zastępuje 6 cegieł, a jego wymiary są następujące:

— 29 cm długość

— 19 cm szerokość

— 22 cm wysokość (patrz **rysunek nr 1**)

Pustak MAX produkowany jest (m. in. w Krakowie i Tarnowie także) w trzech rodzajach, przy niezmienionych wymiarach. Różnice polegają na ilości drążeń, za którymi idzie poprawa lub pogorszenie izolacyjności cieplnej. Im więcej drążeń, tym, izolacyjność wyższa, ale też wyższy koszt produkcji ze względu na zużycie surowca i większy ciężar pustaka. Ideałem byłoby zminimalizowanie szerokości szczelin, im węższa bowiem szczelina, tym mniejsza konwekcja (ruch) ciepłego powietrza, które tworzy barierę izolacyjną. Pojawia się jednak wtedy pewna trudność technologiczna, polegająca na kłopocie z wysuszeniem pustaka.

A oto rodzaje MAX-a (nie wszystkie dostępne są w naszym województwie):

— cegła szczelinowa (9 drążeń), waga 11 kg

— MAX właściwy (11 drążeń), waga 12 kg

— K-065-2W (14 drążeń), waga 14 kg.

Naturalnie w miarę wzrostu liczby drążeń, obok poprawy walorów technicznych, rośnie też cena pustaka. Ale o cenach za chwilę. Tymczasem ważne uzupełnienie: ściany z pustaków ceramicznych typu MAX stawia się stosując jako uzupełnienie

cegłę modularną

zbudowaną na tej samej zasadzie co pustak, tyle że nieco cieńszą. Ma ona 29 cm długości, 9 cm szerokości i 22 cm wysokości — i znakomicie nadaje się również, jako cegła na ściany działowe w budynku.

Na rysunku nr 1 przedstawiona została także zasada izolacyjności termicznej ściany z pustaków. Widać, jaką drogą przenika przez ścianę zimno, i w jakim stopniu wzrost ilości szczelin poprawia jakość pustaka.

Możliwość nabycia

Producentem pustaków szczelinowych jest w naszym województwie **Nowosądeckie Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej**, którego dyrekcja mieści się w Nowym Sączu przy ul. Grunwaldzkiej 174.

Przedsiębiorstwo posiada 9 zakładów, z których każdy posiada dział zbytu i samodzielność pozwalającą na prowadzenie transakcji handlowej. A oto wykaz tych zakładów wraz z charakterystyką profilu produkcyjnego:

— **Biegonice** (pustaki MAX), **Bielowice** (cegła modularna) oraz pustaki typu K-0,65 W), **Gorlice II** (pustaki MAX i cegła kominowa), **Gorlice III** (cegła modularna), **Krynica i Stróże** (cegła pełna), nadto dwie kaflarnie **w Gorlicach**, jedna **w Nowym Sączu** oraz betoniarnia **w Nowym Targu** (pustaki typu Alfa).

Uwaga: **pustaki ceramiczne szczelinowe nie podlegają rozdzielnictwu i w zasadzie można je swobodnie kupić.** Ze względu na ich powodzenie w kraju termin oczekiwania, od momentu złożenia zamówienia wynosi ok. 3 miesiące.

Sposób budowy z pustaków

Pustaki ceramiczne szczelinowe są nowoczesnym materiałem budowlanym, podlegającym atestacji, wymagającym jednak określonego ściśle sposobu murowania. Zasada „jak leci" jest tu nie do przyjęcia. Stopień skomplikowania jest jednak niewielki. **Rysunek nr 2** obrazuje to wyraziście. Obok rzędu pustaków, szereg z cegły modularnej, przesunięty tak, by szczeliny między elementami nigdy się nie pokrywały — i następna warstwa, koniecznie przemienna: najpierw szereg z cegły modularnej a potem rząd pustaków. **Dla poprawy izolacyjności pożądane jest umieszczenie między rzędem pustaków a szeregiem z cegły modularnej warstwy styropianu, wełny mineralnej, lub innych — dopuszczonych w budownictwie materiałów izolacyjnych.**

Ceny

Podamy je tutaj w kilku przelicznikach i obliczeniach. Najpierw najprostsze:

— 1 pustak ceramiczny szczelinowy typu MAX kosztuje 71 zł 30 gr

— 1 cegła modularna (uzupełnienie MAX-a) — 42 zł 10 gr

— 1 cegła pełna — 16 zł 40 gr

— 1 cegła dziurawka — 17 zł 20 gr.

Przypominamy: 1 pustak objętościowo zastępuje 6 cegieł, a więc dla zabudowy tej samej powierzchni cegłą pełną trzeba wydać 6 × 16,40 = 98 zł 40 gr, a cegłą dziurawką — 103 zł 20 gr.

Pustak tańszy jest zatem o ok. 25 proc., nie mówiąc o innych jego walorach, które jeszcze porównawczo pokażemy.

Gdy chodzi o 6 cegieł porównanie to nie jest tak efektowne, ale **gdy w grę wchodzi budowa całego domu, to oszczędności sięgają setek tysięcy złotych.**

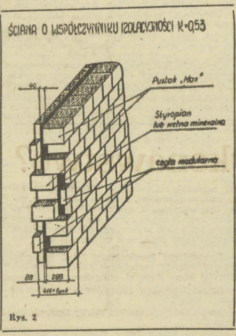

Rys. 2

Rozpatrzmy teraz ten rachunek na przykładzie budowy domu. Dla postawienia obiektu odpowiadającego obowiązującym normatywom tj. o powierzchni 220 m kw. potrzeba około 40 tys. jednostek cegły pełnej i niewiele ponad 5 tys. sztuk pustaka.

— koszt cegły wyniósłby wtedy 640 tys. zł

— koszt pustaka — poniżej 400 tys. zł.

A w dodatku potrzebujemy dwa razy mniej cementu, sześć razy mniej musi napracować się murarz, bo siłą faktu ma do ułożenia znacznie większe moduły, zaś **trzykrotnie wyższa jest uzyskana w efekcie izolacyjność cieplna.**

Może więc problem w transporcie

a ściślej w jego kosztach. Nie są one bagatelne, dlatego budujący musi się dobrze zastanowić. Jak widać z wykazu zakładów, mieszczą się one wszystkie we wschodniej części województwa, ale nie wynika to z żadnej polityki upośledzającej np. Podhale, tylko z położenia surowców wysokiej klasy, potrzebnych do ich produkcji.

Rozpatrzmy ten problem wg aktualnych cen (podstawą będą taryfy „Transbudu", który posługuje się zazwyczaj 12-tonowym zestawem samochodu z przyczepą).

Otóż koszt transportu jednej tony towaru na odległość 1 km wynosi 72 zł, a więc na odległość 50 km — 3600 zł. Niestety, do tego dochodzą jeszcze koszty przestojów, inne narzuty, dość że prawdziwa cena 12-tonowego zestawu, który wiezie nam potrzebny budulec na odległość 50 km, wynosi 5,040 zł a na odległość 100 km proporcjonalnie mniej, bo 8,640 zł.

A ponieważ cegła cięższa jest wyraźnie od pustaka, transport 40 tys. sztuk wymaga 13 kursów, które pomnożone przez koszt 1 kursu na odległość 50 km, dają łączną sumę 65,520 zł, zaś na odległość 100 km (13 × 8,640) kwotę 112,320 zł.

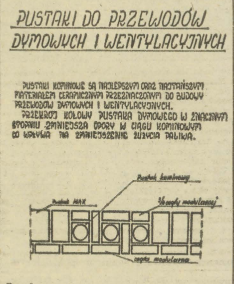

Rys. 3

Jeden pustak, jak już wspomnieliśmy, waży 12 kg. Koszt transportu 5 tys. sztuk wymaga więc tylko 5 kursów i kształtuje się przy odległości 50 km na kwotę 25,200 zł, a przy odległości 100 km na kwotę 43,200 zł. Jak widać, **bardziej się opłaci przywieźć pustaki z odległości 100 km, niż cegły z odległości 50 km.** I pod tym względem ceramiczny pustak szczelinowy MAX „wygrywa".

Inne porównania

Jeżeli z cegły modularnej i Maxa (z wkładką izolacyjną styropianu) uzyskuje się przy grubości muru 42 cm współczynnik izolacyjności K = 0,53, to aby ten współczynnik utrzymać przy cegle pełnej, mur musiałby mieć grubość... 130 cm.

Przy okazji warto dodać, że ceny pustaków i cegieł w woj. nowosądeckim są wyraźnie niższe niż u sąsiadów. I tak cegła pełna kosztuje w naszym województwie 16,40, w Tarnowie — 18,70, a w Krakowie — 21 zł. Cegła dziurawka u nas 17,20, w Krakowie 21 (Tarnów nie produkuje). Pustak MAX w Nowym Sączu 71,30, w Krakowie 89 (w Tarnowie nie uzyskaliśmy informacji).

I już na zakończenie tego wywodu chcemy rozpropagować wśród nowosądeckich budowlanych nowość NPCB, posiadającą ogromne wzięcie w kraju (tu kolejka jest dłuższa niż po pustaki, a zamówienia płyną nawet z Gdańska). Tym rarytasem jest pustak ceramiczny w postaci **cegły kominowej**, nadającej się również na przewody wentylacyjne. Okrągły przewód kominowy sprawia, że osadzanie się sadzy jest mniejsze, a więc i spalanie lepsze. Do przeciętnego domu potrzeba zaledwie 300 sztuk tej cegły, więc specjalnie jej sprowadzać dużym transportem się nie opłaca. Ale GS-y mogłyby wziąć ją do swoich składów. Przeszkodą jest jak dotąd niczym nie uzasadnione przyzwyczajenie do... cegły. Ale i ono chyba w końcu minie.

Wydano staraniem Nowosądeckiego Przedsiębiorstwa Ceramiki Budowlanej.

ZAKOPANE

kupno-sprzedaż-zamiana

- **mieszkań**
- **domów**
- **parcel**
- **gospodarstw rolnych**
- **pensjonatów**
- **domów letniskowych**
- **willi i innych**

dla osób prywatnych i przedsiębiorstw państwowych na terenie kraju

prowadzi

ADAM FEDYK
Zakopane
ul. Tetmajera 17
tel. 50-28
codziennie
w godz. 8—20

OBWIESZCZENIA

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Nowego Sącza z dnia 15 października 1986 r. nr rej. SA. II. 2952/86, **Alfred Tarczyński,** syn Karola i Łucji, ur. 1.01.1956 r. zam. Nowy Sącz, ul. Kunegundy 21/4, obwiniony o to, że dnia 14 października 1986 r., ustalono, że nie pozostaje w stosunku pracy od dnia 1.01.1986 r. do dnia 14.10.1986 r. ani nie pobiera nauki w szkole, a także nie będąc zarejestrowanym w organie zatrudnienia jako osoba poszukująca pracy, nie dopełnił obowiązku zgłoszenia się do T.O.A.P. i nie złożył temu organowi wyjaśnień co do powodów pozostania bez pracy bądź nie pobierania nauki, został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu staowiącego wykroczenie z art. 20 pkt. 1 ust. z dn. 26.10.1982 r. i na podstawie art . 20 pkt. 1 ust. ww. ustawy wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys . 48.000 zł z rygorem natychmiastowej zapłaty i jako karę zastępczą 60 dni aresztu, przyjmując, jako równoważnik 1 dzień 800 zł oraz jako karę dodatkową podanie orzeczenia o ukaraniu w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego i zapłatę kosztów postępowania w kwocie 1.000 zł. K-10096

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej z dnia 24 października 1986 r. nr rej. SA. II-6120/935/86, **Jan Bryś**, syn Piotra, ur. 18.02.1962 r. zam. Bukowina Tatrzańska, ul. Długa 173, obwiniony o to, że dnia 18 sierpnia 1986 r. o godz. 0.30 w Bukowinie Tatrzańskiej na ul. Kościuszki kierował autobusem marki Autosan, nr rej. NSC 316U, będąc w stanie nietrzeźwym przy stwierdzonym u niego stężeniu alkoholu we krwi w ilości 0,8 promile oraz w celu uniknięcia kontroli nie zastosował się do sygnału podawanego przez funkcjonariusza MO i oddalił się porzucając autobus z uruchomionym silnikiem, został uznany winnnym popełnienia zarzucanego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 87 § 1 kw, 92 § 2 kw i na podstawie art. 87 § 1 i 3 kw, 29 § 3 i 31 § 1 i 2 kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 50.000 zł, z zamianą jeżeli egzekucja grzywny okaże się bezskuteczna na 50 dni zastępczej kary aresztu, przyjmując 1 dzień aresztu za równoważny grzywnie w kwocie 1.000 zł i jako karę dodatkową zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na okres 36 miesięcy, zaliczając na poczet kary okres zatrzymania prawa jazdy, począwszy od dnia 18 sierpnia 1986 r. i podanie orzeczenia do publicznej wiadomości przez ogłoszenie go na łamach tygodnika „Dunajec" na koszt ukaranego.

Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w kwocie 1.000 zł i kosztów chemicznego badania krwi w wys. 600 zł. K-10799

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Nowego Sącza z dnia 3 października 1986 r. nr rej. SA. II-2737/86 **Jacek Ondycz**, syn Józefa i Stanisławy, ur. 08.01.1968 r. zam. Nowy Sącz, ul. Wałowa 12/2, obwiniony o to, że jak dnia 3 października 1986 r .ustalono nie pozostaje w stosunku pracy od dnia 8.01.1986 r. do dnia 3.10.1986 r. ani nie pobiera nauki w szkole, a także nie będąc aktualnie zarejestrowany w organie zatrudnienia jako poszukujący pracy w trybie pośrednictwa pracy, nie dopełnił obowiązku zgłoszenia się do t.o.a.p. stopnia podstawowego i nie złożył temu organowi wyjaśnień co do powodów pozostawania bez pracy bądź nie pobierania nauki, został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 20 pkt. 1 ustawy z dn. 26.10.1982 r. o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy i na podstawie art. 20 pkt. 1 w. wym. ustawy w zw. z art. 25 § 1kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 48.000 zł z rygorem natychmiastowej zapłaty i karę zastępczą aresztu w wymiarze 60 dni, przyjmując 1 dzień aresztu za równoważny grzywnie w kwocie 800 zł jak również podanie orzeczenia o ukaraniu do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego i zapłatę kosztów postępowania w kwocie 1.000 zł. K-9642

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta Gorlic z dnia 18 czerwca 1986 r. nr rej. 363/86, **Włodzimierz Sarnecki**, syn Władysława, ur. 27.06.1962 r. zam. Moszczenica 160, obwiniony o to, że w listopadzie 1985 r. w Gorlicach na placu Armii Czerwonej dokonał przywłaszczenia zegarka elektronicznego marki „Montanna" o wartości 4.500 zł na szkodę Pawła Rogulskiego, został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 119 § 2 kw i na podstawie art. 119 § 2 kw w zw. z art. 25 § 1 kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 20.000 zł, z zamianą na 40 dni aresztu zastępczego w przypadku nieuiszczenia grzywny, licząc po 500 zł na 1 dzień, obowiązek wyrównania ukradzionego mienia 4500 zł na szkodę Pawła Rogulskiego i jako karę dodatkową podanie orzeczenia do publicznej wiadomości na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miejskim w Gorlicach przez okres 30 dni. Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w wys. 150 zł.

Ponadto prawomocnym orzeczeniem Kolegium ds. Wykroczeń przy Województwie Nowosądeckim jako II instancji z dnia 4 sierpnia 1986 r. nr rej. SA. II-6120/610/86, wskutek odwołania wniesionego przez obwinionego RUSW Gorlice do orzeczenia wydanego przez Rejonowe Kolegium ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta Gorlice — orzeczono:

1. uchylić zaskarżone orzeczenie Kolegium I instancji
2. uznać obwinionego winnym popełnienia wykroczenia z art. 119 § 2 kw
3. ukarać grzywną w wys. 30.000 zł, z zamianą w razie jej nieściągalności na 60 dni zastępczej kary aresztu, przyjmując jako równoważnik 500 zł za 1 dzień
4. orzeczono zwrot równowartości ukradzionego mienia na rzecz Pawła Rogulskiego w kwocie 4.500 zł
5. jako karę dodatkową orzeczono podanie orzeczenia o ukaraniu do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt ukaranego
6. obciążyć kosztami postępowania I instancji w kwocie 150 zł. K-10801

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Limanowej z dnia 17 października 1986 r. nr rej. SA. II-6120/558/86, **Dariusz Franciszek Mróz**, syn Józefa i Zofii, ur. 12.09.1965 r. zam. Marcinkowice 236, obwiniony o to, że dnia 29 sierpnia 1986 r. o godz. 2.15 w nocy na ul. Świerczewskiego będąc w stanie po użyciu alkoholu wszczął awanturę z Jerzym Saratą w czasie której popychali się nawzajem, krzyczeli donioslym głosem, używając przy tym słów nieprzyzwoitych czym zakłócili spokój i porządek w miejscu publicznym, został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 51 § 2 kw z dnia 20.05.1971 r. (Dz.U. nr 12, poz 114) i na podstawie art. 51 § 2 kw jw. z późniejszymi zmianami w związku z art. 25 §1kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 30.000 zł, zastępczą karę aresztu w ilości 60 dni, licząc 1 dzień aresztu równy grzywnie 500 zł i jako karę dodatkową podanie orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego. Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w wys. 1.000 zł. K-10802

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Nowego Sącza z dnia 13 października 1986 r. nr rej. SA. II-2244/86, **Wiesław Bielak**, syn Jana, ur. 26.06.1962 r. zam. Żeleźnikowa Wielka 107, obwiniony o to, że dnia 27 lipca 1986 r. o godz. 21 w Starym Sączu rejonu nowosądeckiego w barze „Szałas" będąc po spożyciu alkoholu awanturował się ze Zdzisławem Kożuchowskim, szarpał go, usiłował go pobić, czym zakłócił spokój i porządek publiczny, został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 51 § 2 kw i na podstawie art. 51 § 2 kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 40.000 zł, z zamianą w razie nieściągalności na zastępczą karę 80 dni aresztu, przyjmując jako równoważność — 1 dzień pobytu — 500 zł oraz jako karę dodatkową podanie orzeczenia o ukaraniu do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego i zapłatę kosztów postępowania w kwocie 1.000 zł. K-10100

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Nowego Sącza z dnia 28 lipca 1986 r. nr rej. SA. II-1753/86, **Marian Ojczyk**, syn Józefa, ur. 30.07.1961 r., zam. Krynica, obwiniony o to, że w miesiącu kwietniu 1986 r. w Krynicy, woj. nowosądeckie dokonał kradzieży portmonetki typu „banknotówka" o wartości 350 zł wraz z gotówką w kwocie 1.700 zł na szkodę K. Stanuszek. Łączna suma strat wynosi 2.050 zł — został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 119 § 2 kw i na podstawie art. 119 § 2 i 5 kw, 25 § 1 kw i 32 § 1 kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 45.000 zł, z zamianą w razie nieściągalności na zastępczą karę 90 dni aresztu, przyjmując jako równoważność — 1 dzień pobytu — 500 zł oraz jako karę dodatkową podanie orzeczenia o ukaraniu do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego i zapłatę kosztów postępowania w kwocie 150 zł. K-10099

Kopalnia Węgla Kamiennego „ZIEMOWIT"

w Tychach-Lędzinach, ul. Pokoju 4, tel. 277-042 wewn. 56-63-54

PRZYJMUJE STALE

mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat do pracy pod ziemią

Przyjmowanym do pracy gwarantujemy:

- wynagrodzenie wg Układu Zbiorowego Pracy obowiązującego w górnictwie
- dodatek stabilizacyjny
- dodatek rozłąkowy
- specjalne wynagrodzenie z Karty Górnika
- deputat węglowy
- nagrody roczne tzw. 13 i 14 pensja oraz nagrodę z zysku
- nagrodę barbórkową w wysokości miesięcznego wynagrodzenia
- nagrody jubileuszowe za 15, 20, 25, 30, 35, 40 i 45 lat pracy
- jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników, którzy zawarli związek małżeński PO 1 LUTEGO 1982 roku. Pożyczka umarzana jest po 5-ciu latach nienagannej pracy
- pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 50.000 zł dla osób podejmujących pracę po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, umarza po roku nienagannej pracy
- możliwość podnoszenia kwalifikacji na kursach wewnątrz-zakładowych oraz technikum dla pracujących
- dysponujemy ośrodkami wczasowymi i kolonijnymi nad morzem, w górach i na Mazurach
- przy kopalni organizowana jest spółdzielnia mieszkaniowa, która w krótkim czasie będzie gwarantowała uzyskanie mieszkania
- dla pracowników zamiejscowych zakwaterowanie w Domu Górnika przy kopalni z całodziennym wyżywieniem ze znaczną dopłatą przez zakład
- przy kopalni istnieje Zasadnicza Szkoła Górnicza, która przyjmuje do nauki w zawodach górniczych młodzież w wieku od 15 do 18 lat

UCZNIOM ZAPEWNIA SIĘ: wyżywienie, zakwaterowanie, umundurowanie oraz pomoc materialną w wysokości:

w klasie I w granicach — 5.000 zł
w klasie II w granicach — 7.000 zł
w klasie III w granicach — 10.000 zł

- absolwenci po ukończeniu nauki w ZSG — otrzymują jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 150.000 zł. Pożyczka umarzana po 3-ch latach nienagannej pracy
- wyróżniający się uczniowie ZSG mają możliwość kontynuowania nauki w Technikum Górniczym przy kopalni

WYMAGANE DOKUMENTY PRZY PRZYJĘCIU: 1) dowód osobisty, 2) książeczka wojskowa, 3) legitymacja ubezpieczeniowa, 4) świadectwo pracy, 5) świadectwo szkolne.

Informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje dział zatrudnienia kopalni. Dojazd do kopalni — od dworca PKP Katowice autobusami nr 31, 95 i 137.

K-9455

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Krzysztof Kamiński, Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, Al. Wolności 49. Telefony: 238-36, 238-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon: 22-32-08, 22-75-88, wewn. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch", Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków, al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

A-9

na ekranie

SOBOTA — 20 XII

PROGRAM I

8.10 Program dnia
8.15 „Tydzień na działce"
8.45 Kino lektur szkolnych — Stanisław Wyspiański — „Wesele"
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Stare, nowe, najnowsze"
12.20 „Wędrówki dalekie i bliskie" (2)
13.00 „W świecie ciszy"
13.30 „Reporter z przeszłości"
14.00 „Za kierownicą"
14.30 „Militaria, obronność, nowoczesność"
15.00 DT — wiadomości
15.05 Antologia dramatu powszechnego — Antoni Czechow — „Wujaszek Wania"
17.15 Losowanie dużego lotka
17.30 Studio sport
18.30 „Kram"
19.00 Dobranoc
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt"
19.30 Dziennik
20.00 „Barylon" — film prod. pol.
21.35 „Czas"
22.05 „7 dni na świecie"
22.15 DT — wiadomości
22.25 „Sportowe rytmy tygodnia"
22.55 Kino nocne — „Wdowy II" (3)

PROGRAM II

15.55 Powitanie
16.00 "3 — 10 — 15"
17.25 „Fakty i legendy"
18.00 Kronika
18.30 „Telewizyjna encyklopedia ekstra-ainości"
19.30 Dziennik
20.00 Jan Sebastian Bach — „Oratorium na Boże Narodzenie"
21.30 „Tydzień w polityce"
21.40 „Klinika w Schwarzwaldzie" (10)
22.35 „Henryk Tomaszewski i jego teatr"
22.55 Spotkajmy się w Wierzynka
23.15 Wieczorne wiadomości
23.30 „Nu 5 minut przed zaśnięciem"

NIEDZIELA — 21 XII

PROGRAM I

7.15 Program dnia
7.20 Blok programów rolnych
9.00 „Telerank"
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Biologia morza" (3)
11.05 „Przybiec i kapturv" (6)
12.00 Poranek symfoniczny
13.00 „Sieden anten"
13.40 Studio im. A. Munka przedstawia — „Offenry opowiada"
14.00 Telewizyjny konkurs życzeń
14.45 „Kraj za miastem"
15.00 DT — wiadomości
15.05 Teatr dla dzieci — Elżbieta Bas, sold — „Najwięksxy krasnal świata"
15.55 „Polityka i obyczaje"
16.15 Telewizyjny film dok. — „Warszawa — lata 1923—1938"
16.55 Kabaret Olgi Lipińskiej
17.50 Studio sport
18.30 „Antena"
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Alternatywy 4" (4)
21.00 „Pegaz"
21.50 „Klub międzynarodowy"
22.20 Sportowa niedziela
22.55 DT — wiadomości

PROGRAM II

11.30 Program lokalny
12.00 Film dla niesłyszących — „Alternatywy 4" (4)
13.15 „Żelazna droga"
14.00 Lokalny koncert życzeń
14.25 Powitanie
14.30 „Kwadrans z hejnałem"
14.45 „Jutro poniedziałek"
15.15 „Widoteka"
16.00 Kino familijne — „Smak arbuza"
17.00 „Kino — oko"
17.55 „Wiem wszystko"
18.20 „Słynne dzieła, słynni wykonawcy"
19.00 „Wywiady Ireny Dziedzic"
19.30 Dziennik
20.00 Studio sport
21.00 „Saga rodu Forsytów" (14)
21.50 „W cieniu historii"
22.20 „Ekslibris „Dwójki"
22.50 Wieczorne wiadomości
22.55 „Na 5 minut przed zaśnięciem"

PONIEDZIAŁEK — 22 XII

PROGRAM I

16.20 Program dnia
16.25 „Zwierzyniec"
16.40 Kino Zwierzyńca
17.15 „Teleexpress"
17.30 Echa stadionów
18.00 „Kobieta za ladą" — serial prod. CSRS
18.50 „Witryna"
19.00 Dobranoc
19.10 „Laboratorium"
19.30 Dziennik
20.00 „Rozmowa na telefon" (1)
20.15 Teatr telewizji na świecie — William Szekspir „Wesołe kumoszki z Windsoru" (1)
22.05 DT — komentarze
22.25 „Rozmowa na telefon" (2)
22.40 „Wesołe kumoszki z Windsoru"
23.35 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Spowiedź dziecięcy"
17.50 Henryk Wieniawski — „Legenda"
18.00 Kronika
18.30 „Moja piękna pani" — rep.
18.55 „Bajka" — film anim.
19.05 „Piękni i wspaniali"
19.30 Dziennik
20.00 „Gwiazdy wielkiego sportu"
20.30 Franciszek Liszt, 1811—1886 (3) — „Portret prywatny"
21.20 „Gdybym był"
21.50 „Powroty"
22.25 Biografie — „Ramon y Cajal" (9) — ostatni)
23.25 Wieczorne wiadomości
23.35 „Na 5 minut przed zaśnięciem"

WTOREK — 23 XII

PROGRAM I

9.30 „Domator"
9.35 „Domowe przedszkole"
10.00 DT — wiadomości
10.10 Film dla II zmiany — „Kąt widzenia"
16.20 Program dnia
16.25 „Akademia muzyczna"
16.50 „Cojak" — teleturniej
17.15 „Teleexpress"
17.30 „Gazeta Rolnicza"
18.00 Telewizyjny Informator Wydawniczy
18.20 Radar"
18.35 Telewizyjny film dok. — „Polscy konserwatorzy w Phorn-Penh"
19.00 Dobranoc
19.10 „Klinika zdrowego człowieka"
19.30 Dziennik
20.00 Konferencja prasowa rzecznika rządu
20.15 „Kąt widzenia" — film prod. CSRS
21.30 DT — komentarze
21.50 „Wieczór z pegazem"
22.20 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Pół godziny dla rodziny"
18.00 Kronika
18.30 „Ginący świat" — „Kobiety z Marrakeszu"
19.25 „Piłsenkarz tygodnia"
19.30 Dziennik
20.00 „Ambicje i aspiracje" — rep.
20.30 „Moja muzyka"
21.00 „Myślenie na kolosalną przeszłość" — „Maria Konrustka"
21.20 „Cięższkowcy"
21.55 Panorama kina radzieckiego — „Agonia" (1)
23.15 Wieczorne wiadomości
23.25 „Na 5 minut przed zaśnięciem"

ŚRODA — 24 XII

PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów — „Historia żółtej ciżemki" — pol. film fab.
16.00 Program dnia
16.05 „Tik-tak"
16.55 Losowanie expressu lotka i super lotka
17.05 „Teleexpress"
17.20 „Wczesne urodziny" — film TP
18.30 „Oratorium wigilijne" — film dok. TP
19.00 Dobranoc
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt"
19.30 Dziennik
20.00 „Alternatywy 4" (5)
21.00 Kolędy polskie — śpiewa Krzysztof Krawczyk
21.35 „Walczący samotnik" (1) — tel. film dok.
22.35 „Kolędy pod choinkę"
23.00 „Edith i Marcel" — franc. film fab.

PROGRAM II

15.05 Film dla niesłyszących — „Alternatywy 4" (5)
16.00 Powitanie
16.05 „Wigilia z Krakowa"
18.00 Kronika
18.30 „Wigilia z Krakowa"
19.30 Dziennik
20.00 „Wigilia z Krakowa"
21.15 Wielcy kochankowie ekranu — „Pożegnalny walc" — film fab. prod. USA
23.00 „Wigilia z Krakowa"

CZWARTEK — 25 XII

PROGRAM I

8.35 Program dnia
8.40 Dla młodych widzów — „Baśń o carze Saltanie"
9.40 W starym kinie — „Zabawka" — pol. film arch.
11.05 „W świecy blasku" — widowisko public.
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.45 Wielka Msza C-moll Mozarta w Bazylice św. Piotra w Rzymie
13.20 Teatr dla dzieci — Benedykt Herfe — „Czupirek"
14.10 „Volubilis" — film dok.
14.45 „Poradnik świąteczny"
15.30 „Bostończycy" — ang. film fab.
17.35 „Białe pazury" — film dok.
18.00 „Walczący samotnik" (2)
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Bankierka" — franc. film fab.
22.05 Z kabaretu „Szpak"
23.10 „Sportowe rewie"
0.10 Kino nocne — „Wdowy II" (3)

PROGRAM II

11.00 Powitanie
11.15 „Dokoła świata"
12.00 „Mayday, mayday" — film przygodowy prod. USA
13.00 „Dziennikarze" — film dok.
13.30 „Łódzki fotoplastikon" — rep.
14.00 „Godzina z Mieczysławem Czechowiczem"
15.00 „Bogusław Kaczyński przedstawia"
17.40 „Kocham wszystkie kobiety" — film z udziałem Jana Kiepury
19.30 Dziennik
20.00 „Świąteczny koncert chopinowski"
21.00 „Kanał" — kabaret Wojciecha Manna
22.05 „Dopiąć celu" — film sens. prod. franc.
0.10 „Cicha noc" — Poznański Chór Chłopięcy i Męski

PIĄTEK — 26 XII

PROGRAM I

8.25 Program dnia
8.30 Dla młodych widzów — „Przygody Hucka" — film prod. USA
9.50 „Formuła miłości" — komedia muz. prod. radz.
11.50 „Marlena Dietrich" — portret aktorki
12.30 „Melwyk '86" — reminiscencje
13.30 Teatr dla dzieci — „Fasola"
14.25 W starym kinie — „Tajemnica panny Brinx"
15.55 „Walczący samotnik" (3)
16.45 „Szopka na krowę i dwóch facetów"
17.30 „Siedem zegarków Gustawa albo Eremita Skoczowski Morcinek" — tel. film dok.
19.00 Wieczorynka
19.10 Dziennik

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

KARIERA NIKODEMA DYZMY

— 59 —

— Owszem, może w przyszłym tygodniu.

— Króla złoty, dziękuję, bardzo dziękuję. No to chodźmy na śniadanko. Może do "Bachusa", co?

— Dziękuję, ale nie mogę. Jestem dziś na śniadaniu u księcia Roztockiego.

Skłamał, lecz osiągnął przewidywany efekt. Kunicki rozplynął się w zachwycie i zaczął wyliczać wszystkie możliwości, jakie otwierają człowiekowi takie olbrzymie stosunki, jakie ma kochany pan Nikodem.

Teraz wyjechał i właściwy powód wizyty: podkładki kolejowe. Starannie przymilał się, krygował, sypał cyframi zysków, jakie obaj osiągną z uzyskania przez Koborowo dostaw dla kolei, tłumaczył, że ostatecznie, jeżeli jemu, Leonowi Kunickiemu, z powodu lasnego procesu nie zechcą dać, to mogą przecie pani Ninie Kunickiej.

— Nie wiem — bronił się Dyzma.

— Che, che, che, ale ja wiem, że jak kochany pan zechce palcem kiwnąć... No, królu złoty, niechże pan pogada z ministrem komunikacji! Póty pilował Nikodema, aż ten zgodził się.

— Tylko niech pan nie wyjeżdża, bo jeżeli trzeba będzie układać się, to ja się na tym nie znam.

Kunicki, uradowany, zapewnił kochanego prezesa, że oczywiście nie wyjedzie, aby w razie potrzeby służyć informacjami, chociaż jest przekonany, że te nie będą potrzebne człowiekowi majacemu tak genialną głowę.

Wejście Krzepickiego z korespondencją przerwało potok jego wymowy. Potrzebny się z Dyzmą, zamawiając się na jutro, i wyszedł.

— To znany spryciarz — zauważył Krzepicki.

— Ho, ho i jaki — potwierdził Nikodem — takiego niełatwo wykiwać.

Długa twarz Krzepickiego rozszerzyła się w lekceważącym uśmiechu.

— Moim zdaniem, panie prezesie, nie ma takiego wielkiego spryciarza, który by nie znalazł większego, co go nabije w butelkę.

Dyzma rozśmiał się szczerze. Sam siebie uważał właśnie za takiego spryciarza. Wydawało mu się nawet, że rozumie to i Krzepicki, co zdawał się mówić poufały uśmiech na jego twarzy.

— No, co pan kalkulujesz? — zapytał Dyzma.

— Kalkuluję — odparł Krzepicki, spuszczając oczy — że nasze czasy należą do tego, co umie łapać okazje.

— Niby jaką okazję?

Krzepicki zadarł głowę, przeciągnął dłonią po ostro wystającej grdyce i rzucił niedbale:

— Koborowo to piękny grosz.

— Ba!...

— Nie każdemu się zdarza...

Dyzma pokręcił głową.

— A oto, Kunickiemu się zdarzyło.

— A może zdarzyć się i... panu.

Nikodem spojrzał nań nieufnie:

— Mnie?...

— Świat należy do tych, co umieją skrupuły wyrzucić za okno.

— Niby nie być skrupulantami?...

Krzepicki nie odpowiedział i tylko bacznie obserwował oczy Dyzmy.

— Panie prezesie — zaczął po chwili, cedząc słowa. — Wie pan, że jestem dla pana więcej niż życzliwy?

— Wiem — odparł Dyzma.

— Otóż chcę być szczery. Dla pańskiego dobra, a nie przeczę, że i dla mojego. Dziś tylko ten traci, kto jest głupi.

Zamyślił się, a zniecierpliwiony Dyzma zawołał:

— No, gadajże pan, do cholery!

— A nie pogniewa się pan prezes?

(CIĄG DALSZY NA STR. 23)

20.00 „Wielki Gatsby" — film prod. USA
22.15 „Urodziny nieco starszego warszawiaka"
22.45 Maryla Rodowicz — królowa kosmosu — widowisko rozrywkowe

PROGRAM II

10.30 Powitanie gości i kolędników w dworku Kmicica
10.45 „Encyklopedia kultury polskiej" — „Sarmatyzm" (1)
11.00 „Sarmacja w zbiorach, kolekcjach, opiniach"
11.20 „Potop" (1) — film fab. prod. pol, reż Jerzy Hoffman
12.35 „Kmicic — bohater narodowy?"
12.50 „Encyklopedia kultury polskiej"
13.05 „Potop" (2)
14.25 „Mit »Potopu« a prawda historyczna"
14.45 „Portret Sienkiewicza"
15.30 „Wielka gra"
15.50 „Jerzy Hoffman i jego »Potop«"
16.20 „Potop" (3)
18.40 „Muppet show, czyli rewia gwiazd"
19.00 „Wywiady Ireny Dziedzic"
19.30 Dziennik
20.00 „Rycerze króla Artura" — spektakl Teatru Pantomimy Henryka Tomaszewskiego
21.45 Koncert na skrzydlaty flet
22.15 „Gwiazda San Remo" — Flavia Fortunato
22.45 „Legendy filmu" — Brigitte Bardot
23.35 Kolędy śpiewa chór Stefana Stuligrosza

SOBOTA — 27 XII

PROGRAM I

8.20 Program dnia
8.25 „Tydzień na działce"
8.55 Dla młodych widzów — „Na tropie antylopy Bongo" — film prod. USA
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Stare, nowe, najnowsze"
12.20 Wędrówki dalekie i bliskie (3)
13.00 „Bariery"
13.30 „Impresje sienkiewiczowskie"
14.00 „Z Polski rodem"
14.30 „Zdrowie"
15.00 DT — wiadomości
15.05 Antologia dramatu powszechnego — Henri Rousseau „Zemsta sieroty"
16.10 „Morze wokół nas"
16.40 „Muzyczny portret"
17.10 „Od dzisiaj mówię: stop" — śpiewa Anna Jurksztowicz
17.40 Losowanie dużego lotka
17.50 „Skarbiec"
18.30 Program publicystyczny
19.00 Dobranoc
19.10 „Z kamrą wśród zwierząt"
19.30 Dziennik
20.00 „Aurora" — film obycz. prod. włos.
21.35 „Czas"
22.05 „7 dni na świecie"
22.15 DT — wiadomości
22.25 „Sportowe rytmy tygodnia"
22.55 Kino nocne „Wdowy II" (4)

PROGRAM II

13.55 Powitanie
14.00 „Chiny: krajobrazy i ludzie" (1)
14.45 „Muzyka i okolice"
15.15 Wrocław na antenie „Dwójki"
15.35 Wielka podróż
16.35 Wrocław na antenie „Dwójki"
16.50 „Kino-oko"
18.00 Kronika
18.30 Wrocław na antenie „Dwójki"
18.55 „Dzień dobry, to ja" — recital Heleny Vondrackovej
19.30 Dziennik
20.00 Wrocław na antenie „Dwójki"
21.40 „Tydzień w polityce"
21.50 „Klinika w Schwarzwaldzie" (11)
22.35 „Po prostu Agnieszka" — recital Agnieszki Fatygi
23.05 Wrocław na antenie „Dwójki"
23.35 Wieczorne wiadomości

NIEDZIELA — 28 XII

PROGRAM I

7.25 Program dnia
7.30 Blok programów rolnych
9.00 „Teleranek"
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Biologia morza" (4)
11.05 Od Siewierza do Gogolina... (1)
11.25 „Przyłbice i kaptury" (6)
12.20 „Siedem anten"
13.05 Telewizyjny koncert życzeń
13.55 Od Siewierza do Gogolina... (2)

14.20 „Warszawa, 1929—1934" — tel. film dok.
15.00 DT — wiadomości
15.05 Teatr dla dzieci: H.Ch. Andersen — „Czarodziejski ogród"
15.50 „Polityka i obyczaje"
16.10 Od Siewierza do Gogolina... (3)
16.40 Klub sześciu kontynentów
17.25 Kabaret Olgi Lipińskiej
18.20 „Antena"
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Alternatywy 4" — (6)
21.00 „Pegaz"
21.50 Klub międzynarodowy
22.50 Sportowa niedziela
23.25 DT — wiadomości

PROGRAM II

10.20 Film dla niesłyszących „Alternatywy 4" (6)
12.30 Krótkofalowcy
13.00 Poznań na antenie „Dwójki"
14.15 „Zwierzęta świata"
14.45 Jutro poniedziałek
15.15 Wideoteka
16.00 Kino familijne — „Duch Tomasza Kempe'a" — film przyg. prod. USA
16.45 „Muzyczne wizyty"
17.00 „Kino-Oko"
18.00 Ze sztuką na ty
19.30 Dziennik
20.00 Studio sport
21.00 „Saga rodu Forsytów" (15)
21.50 „Muzyka wielkiego ekranu"
22.40 Wieczorne wiadomości

PONIEDZIAŁEK — 29 XII

PROGRAM I

16.20 Program dnia
16.25 „Kwant" — magazyn poznawczy
17.15 „Teleexpress"
17.30 Echa stadionów
18.00 „Kobieta za ladą" (2)
18.45 PZU informuje
19.00 Dobranoc
19.10 Laboratorium
19.30 Dziennik
20.00 Publicystyka
20.15 Teatr telewizji — Jerzy Szaniawski — „Żeglarz"
22.05 DT — komentarze
22.25 Program publicystyczny
23.25 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Zwyczaje i obrzędy
18.00 Kronika
18.30 „Zwierzęta wokół nas"
18.55 „Ważniejsza gra" — humoreska rys. prod. CSRS
19.05 „Kalejdoskop taneczny"
19.30 Dziennik
20.00 Program publicystyczny
20.15 Gwiazdy wielkiego sportu
20.45 „Brawo dla Marii Krzyszkowskiej"
21.45 „Małe kino" (2)
22.45 Wieczorne wiadomości

WTOREK — 30 XII

PROGRAM I

9.30 Domator
9.35 Domowe przedszkole
10.00 DT — wiadomości
10.10 Film dla II zmiany — „Zielona kobyła"
16.20 Program dnia
16.25 „Akademia muzyczna"
16.50 „Kameleon"
17.15 „Teleexpress"
17.30 Studio sport
18.30 Telewizyjny Informator Wydawniczy
18.50 Wystąpienie ambasadora Kuby
19.00 Dobranoc
19.10 Diagnoza
19.30 Dziennik
20.00 Konferencja prasowa rzecznika rządu
20.15 „Zielona kobyła" film franc.
21.45 DT — komentarze
22.05 Program publicystyczny
23.50 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Pół godziny dla rodziny
18.00 Kronika
18.30 Ginący świat
19.20 Piosenkarz tygodnia
19.30 Dziennik
20.00 „Ambicje i aspiracje"
20.30 Filharmonia „Dwójki"
21.45 Panorama kina radzieckiego — „Agonia" (2)
22.55 Wieczorne wiadomości

ŚRODA — 31 XII

PROGRAM I

9.30 Domator
9.35 Domowe przedszkole
10.00 DT — wiadomości
16.20 Program dnia
16.25 „Tik-tak"
17.15 „Teleexpress"
17.30 Losowanie zakładów sylwestrowych oraz express i super lotka
18.00 „Stare, nowe, najnowsze"
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Dziennik
20.00 Przemówienie noworoczne
20.15 Lidia Grychtołówna gra walca Chopina
20.30 „Mistrz kierownicy ucieka" — film fab. prod. USA
22.00 „Znaki zodiaku" (1)
22.50 Kabaret Olgi Lipińskiej
23.50 Życzenia noworoczne
0.05 Alex Band — przeboje'86
1.00 „Znaki zodiaku" (2) — rewia noworoczna
2.00 Peter's pop show — Przeboje '86

PROGRAM II

15.30 Powitanie
15.35 „5-10-15"
16.25 „Dookoła świata"
17.15 „5-10-15"
17.40 „Rok Heweliusza"
18.00 Kronika
18.30 Koncert galowy z okazji 40 rocznicy UNICEF-u
19.30 Dziennik
20.00 Przemówienie noworoczne
20.20 Wieczór sylwestrowy w operze
23.20 „Sylwestrowe teledyski"
24.00 Życzenia noworoczne
0.05 „Chińskie morze" — film fab. prod. USA
1.30 „Noc w Moulin Rouge"

CZWARTEK — 1 I

PROGRAM I

8.30 Program dnia
8.35 Dla młodych widzów — „Zmyślny psiak" — film kanad.
10.00 „Żandarm na emeryturze" — film fab. prod. franc.
11.35 DT — wiadomości
12.00 „Koncert noworoczny z Wiednia"
13.20 Sportowy przegląd roku
14.25 Klub sześciu kontynentów
15.00 Studio sport
16.25 Teatr Telewizji — Antoni Cwojdziński — „Hipnoza"
17.50 „12 wspaniałych..." — pr. publ.
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Dyrygent" — film fab. prod. pol.
21.40 Jazz Jamboree'86
22.15 „Bez próby"

PROGRAM II

11.35 Powitanie
11.40 Film dla dzieci — „Czarna strzała" — film przygodowy prod. radz.
13.05 Przeboje „Dwójki"
14.00 „Czarnoksiężnik" — musical prod. USA
16.10 Irena Dziedzic zaprasza
19.30 Dziennik
20.00 Irena Dziedzic zaprasza
21.40 „Narkotyk" — film prod. franc.
22.55 „Spotkanie z balladą"

(CIĄG DALSZY ZE STR. 22)

— Cóż to, masz mnie pan za głupiego?

— Broń Boże i dlatego mówię...

Przysunął krzesło i spoważniał.

— Panie prezesie, czy żona Kunickiego wciąż kocha się w panu?

— I to jak! Co dzień ot takie listy przysyła.

— To bardzo dobrze.

Pochylił się do ucha Nikodema i zaczął mówić.

Było już po trzeciej, gdy obaj wyszli z banku i wsiedli do samochodu.

— „Oaza"! — krzyknął Dyzma szoferowi i klepnął swego sekretarza po kolanie. — A pan to też masz łeb na karku. Żeby się tylko udało!

— Dlaczego się nie ma udać? Więc sztama? — wyciągnął rękę.

— Sztama! — ścisnął ją mocno Dyzma.

Tegoż wieczora prezes Nikodem Dyzma złożył wizytę inżynierowi Romanowi Pilchenowi, ministrowi komunikacji.

Był to drobny brunet, zawsze uśmiechnięty i pogodny, znany ze swej pasji zdrabniania wyrazów. Jego żona, siwiejąca szatynka, o wybitnie semickim typie, i sam minister przyjęli Dyzmę owacyjnie.

— Prezesiuniu kochanieńki! — zawołał Pilchen na jego widok — ależ to słówko w cyrczku! Niechże cię kaczuszki podepczą! Myślałem, że szlaczek mnie trafi ze śmiechu! To się nazywa określonko!

— Może niezbyt salonowe — ciągnąc słowa potwierdziła jego żona — ale za to bardzo męskie.

— Słuszniutko, racyjka, mamy w naszym kraiku za dużo ugrzeczniaków i fajtłapków, za dużo cukiereczków! Silne słówko tak działa jak kubeczek zimniutkiej woduni.

Nikodem śmiał się i usprawiedliwiał tym, że tak już był zirytowany, że musiał „wygarnąć".

Po kolacji przystąpili do interesu.

Nikodem nie przypuszczał, że pójdzie tak łatwo.

Pilchen wprawdzie zastrzegł się, że ostatecznej decyzji dać nie może, zanim nie porozumie się z odnośnym departamentem swego ministerstwa, lecz w zasadzie „dla mileńkiego prezesiunia" gotów jest zrobić wszystko. A progi kolejowe, czy takie, czy owakie, zawsze się przydadzą.

— I ma pan moje przyrzeczonko, że załatwimy się prędziutko. Tak czy owak, aby szybciutko, taka moja metodka.

Dyzma podrapał się w głowę.

— Właściwie mówiąc, to mnie zależałoby na tym, żeby załatwienie sprawy przeciągnąć...

— Przeciągnąć, braciszku? — zdziwił się minister.

— Che, che, nie śpieszy mi się za bardzo.

Pilchen roześmiał się i zaopiniował, że wobec tego musi uznać Dyzmę za niebywałego interesancika.

Nikodem zapytał, czy będzie mógł jutro przyjść do ministerstwa i, otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, zaczął się żegnać.

— Bardzo zdolniutki łebek — powiedział minister, gdy drzwi za Dyzmą się zamknęły — i wierzaj, moja malupuśka, że każdziutka grzecznostka zrobiona jemu to dobrze ulokowany kapitalik.

— Ach, nie wiem — odpowiedziała pani Pilchenowa — nie znam się na tych waszych kombinacjach politycznych, jednak przyznać muszę, że pan Dyzma wywiera bardzo dodatnie wrażenie. Co to jednak znaczy wychowanie angielskie.

Nikodem wrócił do domu i zaraz zatelefonował do Krzepickiego, oznajmiając, że sprawa jest na dobrej drodze.

Następnie zabrał się do czytania od dawna nie otwieranych listów Niny. Szukał w nich potwierdzenia trwałości jej uczuć.

Słowa i ton listów nie pozostawiały w tym względzie najmniejszych wątpliwości. Wszystkie przepełnione były miłością i skargami na mękę tęsknoty, wspomnieniami chwil wspólnie spędzonych i marzeniami o przyszłym szczęściu we dwoje.

W jednym z listów znalazł wzmiankę o żalu, z jakim porzuci Koborowo, w którym się urodziła i które mówi do niej wyrazem jasnych lat dziecinnych.

(Ciąg dalszy nastąpi)

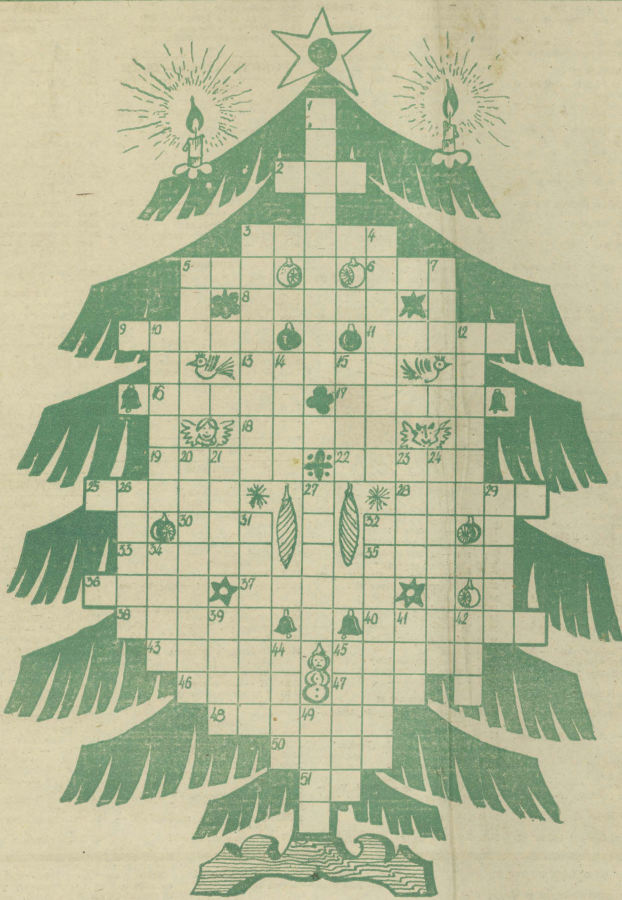

KRZYŻÓWKA NR 48

POZIOMO: 2) głos żeński, niższy od sopranu, 3) metal szlachetny, 5) wiosną na rzece, 6) budynek mieszkalny, 8) ozdoba ucha, 9) podstawowy składnik przy wyrobie czekolady, 11) potrawa z surowego mięsa, 13) wyżyna w ZSRR, 16) skłodki ziemniak, 17) kapusta polna, 18) jedna z dwóch w organizmie człowieka, 19) jest częścią ery, 22) góry w ZSRR, 25) np. prześladowcza, 28) likier kminkowy, 30) artretyzm, 32) strus australijski, 33) owoc południowy, 35) mężczyzna postarzały, zdziadziały, 36) jednostka długości, 37) stan w USA, 38) królestwo w Azji, w środkowych Himalajach, 40) zespół komórek o podobnej budowie, 43) pierwszy prezydent Republiki Tureckiej, 45) maksyma, dewiza, cytat, 46) najniższa warstwa roślin w lesie, 47) proszek do prania, 48) bezwartościowy, banalny utwór literacki, 50) imię polskiego florecisty, złotego medalisty olimpijskiego w Tokio, 51) jednostka miary powierzchni.

PIONOWO: 1) ślepota barwna, 3) miejscowość u podnóża Tatr, 4) zwierzyna w lesie, 5) kucharz okrętowy, 7) legenda, 10) starożytna nazwa Anglii, 12) upośledzenie, 14) jeden z muszkieterów, 15) zrobniałe imię żeńskie, 20) osobnik porywający dla okupu, 21) uszkodzenie ciała, 23) zapora wodna, 24) dawny zakład w którym uczniowie otrzymywali darmo naukę i utrzymanie, 26) obchodzi imieniny 1 marca, 27) targowisko, 29) trasa, 31) włókno syntetyczne, 32) człowiek nadmiernie zmysłowy, 34) zdrobniałe imię męskie, 39) rzeka na granicy ZSRR i Chin, 41) zaimek wskazujący, 42) część twarzy, 44) stolica Togo, port nad zatoką Gwinejską, 45) silnik, 49) pies gończy.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 2 stycznia 1987 r.

Rozwiązanie krzyżówki nr 46

POZIOMO: 1) Montreal, 6) maść, 9) uzda, 10) napęd, 11) swąd, 12) samba, 13) wena, 14) rzaz, 15) dirkacz, 17) kajak, 21) wiatr, 22) krypa, 23) taras, 24) stolnik, 28) kosz, 30) kant, 31) Orion, 32) szew, 33) arden, 34) azur, 35) stół, 36) grotołaz.

PIONOWO: 2) olimpijczyk, 3) tonaż, 4) empire, 5) Ludwik, 6) masarz, 7) Ślązak, 8) koszykówka, 16) ciwasz, 18) kurant, 19) hazardzista, 20) przystanek, 24) poczet, 25) szkwał, 26) letarg, 27) imadło, 29) kanie.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 46 drogą losowania nagrody otrzymują: **Zbigniew Nowak** i **Jan Wróbel** z Nowego Sącza.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.